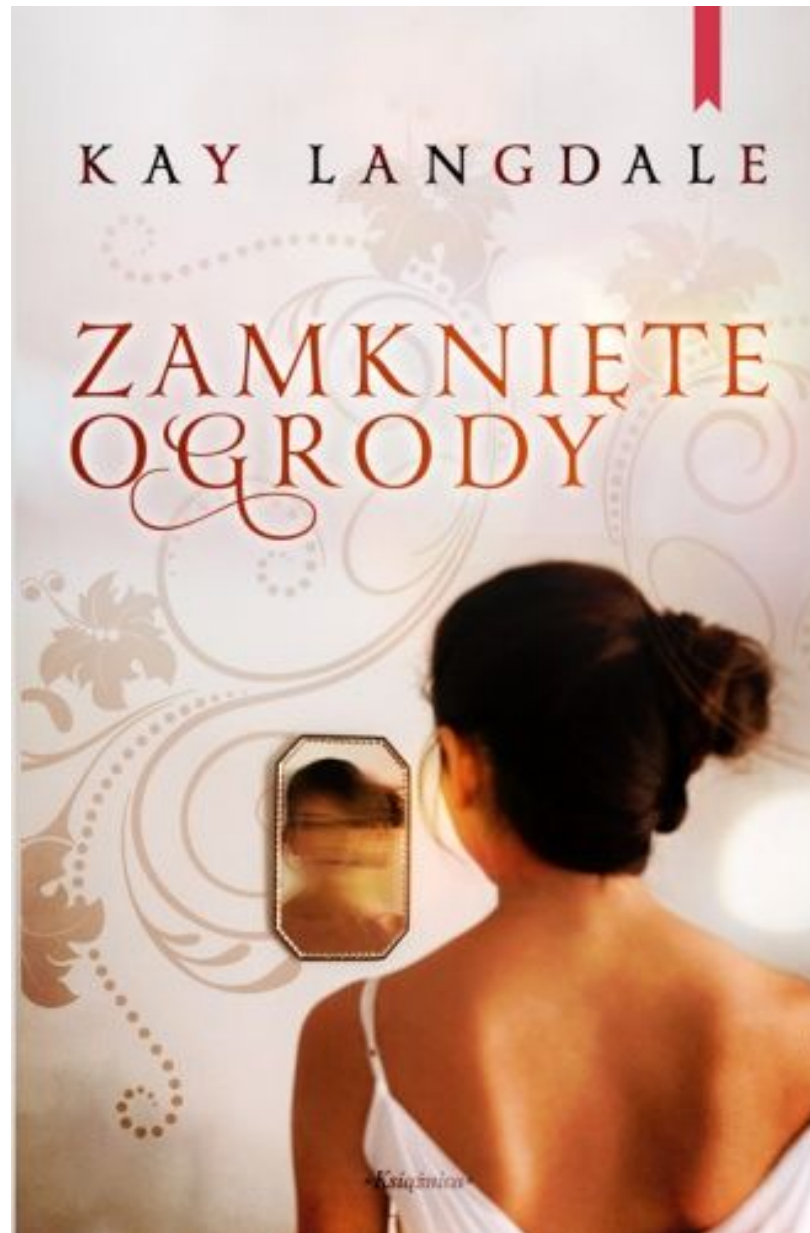


KAY LANGDALE

ZAMKNIĘTE
OGRODY



Langdale Kay

Zamknięte ogrody

Jane i Nick są zgodnym małżeństwem od dwunastu lat. Nie mają dzieci, bo nie chcą ich mieć; ich priorytetami są praca zawodowa, godziwy byt i spełnienie. Gdy chora psychicznie matka Jane zamieszkuje z nimi pod jednym dachem, ich dotychczasowe życie staje na głowie. Nowa sąsiadka samotnie wychowująca dwójkę dzieci – Evie, ściąga na siebie uwagę męża Jane. Nick nawiązuje bliski kontakt z synem Evie – Felixem, co sprawia, że budzi się w nim instynkt ojцовski. Pewnego dnia w domu Evie zjawia się jej siostra, Margaret, z niecodzienną propozycją... Historia pisana z perspektywy każdego z bohaterów w ujmujący sposób przedstawia ich życiowe tragedie. Czy podejmowane przez nich decyzje okażą się słuszne? Czy pragnienie miłości i akceptacji zwycięży nad skrywaną nienawiścią i uprzedzeniem?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zaczynamy tę opowieść w chwili, kiedy miłość zdążyła dojrzeć, ma już za sobą te czasy, gdy wszystko wydaje się nowe, czyste, świeże, przyprawia o zawrót głowy i mocne bicie serca. Z biegiem lat uczucia krzepną, tworząc pewny — choć zarazem nieco spowszedniały — fundament związku dwojga ludzi.

Jane i Nick Rogersowie od dwunastu lat są małżeństwem. Nie mają dzieci — przemyśleli to i mieć ich nie pragną. Są szczęśliwi. Z uśmiechem na twarzy, różnym sprężystym krokiem wchodzą w czwartą dekadę życia. Szczęście po pewnym czasie traci pełnię blasku, acz utrzymuje się jego zakumulowany efekt. Dla Jane i Nicka, którym praca zawodowa dała satysfakcję, spełnienie i godziwy byt, życie jest czymś, co mogą ująć, obrócić w dłoni, dokładnie obejrzeć i stwierdzić, że jest dobre. Lepsze — co skłonni są wzajem przyznać w ciemnym zaciszu sypialni — niż ośmielali się wierzyć, gdy je wspólnie zaczynali. Nie obyło się, rzecz jasna, bez smutków: rodzice Nicka zginęli przed pięciu laty w wypadku samochodowym, a ojciec Jane nie żył już od dawna — jego strudzone serce po prostu pewnego dnia odmówiło posłuszeństwa. Lecz gdy to pominiemy, musimy jasno stwierdzić, że Jane i Nick zawsze stali u steru. Oni decydowali, gdzie będą mieszkać, jak żyć,

jak się wzajemnie kochać. Są za to wdzięczni losowi, oboje bowiem wiedzą, że to rzadkość.

Powodzi im się lepiej, niż gdyby mieli dzieci; to zrozumiale. Nick wiele zainwestował w swój samochód — wypieszczoną brykę, za którą mali chłopcy oglądają się na ulicy. Mają ekspres do kawy, który ubija mleko na rozkoszną piankę. Oglądają w domu filmy z projektora na ekranie szerokim na trzy metry, a że pokój jest niewielki, czują się jak w kinie panoramicznym. Jedzą popcorn z wielkiej porcelanowej misy, nabierając pełne garście chrupiących ziaren. Słuchają Pucciniego, Mozarta i Szopena, a także Bacha i obszernej płytoteki ambitniejszych współczesnych wokalistów (Nick mawia półzartem, że są nieodwołalnie skazani na drugi program radiowy). Mogą też pozwolić sobie na luksus spędzania wakacji z dala od utartych szlaków. Na większe okazje Jane wkłada brylantowy wisior o szmaragdowym szlifie, który lśni jej na szyi zimnym blaskiem niczym kostka lodu.

Jane i Nick są porządnyimi ludźmi. Cechuje ich dobroć, którą być może należałoby precyzyjniej określić jako dobre wychowanie. To ten typ dobroci, który obejmuje uprzejmość i życzliwość dla bliźnich, przestrzeganie norm prawnych i społecznych. Sortują odpadki, martwią się emisją gazów cieplarnianych, nigdy nie skapią pieniędzy na cele dobroczynne, nie rzucają śmieci na ulicę, a w zeszłym roku wozili co niedzielę obiad pewnemu staremu człowiekowi w wiosce. (Robili to przez całe pół roku, które biedak przeżył po śmierci żony). Nie zżymają się na ukryte kamery, banki DNA i dowody osobiste, opowiadając się za społeczeństwem, w którym każdy obywatel świadomie i usilnie pracuje na rzecz pokojowego współistnienia; gdzie nie ostrzy się toporów, a odstawia je do lamusa, by pokryły się spokojnie patyną zapomnienia. Jak twierdzi Nick, jeśli ulsterskiego nastolatka bardziej ekscytuje rozbudowa

iPoda niż marsz oranżystów, należy to uznać za postęp.

Jane i Nick są tolerancyjni, pogodni, nieskażeni snobizmem i dostatecznie samokrytyczni, by nie odstręczać znajomych swoim doskonale zorganizowanym życiem. Mówiąc krótko, ich małżeństwo może budzić zazdrość. Może nawet rodzić zawiść, chęć przywłaszczenia, ogrzania się w nim jak w pożyczonym płaszczu.

Oni sami widzą jednak pewne niedociągnięcia. Często się zastanawiają, czy udałoby im się zamieszkać nad morzem, nie rezygnując z osiągniętych stanowisk. Chcieliby mieć psa; w wolnym czasie lubią spacerować, ale czują, że nieuczciwie byłoby skazywać zwierzę na samotność w zamkniętym domu przez pięć dni w tygodniu. Od lat powtarzają ten sam głupi żarcik (dość żalony, przyznają ze śmiechem): gdy nałożywszy kurtki i mocne wygodne buty, ruszają na przechadzkę, Nick przytrzymuje przez chwilę drzwi i gwizdże, jakby z wnętrza miał wybiec rozradowany labrador.

Ich codzienny żywot jest zarazem zwykły i nadzwyczajny. Nie muszą czerpać wody z na wpół wyschłej studni, nie budzi ich nocą alarm wzywający do schronu, nie muszą patrzeć bezradnie na puste sklepowe półki. Jane nie tuli do piersi niemowlęcia, po którego powiekach łążą nachalne muchy. Tego wszystkiego im oszczędzono. Są pełni życia, pełni energii; pogodnie patrzą w przyszłość, planując drobne przyjemności (na przykład w listopadzie wielkie ognisko dla wszystkich przyjaciół — huczący wysoko ogień i zupa pomidorowa z olbrzymiego sagana). Nick gra w miejscowej drużynie krykieta, a w każdą niedzielę jeździ do miasta na hokej. Razem grają w tenisa, w letnie popołudnia zaś siadają w ogrodzie, sączą koktajl miętowy i łuszczą groszek do cedzaka. Wieczorami każde siedzi przy swoim laptopie, lecz ilekroć jedno podniesie wzrok na to drugie, zajęte pracą, czuje ciepłą, niemal namacalną tkliwość.

W łóżku Nick wodzi palcem po sterzcących kościach miednicowych Jane. To moje, mówi, poznałbym cię po nich z zamkniętymi oczyma.

W ich wzajemnym stosunku najwięcej jest życzliwości. Słuchając cudzych zwierzeń, Nick konstatuje ze zgrozą, jak często małżeństwo jest ciągłą zacieklą wojną. Zastanawia się, czy powodem nie jest to, że jako pierwsza wygasa w nim sympatia. Często myśli, że mając wybór między namiętnością a sympatią, większość ludzi zapewne wybrałaby to drugie — wielką masę zwykłej ludzkiej przychylności rozpostartą niczym gruba warstwa masła na chrupkim toście. Z pewnością to ona właśnie charakteryzuje współżycie Jane i Nicka. Drobne codzienne starcia nie zdołały jej naruszyć.

Nick przypomina sobie stwierdzenie któregoś z kumpli o konieczności wytyczenia szlaku do czyjegoś serca i uświadamia sobie zaskoczony, że Jane nie potrzebowała ani mapy, ani klucza. Wylądowała gładko wprost w jego sercu w chwili, kiedy się poznali. Od początku nie było miejsca na wątpliwości. Ich związek zdawał się nieunikniony.

W niedzielne poranki Jane często wyleguje się w łóżku; Nick schodzi do kuchni, robi cappuccino, smaży naleśniki i bekon. Krzątając się po kuchni, śpiewa, a jego głos, melodyjny i czysty, unosi się po schodach. Jane jest przekonana, że człowiek nieszczęśliwy nie mógłby śpiewać, że opar melancholii zdławiłby płynące z ust dźwięki. Kiedy więc Nick rano śpiewa, Jane przeciąga się w pościeli i przebiera do rytmu palcami stóp, ciesząc się jego szczęściem, ciesząc się tą niewiarygodną wielką wygraną loteryjną, jaką jest ich małżeńska miłość.

Oświadczył się jej, kiedy byli na nartach w Kanadzie. Nick jeździł dużo, szybko i ryzykownie. Na koniec każdego zjazdu podnosił w górę obie ręce z kijkami jak sprinter, który rzuca się na niewidzialną taśmę. Ten prosty gest zawierał całe pokłady radości, optymizmu, wiary w dobro. Patrząc wstecz, Jane doszła do wniosku, że właśnie tym gestem Nick wzbudził jej ufność, natchnął ją odwagą, by podążyć za nim wszędzie.

Zjeżdżali po stoku, omijając drzewa nakryte grubymi białymi czapami; śnieg tłumiał wszystkie dźwięki, było cicho i miękko. Zatrzymali się przy dwóch krzakach, które chmara sójek z zapalem objadała z jaskra-woczerwonych jagód. Na głos Nicka ptaki poderwały się w górę, ich skrzydła zamąciły, zmieszały ciche szare powietrze. Jeszcze wiele lat później, ilekroć Jane wracała z pracy w szarym jesiennym zmierzchu, widok stadka ptaków przycupniętych na gałęziach, których zawył deseń rysował się na tle nieba, przywodził jej na myśl tamtą chwilę: przejrzysty chłód, czerwień jagód, skrzydła sójek i Nicka — dar, który tylko jej zosta! dany.

Kariere zawodowa udało im się zrobić bez kolizji interesów i zbytnich poświęceń żadnej ze stron. Wyjątkiem były dwa lata spędzone w Pradze. Nicka wysiała tam jego firma; Jane pracowała trochę jako wolny strzelec, głównie za pośrednictwem internetu. Gnieździli się w małym mieszkanku, którego okna wychodziły na brukowany plac. Po deszczu bruk przybierał niebieskie zabarwienie. Jane ozdobiła wnętrze barwnymi świecami i grubymi dywanikami, nauczyła się pić jasne piwo, piekła ciasta z owocami, przeczytała wszystkie powieści, które zawsze chciała przeczytać, próbowała (bez powodzenia) nauczyć się czeskiego i nabrała niezwyklej wprawy w malowaniu sobie paznokci u nóg (na czerwono). Kiedy wrócili do Anglii, odzyskanie pozycji zawodowej kosztowało ją trochę czasu i starań. Niewygórowana cena za dwa lata bez żadnych trosk.

Nick pracuje w dziale marketingu firmy Unilever. O jego pozycji świadczy narożny gabinet z dwoma oknami i rosnąca rzesza podwładnych. Zajmuje się głównie detergentami — tabletkami, kapsułkami, płynami i że

lami, dzięki którym pranie jest nieskazitelnie czyste i pachnie świeżością. Brał udział w niezliczonych dyskusjach panelowych, podczas których kobiety skarżą się na tyranię brudów, mnożących się i agresywnych, jakby były żywe. Kiedyś zwierzył się Jane z wątpliwości, czy poza korzyściami gospodarczymi, jakie przynosi wprowadzenie na rynek danego produktu (który daje zatrudnienie ludziom i zysk fabrykom i pakowniom, agencjom reklamowym i supermarketom), jego praca ma jakąkolwiek wartość moralną.

Kilka miesięcy później Jane przytoczyła mu zdanie z powieści, którą właśnie czytała do poduszki. Posłuchaj tego, powiedziała. Miłość da się odmierzyć tym, co czujemy na widok prania.

Nick zachował to zdanie w pamięci i do dziś jest jej wdzięczny. Nadało jego detergentom pewną wagę emocjonalną wykraczającą poza niemodne już odniesienia do dobrych gospodyń i zadbanych dzieci w czystych białych koszulkach. Cóż, Nick ma po prostu uczuciowy stosunek do swoich produktów i kampanii.

Jane pracuje w pionie finansowym niezależnej szkoły; miarą jej dokonań zawodowych są nowe budynki, sprzęt, stypendia dla uczniów, których nie stać na chesne. Nadzoruje edycję kolorowych broszurek, które zachęcają do sponsoringu, organizuje sprzedaż pamiątek i letnie bale. Ma na biurku niewielkie urządzenie, które monitoruje rozziw między potrzebnymi funduszami a tymi, które są do dyspozycji. Kiedy się zamyśli, turla po blacie małą kulkę łożyskową, jakby swoboda jej ruchu miała stać się wzorem dla tego, co zamierza osiągnąć.

Żyjemy w czasach, w których imperatywem stały się koncentracja i równowaga. Trzeba uczciwie przyznać, że Jane i Nickowi udało się osiągnąć i jedno, i drugie. W ich życiu jest miejsce zarówno na treść, jak na odpoczynek. Mają swoje nawyczki, co zrozumiały w ich wieku i z ich stażem. Zimą Jane marzną nogi, sypia więc

w skarpetkach z kaszmirowej wełny, mocno wtulając puszyste łąskoczące stopy w łydki Nicka. Nick z wiekiem nabrał upodobania do miodu i wołowiny, toteż czasem w niedzielę jadą do sklepu z wiejską żywnością, gdzie kupują naturalne wołowe żeberka o rubinowym, biało żyłkowanym mięsie oraz słój pszczelego miodu o lawendowym posmaku. W sklepie sprzedają także niepozorne chlebki wypiekane wedle starej angielskiej receptury. Jane i Nick pogryzają je oparci o płot, za którym pokwikują gloucesterskie prosięta, z przyjemnością patrząc na bladoróżowe ciała. Od niedawna Jane musi wkładać okulary, kiedy druk jest drobniejszy albo światło za słabe; zirytowana wiecznym ich szukaniem zakupiła pół tuzina par w najtańszych oprawkach i porozkładała w strategicznych miejscach w całym domu. (Nick ograniczył nieco jej inwencję, stawiając weto, kiedy jedna z nich znalazła się w rozwidleniu gałęzi starej wiśni, pod którą Jane czytuje niedzielne gazety). Nick ma za sobą obsesyjne poszukiwania naprawdę wygodnych butów trekkingowych albo okularów pływackich, które nie przepuszczają wody, albo takiej lampki nocnej, która byłaby mała, a dostatecznie mocna, żeby mógł swobodnie czytać, nie budząc Jane. (Nick nie znosi lampek przypinanych do wezgłowia, dających wąski, idealnie okrągły snop światła, pod którym trzeba przesuwac strone niczym banknot w testerze).

Znamienne dla ich miłości jest właśnie to, że wszystkie te drobne dziwactwa spotykają się ze zrozumieniem, choć Jane po kryjomu rozdała piętnaście par okularów pływackich bez wiedzy Nicka. (To klęska żywiołowa!

— zwierzyła się kiedyś Elizie, swojej koleżance z pracy.

— Za każdym razem kiedy otwieram szafę, wysypuje się z niej lawina gogli).

W staroświeckiej baśni lub gęsto zaludnionym przez bogów greckim micie narrator zatrzymałby się w tym

miejscu, chcąc zaakcentować chwilę, w której bohaterowie przez swoją pychę, poczucie wyższości lub choćby samozadowolenie nieświadomie uruchamiają lawinę nieszczęść. Nie chcemy tu oskarżać Jane i Nicka o pychę; „oskarżenie” zresztą nie jest właściwym słowem. Wiadomo jednak, że w każdym takim spektaklu da się wyróżnić pewien kluczowy, początkowy moment, od którego wszystko zaczyna się chwiać w posadach — być może zgodnie z prawem, że dobra passa nie może trwać wiecznie. Przykłady można mnożyć. Thelma i Louise. Butch Cassidy i Sundance Kid. Każdy psychiatra powie wam, że dobrze jest móc powiedzieć: „to wtedy” lub: „to dlatego”. Może po prostu łatwiej pogodzić się z życiem, gdy widzi się w nim pewne logiczne zależności, a nie tylko plac zabaw swawolnego przypadku. Człowiek odczuwa nawet pewną satysfakcję, będąc świadkiem, jak z urwiska zsuwa się i toczy pierwszy kamień

— beztroski zwiastun kataklizmu.

Jako się rzekło, Jane i Nick nie są pyszni. Na pastwę złośliwego losu nie wydal ich snobizm ani arogancja. Może po prostu zgrzeszyli pewnością siebie. Szczęście i spokój ducha rodzą złudne poczucie, że człowiek panuje nad swoim życiem, jest w stanie kształtować wydarzenia, naginać je do wzorca, który wydaje mu się rozsądny i akceptowalny. Że coś, na co ktoś inny by się nie powążył, dla mnie jest normą. Być może u Jane i Nicka zadziałał też archetypiczny nakaz moralny; wiara, że jeśli można pomóc, trzeba to uczynić, i uczynić z chęcią — ot, błyskawiczny podkorowy impuls, by stanąć na wysokości zadania.

Gdzie zatem szukać początku? Co uruchomiło całą sekwencję zdarzeń ze wszystkimi jej klęskami i niełatwymi kompromisami? Łatwo byłoby przypisać wstrząs pierwotny — to leciutkie, ledwie wyczuwalne drżenie

— Jane i Nickowi. Łatwo byłoby go umiejscowić w sypialni. Jakaś niezamierzenie szorstka wymiana zdań

czy uwaga, która dosięgnęła celu, pozostała w pamięci niczym jątrząca drzazga. Być może nagła myśl w kłębach pary pod prysznicem, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, że ktoś trzyma karty zbyt blisko siebie. W istocie jednak przyczyna może leżeć gdzie indziej, a punkt zapalny — epicentrum — być oddalone o wiele mil. Srebrna kulka zawieszona z innymi w schludnym rządku osiąga punkt, w którym wprawia pozostałe w ruch i ruchu tego nic już nie jest w stanie zatrzymać. Wynik? Ano taki jak zawsze: ruina.

W tym konkretnym przypadku warto by zajrzeć do szeregowego domku jakieś dziesięć mil od domu Jane i Nicka. Najlepiej tego ranka, kiedy matka Jane, Vera, zapomniawszy o wizycie u dentysty, włożyła do pralki zamiast proszku funt masła wraz z odzieżą, a następnie udała się na zakupy w kapciach i nocnej koszuli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Udany związek niekoniecznie musi być skrajnie szczery. Miłość nie obliguje do tego, by wyrzucić z siebie wszystko, opróżnić sakwy i juki i rzec: „Proszę! Oto jaki jestem”. Miłość dopuszcza istnienie obszarów — choćby niewielu — które z przyzwyczajenia, z lenistwa albo z innych, mroczniejszych przyczyn nie bywają przedmiotem rozmów. Są to terytoria o zwyczajowo nieprzekraczalnych granicach, nisze milczenia, do których się nie zagląda, nawykowo obchodzi się je dookoła ścieżką znaną na pamięć jak trasa z łóżka do łazienki przy zgaszonym świetle.

Czymś takim właśnie jest Vera — tematem, którego prawie nigdy się nie porusza, który lepiej pominąć. Zapytana o powód, Jane zapewne uchyliłaby się od odpowiedzi. Nawet dziś, gdy od wielu lat jest dorosła, a jej życie toczy się gładko, pewnie, bez zahamowań.

Jane wie, że jeśli choć raz zacznie mówić o matce, wyrzuci z siebie wszystko. Długą historię małych, lecz dotkliwych ran, katalog słów, które tną do krwi. Jeśli raz zacznie, rozpęta coś, czemu nie będzie końca; i później na spacerze, na plaży lub przed telewizorem obróci się nagle do Nicka, mówiąc: „A tu masz kolejny przykład. Jak sądzisz, dlaczego to zrobiła?”. Nie może oczekiwać, że Nick da jej odpowiedź. Nie,

Jane już dawno podjęła decyzję. Postanowiła być radosna, energiczna i nie mówić zbyt wiele o sobie. W jej małżeństwie nie ma miejsca dla Very. Jeśli ktoś o niej wspomni, Jane z ręcznie kieruje rozmowę na inny temat. Po wizycie Very przenosi się szybko z pokoju do pokoju, uniemożliwiając rozpoczęcie rozmowy, która mogłaby sprowokować Nicka do pytań o jej matkę.

Mówiąc o dzieciństwie, Jane koncentruje się na ojcu albo na czymś nieosobowym, neutralnym — na przykład na wyprawach do czytelnicy, gdzie pochłaniała książki w dusznym kąciku wydzielonym dla dzieci. Już jako dorosła kobieta uświadomiła sobie, że wszystkie ulubione lektury jej dzieciństwa traktowały o dzieciach przywróconych do normalnego życia przez świeże powietrze i dobrych ludzi. W *Heidi* Piotrek zrzuca z urwiska fotel na kółkach i czyni to bezkarnie, bo nagle się okazuje, że Klara może chodzić, a to dzięki temu, że piła kozie mleko, jadła chleb z serem i spała na sianie w dziadkowej kolibie. Colin z *Tajemniczego ogrodu*

— wąły, krzywy i zmierzły — przeistacza się, wdychając pełną piersią zdrowe powietrze Yorkshire i sadząc cebulki kwiatów w żyznej wilgotnej ziemi. Jane ma świadomość, że oba te przykłady wiele by powiedziały uważnemu psychiatrze, który bez wahania wskazałby na związek Nicka na zaśnieżonym górskim stoku w Kanadzie z jej własną wersją mitu o odkupicielskiej mocy świeżego powietrza i miłości. Zmuszona jest w duchu przyznać, że zapewne miałby nieco racji.

Teraz jednak — tego ranka, od którego zaczniemy

— nie ma już możliwości uniku lub wybrania okrężnej drogi. Jane stoi w kuchni z kluczykami do samochodu w ręce. Właśnie wróciła z dość szczególnej wizyty u swojej matki. Zastała ją odzianą w gumowce i kapelusz plażowy, w swetrze włożonym tyłem na przód. Woda z wanny zalała całe piętro, na suficie parteru już wybrzuszył się tynk. Jane brodząc w wodzie, prze-

mierzyła łazienkę i zakręciła kran, a teraz ma mokre spodnie. Została zmuszona do tej rozmowy z mężem, ponieważ jest jasne, że trzeba podjąć jakieś kroki, i to szybko. Mówi do Nicka:

— To zupełnie do niej niepodobne. Naczynia stoją w zlewie nie pomyte. W piekarniku znalazłam wczorajszy obiad. Ponoć właśnie miała dzwonić po hydraulika, tylko że telefon leżał w zmywarce.

Wymawiając te słowa, Jane czuje łomotanie w piersi. Rozmowę może zacząć dowolny impuls. Może nim być ważna, paląca sprawa i sposób jej optymalnego rozwiązania, jakim w tej sytuacji jest niewątpliwie decyzja, aby skonsultować się z lekarzem Very i ustalić, co jej dolega. Rozmowy mogą jednak także krążyć wokół spraw trudniejszych do sprecyzowania, wypływać z przemilczeń, z toczonych w sekrecie bojów z samym sobą, z sygnałów alarmowych, które tylko serce jest w stanie dosłyszeć. W naszym przypadku mają one niebagatelną wagę.

Niektórzy ludzie noszą w sobie silny bodziec, by postępować jak należy. Mówiąc w skrócie, chcą czynić dobro niezależnie od tego, jak miałyby się przejawiać. Owego ranka Nick ewidentnie uległ tej przemożnej potrzebie. Jego rodzice nie żyją; odebrano mu szansę zapewnienia im godziwej starości i zapewne to właśnie nastraja go przychylnie do Very. Czasowe zaopiekowanie się starą kobietą — mówi sobie w duchu — nie jest przecież zbyt wielkim poświęceniem. Efektem tych przemyśleń jest propozycja rzucona lekko, wręcz zdawkowo:

— Może powinna zamieszkać z nami do czasu, aż znajdziemy dla niej przyzwoity dom opieki... jeśli oczywiście tego chcesz.

Dorzuczone zdanie jest efektem spóźnionej refleksji: Nick uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie ma zielonego pojęcia, jakie w tej materii jest stanowisko jego

zony. Później, analizując w myśli własne słowa, widzi w nich dowód miłości — komunikat: „Cokolwiek postanowisz, będzie OK”.

— Chcesz tego? — pyta odrobinę mniej pewnie i już rozpracowuje w myślach logistyczną stronę zagadnienia, uznając z góry, że Jane może na jakiś czas przerwać pracę, a potem do niej wrócić. Nie grożą im trudności finansowe. Rozmaite aspekty sprawnie przebiegają mu przez głowę w czasie, gdy Jane milczy.

Jane milczy, zaciska w dłoni kluczyki. Nareszcie, po tylu latach, w ten niedzielny poranek w kuchni przyszła chwila, by wyrzucić z siebie wszystko. Powiedzieć: „Ależ ja jej nienawidzę!”, wypluć to z siebie jak zbitą twardą kulę sierści i kości. I gdyby trzeba cokolwiek dodać: „To zła kobieta i jej los w najmniejszym stopniu mnie nie obchodzi”. Oczyma wyobraźni widzi zgrozę, jaka odmalowałaby się na twarzy Nicka, rozważa więc wersję dyplomatyczną: „Po moim ślubie nasze drogi się rozeszły i nie chcę tego zmieniać”. Mogłaby również dać wyraz niepewności, lękowi, tłumacząc, że zachowań wpojonych w dzieciństwie nie sposób wykorzenić i gdy status osoby dorosłej zostanie raz podważony, natychmiast automatycznie ozywają dawne wzorce podporządkowania. Niektóre relacje, ma ochotę mu powiedzieć, są niezmiennie.

Zamiast tego wszystkiego mówi tylko:

— To nie takie proste.

Gładka, nic nie mówiąca odpowiedź osoby skrytej. Jane chce przede wszystkim dać sobie czas do namysłu. Czas na podjęcie toczonego od dawna boju z samą sobą. Zadawniony dylemat polega z grubsza na tym, by w kontaktach z matką nie zejść do jej poziomu, być dobrą wobec kogoś, kto z pewnością dobry nie jest, i zarazem nie dać się z powrotem zepchnąć do roli ofiary. Dylemat nigdy nie został rozwiązany, pozostawił jątrzące się pragnienie (które Jane na co dzień stara się

ignorować), aby raz wreszcie zmienić reguły ich pojedynku. Bunt pod maską dobroci — byłby to cel zarówno ambitny, jak poprawny. Stojąc obok zmywarki i patrząc na Nicka (który siedzi przy stole pełen dobrych chęci), Jane nagle pojmuje, że taka koncepcja będzie jednak wymagać kilku wyjaśnień już na samym wstępie.

W następny poniedziałek Jane siedzi w gabinecie lekarskim, mając u boku nieobecną duchem, lecz na szczęście względnie uległą matkę. Doktor taktownie daje do zrozumienia, że nie jest wskazane, by Vera nadal mieszkała sama. Kierowniczka przychodni udostępni Jane listę domów opieki. W tle słów lekarza rozlega się inny, cichszy dźwięk. Vera bębni palcami lewej dłoni w kość przedramienną prawej. Doskonale odmierzony rytm zaskakuje militarną precyzją. Patrząc wstecz, Jane będzie w nim słyszała werbel przed bitwą. W tamtej chwili martwi się tylko o to, czy matka za chwilę nie czknie lub nie puści wiatrów, co wobec troskliwej postawy lekarza stanowiłoby przykry zgrzyt. Nakrywa dłonią rękę matki, samym gestem, bez słów, starając się ją skłonić, by przestała. Kiedy wychodzą z przychodni, Vera nagle otrząsa się z apatii.

— Pan doktor dał się nabrać — stwierdza. — Teraz mu się zdaje, że jesteś dobrą córką.

Później, w czasie, który nie będzie już ani wolny, ani odpowiedni, Jane nieraz będzie snuć rozważania nad niedocenianą dyskretną potęgą rozpędu. Pomysł, który wydawał się do ogarnięcia, pęcznieje, wypuszcza macki i miażdży cię swoim ciężarem niczym poduszkowiec lądujący na piasku. Pierwotne założenia — Jane jeszcze się o tym przekona — zmiata twarda rzeczywistość nowo ustalonej praktyki. Wszystko to dopiero ją czeka. Tamtego pierwszego poranka w kuchni była pewna, że wraz z Nickiem mają wszystko pod kontrolą. Ze to oni będą określać warunki.

W tym punkcie początkowym Jane i Nick nie są jeszcze świadomi faktu, że zdarzeń rzadko doświadczą się pojednczo, w oderwaniu od innych. Rzeczy dotąd nieznanie nabierają nagle mocy i znaczenia. Na razie są tylko zaskoczeni tym, jak szybko podjęta decyzja nabiera wiatru w żagle i zaczyna żyć własnym życiem. Dwa tygodnie później Jane przygotowuje się do przewiezienia matki i jej rzeczy — oczywiście tylko na pewien okres — do ich domu. Tymczasem odwiedziła dwa domy opieki; warunki w nich panujące uznała za gorsze niż w psiarni. Trzeci jest za drogi; Jane nie ma zbytnej ochoty zbankrutować przez matkę. Czwarty zgodził się zaprosić Verę na próbny weekend w przyszłym miesiącu.

— Tylko tak można podjąć przemyślaną decyzję — oznajmił jej dyrektor. — Chcemy wiedzieć, kogo przyjmujemy.

Przeprowadzka ma miejsce w styczniowy ranek, nietypowo ciepły jak na tę porę roku. Nie ma mrozu, szronu ani przejrzyście błękitnego nieba. Przeciwnie, w powietrzu unosi się szarawa wilgotna mgiełka, jakby pozostałość dymnego światła brzasku. Bezbarwny, skrząco przedłużony antrakt, nim na scenę wdrze się zieleń i światło — wiosna. Gdyby jedząc pospiesznie śniadanie w kuchni, Jane wyrzuciła za okno, zobaczyłaby, że w ogrodzie zaczynają kwitnąć przebiśniegi — drobne, lecz zdeterminowane emanacje energii ziemi pogrążonej jeszcze w letargu.

Uwagę Jane przykuwa co innego — przed sąsiednią posesją zatrzymuje się mały samochód. Wysiada z niego kobieta z dwojgiem dzieci. Po chwili zaczynają wnosić do domu torby i pakunki. Istotnie, agent mówił, że dom został wynajęty. Jane pytała o niego, kiedy przyszło jej na myśl, że mogłaby w nim umieścić matkę

wraz z nocną pielęgniarką. Jak na złość okazało się, że się spóźniła. Podpisano już nową umowę.

— Typowe! — żaliła się Nickowi. — Dom stoi pusty przez pół roku, a kiedy jest potrzebny, zajmuje go kto inny.

Pakując do torebki kluczyki i telefon komórkowy, Jane widzi z okna w holu nową sąsiadkę. Jest drobnej budowy, ładna. Na biodrze trzyma małą dziewczynkę. Chłopiec idzie przodem, niesie duże kartonowe pudło. Patrzy na samochód Nicka i mówi coś do matki, a ona się śmieje. Rzuca mu klucz, chłopiec łapie go w powietrzu.

Kobieta przystaje, patrzy na swój dom, potem na dom Rogersów. Wzrokiem przebiega ogród; zapewne już się domyśliła, że nie mają dzieci. Brakuje huśtawki lub zjeżdżalni, rzuconego w pośpiechu roweru, dziurawej piłki futbolowej gnijącej sobie cicho w żywopłocie.

Wyciąga z torebki niewielki plik kopert.

— Felix! — woła. — Wrzuć je, proszę, do skrzynki, jest na rogu!

Nazajutrz jedna z kopert trafia do rąk siostry nowej mieszkanki. W pojęciu adresatki wizytówka powinna wyglądać całkiem inaczej: granatowy lub czarny tłoczony napis na kremowym kartonie o odpowiedniej gramaturze. Otrzymane właśnie zawiadomienie o zmianie adresu da się określić tylko jednym słowem: świstek. Upchnięty w kopertę krzywo przycięty świstek, trochę pozłotki i topornie narysowany kwiatek. Na brzegu ślad rozmazanego palcem atramentu. Pod obrazkiem charakterystyczne, stawiane jak zawsze stalówką kaligraficzną litery, które w dziwny sposób kłócą się z pozłotką. Kobieta odczytuje nowy adres i obraca się do męża, który patrzy na nią cierpliwie zza kuchennego stołu.

— Evelyn znów się przeprowadziła. — W głosie siostry znużenie miesza się z irytacją. — Ciekawe po

co. Jakby zmiana otoczenia mogła rozwiązać jej życiowe problemy!

Spakowanie rzeczy matki do waliz i kartonów zajmuje Jane cały dzień. Vera stoi obok z rękami złożonymi na piersi. Pozornie nie zwraca na nic uwagi, wzrok ma wbity w dal, w niewidzialny horyzont. Co jakiś czas ożywa, szarpie Jane za ramię.

— A to mi na co? — syczy ze złością. — Skąd ci wpadło do głowy, że chcę to zabrać?

Jane cierpliwie wyjmuje sporną rzecz z walizki. Niektóre ukradkiem wkłada z powrotem, kiedy matka nie patrzy.

Czas biegnie w odcinkach, dzielony na okresy otępienia i czujności. Vera trzyma w ręku pilot do telewizora i co chwilę pyta, do czego służy. Potem nagle spowijająca jej oczy biaława jedwabista mgła niknie zastąpiona przez ostry błękit, podbródek wysuwa się zaczepnie.

— Powinnaś była zadzwonić, że przyjeżdżasz. — mówi ostro. — Mam swoje sprawy. Mogłam być zajęta.

Jane opiera się pokusie, by odszczeknąć: „Czym? Upychaniem majtek do zamrażalnika?”.

Przez cały czas ma wrażenie, że krew odpływa jej do stóp i dalej, przesiąka przez dywan do rozpościerającej się niżej otchłannej pustki. Żałuje, że nie ma przy niej Nicka; niepokoi ją paskudne przeczucie, że wspólna decyzja niekoniecznie oznaczać będzie wspólny wysiłek. Oczyma duszy widzi męża w pracy, z filiżanką caffè latte na biurku. Uzbraja się w cierpliwość i zastanawia, po co to wszystko robi; potem sobie przypomina, że to tylko na jakiś czas. W torebce ma pokrzepiająco gruby plik adresów i telefonów, wykaz domów opieki dostarczony jej przez kierowniczkę przychodni. Zostało jeszcze kilka, będzie do nich kolejno dzwonić, na pewno wkrótce problem sam się rozwiąże.

Matka stoi o krok od niej i Jane czuje niemal fizyczny nacisk na ramię i obojczyk. Uświadamia sobie, że przez całe dorosłe życie z dala od niej nie zdołała się wyzbyć uczucia, że Vera jest tuż obok, jak zawsze krytyczna i gotowa do ataku. Jedyna różnica polegać będzie na tym, że teraz atak rzeczywiście nastąpi. Jeśli, rzecz jasna, jej matka nie zmieniła upodobań, a wyłaniające się z tej mleczej mgły pazury są wciąż równie ostre.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jane

To nie takie proste. Tak powiedziałam Nickowi wtedy, w kuchni, ponad pół roku temu. Myślałam wówczas, że będzie to komplikacja dla niego, nie dla mnie. Wydawało mi się, że miałam dość czasu, wiele długich lat na rozmyślanie o matce, rozgryzanie i przeżuwanie naszych wzajemnych relacji do momentu, w którym będę mogła stwierdzić, że pojmuję jego istotę, i stosownie do tego się zachowywać. To prawdopodobnie jedno z wielu moich błędnych założeń. Słowo „komplikacja” okazało się jednak trafne. Cała ta sprawa jest skomplikowana.

Kiedyś, jeszcze za czasów studenckich, miałam kochanka, czarnowłosego jak Cygan. Po seksie kładł się na boku, opierał głowę na łokciu i prowadził ze mną długie rozmowy. Którejś nocy, a było to po wizycie u moich rodziców, odezwał się nagle, bez wstępów: „Twoja matka to świnią, ma to wypisane na twarzy, wystarczy spojrzeć. Kiedy wreszcie przestaniesz skakać wokół niej na tylnych łapkach i powiesz jej, żeby się odpieprzyła?”. Niedługo potem nasz związek się rozpadł. Nie z powodu tego, co powiedział — prawdę mówiąc, otworzył mi oczy na coś, co do tamtej pory w ogóle nie wpadło mi do głowy — głównie dlatego, że był to związek płytki, powierzchowny, brakowało

w nim żaru i miał całą masę powszednich wad. Tamtej nocy jednak, kiedy już zasnął, przyszło mi na myśl, że to mogłoby być takie proste, łatwe i skuteczne. Trochę jak w tej musicalowej piosence. Tej o pozbyciu się z głowy kochanka, wypłukaniu miłości podczas mycia włosów. Niestety, z matkami rzecz ma się nieco inaczej. Ma się je nie tylko we włosach, także w krwinkach, szpiku kostnym, pęcherzykach płucnych i miedniczkach nerkowych. W każdym razie na pewno tak jest z moją matką. Myślę, że to efekt zatrucia doznanego w dzieciństwie. Poświęciłam tyle czasu na obserwacje jej działań i próby znalezienia w nich sensu, że po prostu za dużo się jej nawdychałam. Innym razem myślę, że sama wepchnęła mi się pod skórę, dźgając palcem i bojowo wysuniętym podbródkiem. Nie było przed nią ucieczki. Żadnego schronienia.

Skądinąd już po rozstaniu z tym przystojnym brunetem, który palił papierosy (do dziś pamiętam jego wijące się włosy, które odgarniał z czoła, i dotyk szorstkiego podbródka na mojej twarzy), rozważyłam dogłębnie wariant z „odpieprz się” i stwierdziłam stanowczo, że nie wchodzi w grę. Miałam uczucie, że nadałby całej sprawie zbyt wiele dramatyzmu. Wiedziałam ponadto, że jeśli to zrobię, do końca życia będę sobie zadawać pytanie, czy postąpiłam słusznie. Wyobrażałam sobie, jak znajomi mi mówią: „Lata na pewno ją zmieniły” i: „Niedobrze jest chować urazy” albo: „Ona umrze i nie będziesz już miała szansy się z nią pogodzić”. Tak czy owak byłoby to coś, co się wyróżnia z tłą, stanowi temat rozmów. „Wiecie, że Jane w ogóle nie rozmawia z matką? Tak, matka nie była nawet na jej ślubie...”. Dostarczyłabym tylko wody na cudzy młyn — przede wszystkim na młyn Very, zapewniając jej ostateczne zwycięstwo.

Zamiast tego więc zaczęłam rozważać inne opcje. Zwyciężyła ta, dzięki której moje życie leży dziś w gru-

zach. Postanowiłam być uprzejma i grzeczna. Brzmi to trochę jak instrukcja dla przedszkolaka. Bądź grzeczna. Jeśli nie masz nic miłego do powiedzenia, w ogóle się nie odzywaj. Bądź grzeczna; otocz się warstwą ochronną, grubą gładką polewą, gęstą jak wosk lub biała czekolada, i skoncentruj się na współistnieniu. Przestań o tym myśleć, analizować, po prostu żyj obok. Prześliznij się nad tym jak kajakarz, który przemyka szybko po tafli jeziora, nie zanurzając się w wodzie i nie patrząc w głąb z obawy, co mógłby tam ujrzeć. Ja zobaczyłabym przypuszczalnie siebie, dziesięcio- lub jedenastoletnią, rozszarpaną na żalosne strzępki. W każdym razie to wszystko jest przyczyną, że nigdy nie rozmawiałam z Nickiem naprawdę szczerze — nawet gdy po seksie opierał głowę na zgiętej w łokciu ręce i (co prawda bez papierosa) analizował zachowanie mojej matki albo po prostu zadawał mi pytania. Nie. W ciągu tych wszystkich lat, które przeżyliśmy razem, starałam się mówić o niej jak najmniej. Myślałam sobie: „Jeśli nie będę tego rozdrapywać, szybciej się zagoi”. Czy mogło się zagoić? Teraz w to wątpię.

Starałam się więc traktować moją matkę podobnie jak resztę świata: powstrzymywać się (przeważnie) od osądów, być uprzejmą, tolerancyjną, unikać jednoznacznych konfrontacji. A jednak myślę, że u podstaw tej strategii legło coś zgoła odmiennego — bunt. Odmowa przyjęcia jej reguł gry, zejścia do jej poziomu. Powiedziałam sobie, że bycie miłą i uprzejmą to najskuteczniejszy odpór, jaki mogę jej stawić, taktowne przypomnienie, że nie zdołała mnie ukształtować na swój obraz i podobieństwo. Dziś jestem prawie pewna, że tylko dla mnie było to tak przejrzyste, a do matki w ogóle nie dotarło. Co najwyżej moja konsekwentna bierność prowokowała ją do kolejnych ataków.

I tak, wmawiając sobie, że na długą metę moja strategia jest korzystna, sama włożyłam głowę w pętlę,

angażując się czynnie w wybór domu opieki i lokując matkę u siebie do czasu, aż znajdę odpowiednie miejsce. „Odpowiednie” to nader ambitny zamysł; teraz zdaję sobie sprawę, że mogę mieć problem ze znalezieniem jakiegokolwiek miejsca, gdzie zgodzą się ją przyjąć.

Od samego początku miałam złe przeczucia. Wizja mojej matki w domu starców nie należała do przyjemnych. Czułam, że ilekroć wynurzy się z mętnych wód otępienia, będzie jak krokodyl gotowy kąsać. Przysiadzie z grupką kobiet snujących wspomnienia, kiwających głowami nad skrawkami swoich losów — i będzie pluć jadem, śmiać się szyderczo wprost w ich miękkie zapadnięte twarze, zionąć pogardą przez zaciśnięte zęby. Spodziewałam się, że będzie dokuczać pielęgniarce, prowokując je do drobnych podłostek w odwecie. Kiedy będę ją odwiedzać, bąkną oględnie: „No, dziś dała nam trochę popalić”, a ja w mig zrozumieję, że mają na myśli stek złośliwości i inwektyw. Wyobrażałam sobie własny wstyd zmieszany z tajoną radością, że to nie ja muszę tego wszystkiego wysłuchiwać.

Rzeczywistość okazała się naturalnie znacznie gorsza, a zachowanie matki po stokroć przerosło moje skromne obawy. Na dodatek powstał pewien drobny problem natury moralnej, który muszę dopiero rozwiązać. Cztery miesiące temu dom opieki Sunningwell wziął matkę na próbny weekend. Kiedy podjechałyśmy do wejścia, przez długą chwilę wpatrywała się w umieszczoną przed budynkiem tablicę, potem obciągnęła na sobie bluzkę i powiedziała:

— Zapowiada się całkiem interesująco.

Patrząc wstecz, widzę, że zostałam ostrzeżona. Moja matka gotowała się do szarży. Jej słowom zdała się towarzyszyć ledwie słyszalna elektryczna iskra, niemal namacalny dreszczyk oczekiwania. Gdybym wysunę-

ła język, niechybnie poczułabym smak unoszącego się w powietrzu prochu strzelniczego.

Mimo wszystko jej nie doceniłam. Doprowadziła trzy pensjonariuszki do spazmów, a na lunchu pojawiła się ubrana tylko od pasa w górę. Zelżyła słownie dwie opiekunki i pozostawiła kałużę moczu przy ladzie w recepcji. Rozmowa z kierownikiem domu, którą odbyłam w poniedziałek rano, była bardzo przykra. Zaczął od tego, że nie ma wolnych miejsc. Oczywiście gotów jest umieścić matkę na liście oczekujących. Jeśli zwolni się miejsce, zostanę o tym powiadomiona. Rzecz jasna miejsce zwalnia się jedynie w razie śmierci któregoś z pensjonariuszy, tego zaś nie da się przewidzieć ani zaplanować. Taktownie napomknął o jej zachowaniu, a potem, patrząc mi prosto w oczy, powiedział:

— Niestety, tak kłopotliwym podopiecznym trzeba podawać środki tłumiące dla dobra pozostałych mieszkańców. W takim jednak przypadku musimy mieć pisemną, jednoznacznie sformułowaną zgodę rodziny.

Siedziałam na fotelu w malutkim, utrzymanym w beżach biurze, czując, jak pomarańczowa poduszka boleśnie gniecie mnie w krzyże, i przypatrywałam się w myślach samej sobie. Oto Jane, która wzbudziła podziw lekarza ogólnego, biorąc czasowo (ha, ha!) pod opiekę zbzikowaną matkę. Ta sama Jane nie tylko umieści matkę w zakładzie, lecz ponadto zezwoli, by faszerowano ją prochami. Przemiana godna głębszej analizy. Właściwie to, że nie zostałam jeszcze zmuszona do podjęcia tej decyzji, jest jedyną jasną stroną faktu, że wciąż nie znalazłam dla niej miejsca.

Wróciłyśmy do domu. W samochodzie milczała, a twarz miała nieprzeniknioną. Zdołałam się opanować przynajmniej na tyle, żeby nie warknąć: „Dobra robota, wyśmienity przykład twoich talentów interpersonalnych”. Nie powiedziałam tego oczywiście. Całe życie zeszło mi na obmyślaniu kąśliwych ripost, z któ-

rych żadnej nie rzuciłam jej w twarz. Nigdy nie pisnęłam słówka. Byłam grzeczna, miła i dobra. Ciekawe tylko, czy to na co byłam się gotowa zdecydować, można zakwalifikować jako dobroć.

Zaprowadziłam ją do jej pokoju i ze smutkiem pomyślałam o różnych listach oczekujących, na których widniały nazwiska moich znajomych. Czekały na artystyczne torebki, na miejsca w dobrej szkole, lekcje tańca lub jazdy konnej dla swoich dzieci, na zabieg w klinice dentystycznej, który przywróci im młodzieńczo świeży uśmiech. Ja tymczasem czekam, aż dom starców zaopiekuje się moją matką, faszerując ją psy-chotropami, żeby nie sprawiała kłopotu. Nagle przyszło mi do głowy, że można by to zinterpretować jako moją podświadomą zemstę. Zdaje się, że uczynek będący efektem mojej determinacji, żeby być dobrym człowiekiem (a w każdym razie być za taką uważaną), okaże się największą porażką mego życia.

Na początku, kiedy poprosiłam w pracy o bezpłatny urlop, Bridget, która zajmuje sąsiednie biurko, powiedziała:

— Zabawne. Jakoś nie kojarzyłam cię z tym typem.

— Jakim typem? — spytałam podejrzliwie, lekko dotknięta. Czy naprawdę kobieta, która decyduje się zaopiekować sędziwą rodzicielką, odbiega od normy?

— No wiesz — bąknęła. — Poczucie odpowiedzialności, skłonność do poświęceń, te rzeczy.

— Dzięki — odparłam. — Wezwę cię na pomoc, jeśli mi ich zabraknie.

Nie mogłam przecież przyznać, że ma absolutną rację, nie posądzając mnie o którąkolwiek z wymienionych cech. Ja przecież tylko udawałam.

Poniewczasie łatwo stwierdzić, jak powinnam była to rozegrać. Już owego pierwszego poniedziałku w przychodni mogłam przecież powiedzieć: „Nie, panie dok-

torze. Nie wytrzymam z nią pod jednym dachem i szczerze mówiąc, jest mi obojętne, gdzie ją pan umieści. Proszę tylko przysłać mi rachunek". Zważywszy, że Bridget miała świętą rację, do dziś nie rozumiem, dlaczego te słowa nie przeszły mi przez gardło. Dalibóg, miałam dość powodów, by je wypowiedzieć. Człowiek jednak nie zawsze robi to, co chce. Istnieje wszak obowiązek, odpowiedzialność, biblijny nakaz, by czcić matkę swoją — a także psychiczny przymus, by zastępczo okazać jej dobroć w imię miłości, jaką żywiłam do ojca.

Sytuacja wygląda więc następująco: wzięłam do siebie matkę, bo myślałam, że szybkim rzutem na taśmę ostatecznie zapewnię zwycięstwo własnej strategii. Tymczasem nie jestem w stanie znaleźć żadnego zakładu, który by ją przyjął. Jej stan fizyczny pogarsza się z tygodnia na tydzień, a ja się miotam, co dzień bardziej przytłoczona szpetotą i monotonią codziennej opieki nad nią. Moje prawdziwe życie oddała się ode mnie tak szybko, że mam uczucie, jakby wrywano mi je z rąk. Zostałam wystrychnięta na dudka przez kogoś, kto nie potrafi już nawet zapiąć odzienia. Czasem w nocy, kiedy nie mogę spać, usiłuję sobie przypomnieć, co właściwie chciałam osiągnąć. Zastanawiam się, ile trzeba starań, żeby znaleźć jej przytułek odrobinę lepszy od zwykłej umieralni? Albo pielęgniarkę, która choć trochę mnie odciąży i nie zrezygnuje z pracy po dwóch dniach?

Mój planowany triumf (oczywiście dyskretny, niedopowiedziany, widoczny tylko dla mnie) najwyraźniej nie nastąpi. Usiłuję zadbać o matkę i patrzę przy tym, jak moje życie — to, które dotąd uznawałam za swoje, własne, niezbywalne — porywa rwący nurt.

Matka. Gdybym dawniej miała o niej mówić, gdybym miała w ogóle podjąć taką próbę, nie wiedziałabym, od czego zacząć. Teraz to proste, teraz łatwo

mogę ją opisać. Przeważnie leży w łóżku i albo zionie nienawiścią, albo jest tak kłopotliwa fizycznie, jak tylko zdoła. Patrzy na mnie ze skupioną, a zarazem nonszalancką czujnością kota czatującego na mysz; z agresją ujętą w karby, lecz mimo to zapowiadającą bliski atak. Kiedy jest w apatii, jej twarz, usta, oczy są szare. Ślini się zbyt obficie, choć może tylko ja to tak postrzegam.

Pielęgniarka środowiskowa przychodzi raz w tygodniu. Siada na krześle obok łóżka. Matka na ogół kompletnie ją ignoruje, toteż biedna kobiecina monologuje o pogodzie albo urodzie kwiecistych wzorków na nocnej koszuli Very. Mówiąc, poklepuje ją delikatnie po ramieniu, co można odczytać jako gest filantropijnej serdeczności — albo graniczącą z frustracją chęć pobudzenia chorej do reakcji. Jakkolwiek jest w istocie, moja matka udaje, że nic do niej nie dociera. Wypuszcza stróżkę śliny z kącika ust lub obraca się tak, że pielęgniarka ma przed nosem jej okazały skądinąd zadek. Jestem świadkiem, że masywny pośladek może w znacznym stopniu ograniczyć konwersację.

— Ta kobieta ma szczęście, że ma taką córkę — mówi zawsze pielęgniarka, gdy w drodze do wyjścia oddaje mi pusty kubek po kawie. Notuje coś w swojej kartotece na dowód, że odbyła rozmowę zarówno z chorym, jak i z opiekunem.

Ja też jestem zdania, że moja matka ma szczęście, że mnie ma, aczkolwiek nie w tym sensie, w jakim rozumie to pielęgniarka środowiskowa. Vera ma córkę, która jest do tego stopnia niewolnicą idei dobra i obowiązku, a także głupich strategii obronnych, że jej zachowanie można uznać za pełną konwencjonalnego poświęcenia troskę, ta zaś kojarzy się nieodłącznie z odpłatą zaznanej miłości. Ja jej nie zaznałam.

Brak miłości matczynej to rana, której człowiek nigdy nie przestaje rozdrapywać. Z biegiem czasu staje

się coraz rozleglejsza, głębsza — a przynajmniej skłania do niezrozumiałych w innym kontekście działań, takich, jakim było wzięcie Very do naszego domu. Bardzo często we własnym zachowaniu dostrzegam nadmierną skwapliwość, chęć zadowalania innych, bycia dobrą i miłą; pragnienie, by widziano we mnie osobę żyjącą z sensem i szczęśliwą. W gruncie rzeczy można to określić jako potrzebę bycia czymkolwiek, byle nie tym co ona.

Matka wtargnęła do mojego domu, naruszyła jego neutralny spokój. Zażądała, bym położyła w pokoju jej ulubiony musztardowożółty dywanik, a na ścianie powiesiła jadownicę różową kwiatową kompozycję nabytą poprzez telezakupy. Sama pieczołowicie ułożyła na fotelu wrzosowe poduszki i wstawiła bukiet plastikowych kwiatów do wazonu na parapecie. Potem usiadła ciężko i oświadczyła:

— No, teraz będzie tu trochę ładniej, weselej. Nie wytrzymałabym w tej burej norze.

Pewnie powinnam była parsknąć śmiechem, nadal jednak nie chciałam robić jej przykrości. Zachowałam milczenie, a potem pośmiałam się z Nickiem. Wepchnęłam rękę do ust, żeby śmiech nie potoczył się gromko po schodach, zmiatając fioletowe poduszki.

— Ten dywanik jest koszmarny — powiedziałam później do Nicka. — Czysty akryl, kiedy się na niego stąpnie, lecą iskry.

Wiem, wiem, że niektóre relacje pozostawiają po sobie grube nabrzmiałe szramy, które nie miękną i nie bledną, choćby człowiek uparcie starał się je wygładzić. Blizna pozostaje widoczna z daleka. Nie chcę pozwolić matce, by cieszyła się tym zwycięstwem. Staram się ją postrzegać w sposób wyważony i wszechstronny, siedząc z nią w pokoju, jestem w nim zakotwiczona na-macalnością krzesła, stołu, wazonu, które są tu wraz ze mną.

Moje dzieciństwo nie odznaczało się niczym skrajnym. Matka zrobiła mi krzywdę, lecz wyrządziła ją subtelnie, na zewnątrz nie było śladów. Nie maltretowała mnie fizycznie, a nienawistne słowa nie mają takiego samego ciężaru gatunkowego jak gaszone na ciele papierosy. Byłam czystym, zadbanym dzieckiem w krochmalonych bluzeczkach i wypastowanych bucikach. Tyle tylko że matka nienawidziła mnie za ich krochmalenie i pastowanie, za każdą wykonywaną w domu czynność. Żyłam — na początku nieco zdumiona — pod naporem rwącej fali krytycyzmu, która pętała mi nogi i wgniatała mnie w błoto w chwilach, gdy najmniej się tego spodziewałam. Najwyraźniej matka była na mnie uczulona; wywoływałam u niej świerzbującą pokrzywkę, którą mimo woli drze się pazurami, inaczej nie sposób na nią zareagować. Po prostu nie byłam dość dobra — jakie to proste. Być może zawiodłam jej nadzieje albo też potwierdziłam sceptyczne prognozy, których wolałaby nie snuć. Nieraz się zastanawiałam, czy miała w sobie choć krztę instynktu macierzyńskiego. Myślę, że chętniej spełniłaby się w pracy, podejmując decyzje i sprawując władzę. Byłam dla niej kotwicą przytwierdzoną do kostki zardzewiałym łańcuchem, który boleśnie wpijał się w ciało przy każdym kroku.

Wciąż usiłuję minimalizować, zacierać rany, jakie mi zadała. Pamiętam, jak kiedyś, mając dziewięć lat, przyniosłam ze szkoły papierowy talerz. Przyczepione było do niego krótkie pisemko ozdobione obrazkiem z roześmianą twarzą. Szkoła prosiła o kawałek domowego ciasta lub kilka ciasteczek na kiermasz, którego celem było zbieranie funduszy na nowe farby i blejt-ramy do pracowni plastycznej. Dałam talerz matce i patrzyłam, jak odkłada go na bok bez słowa. Rano zesłam do kuchni z żarliwą irracjonalną nadzieją, że na talerzu coś będzie — choćby wilgotny sandwich „Vic-

toria" cienko posmarowany dżemem albo twarde jak kamienie ciastka z rodzynkami, które zostały z Bożego Narodzenia. Pusty papierowy talerz leżał na stole, już z dala widać było czerwony napis: „W dupie mam twój kiermasz”, skreślony jej zamaszystym pismem. Ciekawe, czy się spodziewała, że zanieosę to do szkoły. Złożyłam talerz w cieniutką harmonijkę wzdłuż rowków na karbowanych brzegach i wepchnęłam do kosza na śmieci, już wyobrażając sobie, jak wchodzę do klasy, a pani Porter unosi jedną brew i pyta: „A ty, Jane Thompson... nic?”.

Przyznaję, trudno to zakwalifikować jako brutalne okrucieństwo — takie, które trwale okalecza psychikę. Bardzo jednak żałuję, że nie rozumiałam — wówczas jako małe, przeważnie zawstydzone dziecko — że dla matki się nie liczę, nie powinnam spodziewać się po niej cieplejszych gestów czy uczuć — one po prostu nigdy nie zdołały się zakorzenić w jej sercu.

Kiedyś byliśmy z Nickiem na przyjęciu sylwestrowym, którego gospodarz przygotował liczne gry towarzyskie. Jedną z nich nazywała się „Chińskie portrety”. Chodziło się wokół stołu i mówiło, że gdyby się było miastem, to jakim — albo jakim zwierzęciem, potrawą, kwiatem... Doznałam wówczas jednego z tych objawień, które często towarzyszą przemianie starego roku w nowy. Uświadomiłam sobie, że gdybym była miastem, to z pewnością Wenecją. Nie ze względu na jej piękno, wilgotny zmysłowy wdzięk, bujną ornamentykę czy ślizgające się po wodzie odbłaski światła. Byłabym Wenecją z powodu jej niewidocznych fundamentów. Całe to miasto stoi na sągach drewna, za pomocą których budowniczowie i architekci usiłowali wzmocnić bagniste podłoże. Drewno z czasem butwieje, rozpoczyna długą drogę, by osiągnąć kolejne wcielenie w postaci węgla. Jestem taka sama: na pozór stabilna, w rzeczywistości oparta na osuwających się fundamentach. Jak Wenecja

powoli, prawie niezauważalnie tonę. Walczę o to, by jeszcze trochę utrzymać się nad wodą.

Problemem w tym problemie — jak mawiał jeden z moich dawnych szefów — nie jest długa lista słów i uczynków mojej matki, którą mogę recytować z pamięci. To wszystko należy już do przeszłości. Problemem jest to, że w jakiś sposób uwikłałam ją w swoje życie z Nickiem i pozwoliłam, by miała wpływ na to, co dla większości ludzi jest jedną z największych życiowych decyzji. Na dodatek nie byłam z Nickiem całkiem szczerą i to martwi mnie najbardziej.

Nikt już dziś nie zadaje krępujących pytań o dzieci. Traktuje się to jak prywatną sprawę. Kiedy poznajemy jakichś ludzi, pytają, czy mamy dzieci, a słysząc, że nie, prędko zmieniają temat. Wiedza na temat bezpłodności — począwszy od zagadnień onkologicznych, a skończywszy na in vitro — jest tak powszechna, że ludzie z reguły wietrzą tragedię i wolą przejść do miłszych, łatwiejszych, prostszych tematów. Na ogół nie miewam okazji, by powiedzieć, że nie jesteśmy obarczeni dziećmi, ponieważ taka była nasza świadoma decyzja; zapewne słuchacz i tak uznałby, iż z niewytłumaczalnych przyczyn pozbawiliśmy się czegoś bardzo ważnego.

Jeśli się weźmie pod uwagę moją matkę, ta decyzja jest bardziej niż uzasadniona. A mimo to przez lata okłamywałam Nicka co do powodów, dla których wolę zrezygnować z uroków macierzyństwa. Nawet określenie, którego z uporem używam — „nie obarczeni dziećmi” zamiast po prostu bezdzietni — jest odbiciem mojej determinacji, by ujrzeć w tym fakcie zjawisko pozytywne i pożądane. Kłamałam, bo nie chciałam mówić o tym, co naprawdę czuję; nie chciałam, żeby Nick widział we mnie złamaną ofiarę albo po prostu tchórza. Nie chciałam, żeby w oczach Nicka moja matka odniosła ostateczne zwycięstwo.

Moja decyzja zrodziła się w długim cieniu Very. Bałam się, że mając własne dziecko, będę taka jak ona. Wciąż dręczy mnie obawa, że będę przejmować jej kolejne cechy, aż w końcu pewnego dnia zobaczę w lustrze jej twarz. Nieraz wyobrażałam sobie, że mówię do dziecka coś złośliwego i nagle widzę, że już się nią stałam. Albo inaczej — że to moje dziecko odziedziczyło wszystkie jej geny, przekute na nowo z tą samą zręcznością, tą samą niszczyielską mocą. Znalazłabym się w potrzasku między jednym a drugim; wątpię, czy zdołałabym się wówczas uchronić przed obłędem.

To dziedzictwo, jakie mi przekazała. Rezygnując z własnych dzieci, ograniczam szkody przez nią wyrządzone. Tak przynajmniej podpowiada mi zdrowy rozsądek. Choć muszę jej przyznać: odniosła w ten sposób niewielkie toksyczne zwycięstwo. Nie wiem, czy kiedykolwiek to spostrzegła i złożyła sobie z tej okazji gratulacje.

Pogodziłam się już z moimi nienarodzonymi dziećmi. Czasem się tylko zastanawiam, kim byłyby, jakie byłyby i czy odziedziczyłyby piękne zęby Nicka.

Moja przyjaciółka urodziła martwe dziecko. Odwiedziłam ją w szpitalu. Jadąc windą na oddział położniczy, rozważałam konotacje słów „martwo urodzone”. Słowa „martwo” nie da się żadną miarą przypasować do wysiłku rodzącej, jej krzyku, nadziei, jej ogromnej potencjalnej miłości. Zarazem nawet „martwo urodzone” dziecko to przecież dziecko — nie płód, zarodek lub idea wykreślona z rozważań. W chwili gdy przyszło na świat, zaczyna się w jakiś sposób liczyć. Okrutna, lecz jednak pociecha. Siedziałam obok Tess i czułam się jak na polu minowym. Zewsząd czyhał ból, zadawany i odczuwany, nad którym nie umiałabym zapanować, ujarzmić go i oswoić. Moja bezdzietność wydawała się prostsza, bez zadziórów i cierni, bez łez. Był to równocześnie sposób, by powstrzymać moją matkę, odcinając

ją od następnych pokoleń, w pewien sposób odebrać jej życie. Wyobrażałam ją sobie uwięzioną w zaspie, pod warstwą gęstego miękkiego śniegu tłumiącego jej niszczycielskie właściwości, jej negatywną energię, głuszącego słowa, które smagają mnie ze świstem niczym bat pogromcy.

Przed ślubem chciałam powiedzieć Nickowi prawdę, ale bałam się, że gdy ją pozna, cień matki rozciągnie się również na niego. Bałam się, że jej dotknięcie niesie ze sobą rozkład, jak rozprzestrzeniająca się zwyczajnie pleśń. W końcu udało mi się odziać lęk i niechęć w kostium pozytywnych odczuć, omotać słowami o karierze zawodowej, podróżach, niezależności. Stworzyłam obraz świetlanej przyszłości, która będzie należeć tylko do nas dwojga. Za każdym razem gdy rozmawialiśmy

O innych rodzinach i dzieciach, rozmyślnie koncentrowałam się na negatywach, ograniczeniach. Myślę, że na tamtym etapie naszego życia Nickowi łatwo się było ze mną zgodzić. Teraz ta kwestia, przywalona nanosem lat, stała się czymś, o czym w ogóle nie wspominaliśmy, a jeśli już, to sporadycznie, przelotnie, prawie z uśmiechem, na przykład obserwując w samolocie rodziców usiłujących uspokoić brzdąca, który wierci się

1 grymasi. Przeważnie jednak — zwłaszcza ostatnio — nie mówimy o tym wcale. Mam przykre wrażenie, że poskromienie tajemnic nie jest łatwe — nadąsane siedzą cicho na grzędzie przez całe lata, a potem nagle znoszą jajo, z którego lęgnie się bazyliszek. Teraz sądzę, że powinnam była powiedzieć mu wtedy wszystko i uwolnić się od przeszłości, zerwać wreszcie z kotwicy. Może wietrzyłam w tym odmianę strategii „odpieprz się”, której nigdy nie uznawałam. Jestem kimś, kto bez przerwy stara się domknąć ręką drzwi, za którymi kotłują się demony.

Dziś się martwię, że odebrałam Nickowi coś ważnego. Mam czterdzieści dwa lata, płodność wycieka ze

mnie gorącą strugą. Przed okresem straszliwie się poce, zwłaszcza nocą zar kipi mi pod mostkiem i sięga aż do uszu. Wyobrażam sobie swoje skwierczące jajniki zacierające się z przegrzania, na wpół ugotowane jajeczka sunące powoli jajowodami. I martwię się, bo wiem, że odebrałam Nickowi szansę na ojcostwo, wykorzystałam jego miłość w najbardziej egoistyczny sposób. Nie mogę zapytać, jak on to odczuwa, bo nie sposób zadać takiego pytania ani na nie odpowiedzieć. Nie ma innej rady — trzeba samej przyznać, że to prawda.

Pół roku temu, kiedy do sąsiedniego domu wprowadziła się ta kobieta z dwójką dzieci — Evie — ledwie na nią spojrzałam. Byłam zajęta próbami wypracowania sposobu postępowania z matką i uchronienia domu przed skutkami jej chaotycznych wędrówek. Nie miałam czasu na zawieranie znajomości. Zresztą niezbyt mnie nęciła perspektywa zaproszenia jej na pogawędkę, którą w każdej chwili mogła przerwać Vera, drapiąc się sugestywnie po nagim podbrzuszu i domagając nocnika. Wizyta u niej również nie wchodziła w grę. Siedziałabym jak na szpilkach, nasłuchując odgłosów zza płotu; usiłując z nich wyłowić alarmowy sygnał informujący, że matka właśnie wyszła i za chwilę będę biegać po uliczkach, wypatrując nocnej koszuli albo gumowych wędkarskich spodni Nicka, albo jaskrawo-pomarańczowego sztormiaka, którym lubi wywijać nad głową jakby po to, by obwieścić wszystkim, że znów nawiała z domu.

Minęło sporo czasu, nim zauważyłam rosnącą zażyłość Nicka z synkiem Evie. Chłopiec może mieć dziesięć, dwanaście lat; wiele czasu spędza w ogrodzie, gdzie celuje piłką do krykieta w ścianę szopy albo ćwiczy serw starą rakieta tenisową, a czasem tylko struga nożem patyki do smukłych, obłych baletowych kształtów. Kiedyś wieszając pranie, zauważyłam, że zbudował dość skomplikowany system okopów czy też szańców

i obsadził je zielonymi żołnierzami zgrupowanymi w ubłocone bataliony. Przez okno kuchni doleciał głos Evie:

— Czy bitwa nad Sommą dobiegła wreszcie końca? Czas na lunch!

— Chłopcy z Lancashire jeszcze walczą, chociaż nawet kapelan jest już ranny! — odkrzyknął, prowadząc oddział do ataku.

A więc tak mogłoby to wyglądać, pomyślałam z zapasową klamerką w zębach, usiłując przyszpilić do sznura łopoczące mokre prześcieradło. Czeka się z lunchem na chłopca, który odgrywa w ogrodzie dawny wojenny koszmar. Kolana spodni uwalane błotem, na buzi wyraz głębokiej koncentracji, zarys kości policzkowej podkreślony rozmazaną smugą brudu.

Jeśli człowiek mocno się skupi na tym, co w danej chwili robi, a do tego gwałtownie zamruga oczami — tak gwałtownie, że aż nos od tego świerzbi — wówczas da się powstrzymać łzy, nim trysną z oczu. Da się skierować myśl na inne tory, zamknąć umysł przed zwątpieniem, które podpowiada, że to co uważałeś za słuszne, mogło w istocie być straszliwym błędem.

Od czasu do czasu wpadają mi w ucho strzępy rozmów Nicka i Felixa — ciepłych, przyjaznych. Krytykują podania w rozgrywkach krykieta albo ostatni mecz Liverpoolu. Nick uczy go prawidłowo łapać piłkę. Muszę się odwrócić, gdy widzę, ile wkłada w to zapału.

Powinnam pogratulować mojej matce wyczucia chwili. Nawet tracąc resztki mózgu, jest w tym prawdziwą mistrzynią. Ledwie zaczęła mi się kłuć myśl, czy jednak nie powinnam zlekceważyć wszystkich strachów, które we mnie zaszczepiła, i postarać się o dziecko, moja nieoceniona rodzicielka dała taki popis, że w te pędy zrejterowałam do jednej jedynej roli, na którą mam patent — roli jej córki.

„Cały kłopot w tym kłopotcie" — mogłabym teraz powiedzieć memu dawnemu szefowi — polega na tym, że dopiero ostatnio zdałam sobie sprawę, iż przez całe życie definiowałam większość kwestii w odniesieniu do niej. Przeciw niej, pomimo niej, z jej powodu albo jej na złość. Jest układem odniesienia, z którego nigdy nie zdołałam się wyzwolić.

Moje dni — wypełnione milczeniem i coraz dotkliwiej jątrzącą się wściekłością — poświęcane są zaspokajaniu jej potrzeb. Nie dosypiam, bo o świcie budzi mnie skrzypienie desek; wiem, że wstała z łóżka i zaraz coś narozrabia. Już pewnie dłubie przy zamku drzwi wejściowych, a doprawiona pełną butelką szamponu woda w wannie przelewa się na podłogę. Mój laptop pokrywa się kurzem, podczas gdy ja na przemian myję i kremuję jej tyłek.

Codziennie rano otwieram u niej okno i wietrzę pokój; otulam ją wówczas pledem, żeby się nie zaziębiła. Na lunch przyrządzam miękkie, łatwe do pogryzienia dania — zapiekankę pasterską, pudding z ryżu albo krem karmelowy, który lekko dygocze w salaterce. Przerzucam kanały, żeby mogła oglądać niekończący się ciąg amerykańskich oper mydlanych. Wciąż zmieniam pościel, bo moczy łóżko, i sznuruję jej buty, kiedy wyciągnie nogę. Czasem na mnie wrzeszczy, a czasem nic na świecie nie skłoni jej do wymówienia chociaż słowa. Czasem wpatruje się w jakiś przedmiot, jakby usilnie starała się dociec, do czego służy. Studzę jej herbatę, żeby się nie oparzyła, kiedy strąci sobie filiżankę na kolana. Powtarzam raz po raz te same słowa; łoskoczą mi w głowie jak pociąg, samogłoski i spółgłoski żłobią w mózgu czarne koleiny. Dziś wtorek. Wtorek. Wtorek, powtarzam, karmiąc ją łyżką. Patrzy na mnie ze złością, a ja nie czuję się, nie chcę czuć się winna, choć wszystkie kamyki wałęsały się jak lawina do mojego ogródka. Nienawidzę tego. Niena-

widzę tych szczytów cierpliwości, które udało mi się osiągnąć.

Siedzę i patrzę na nią. Śpi w fotelu, chrapie. Nick jest u Evie. Chodzi tam coraz częściej, zawsze jest jakiś powód, a właściwie pretekst. Prawdziwym i nadrzędnym, zupełnie zresztą usprawiedliwionym powodem, którego mój mąż jednak nigdy nie wymienia, jest chęć wyjścia z własnego domu, w którym niczym tłusta śmierdząca kukułka rozparła się moja matka.

Zeszłego wieczoru pogwizdywał w ogrodzie, wracając. Doznałam dziwnego uczucia, przysłuchując się, jak gwizdże w zapadającym zmierzchu —jakby jego życie rozwarstwiło się z moim, stało całkiem odrębne. Miałam ochotę bąknąć: „Słyszałam, jak gwizdzesz”. Zmilczałam, bałam się, że to zabrzmiałoby jak oskarżenie.

Teraz słyszę z ogrodu śmiech Felixa. Brzmi jak zew z innego świata. Moje życie wydaje mi się nagle bardzo kruche, niestabilne, osaczone przez siły, nad którymi nie mam kontroli.

Nie wiem, co pocznę, jeśli teraz lub kiedykolwiek sprawa mojej matki legnie między mną a Nickiem. Siedzę przy niej i trudno mi nie czuć się jak w pułapce. Ledwie się powstrzymuję, by nie rwać włosów z głowy, jęcząc: „Boże, co ja zrobiłam!”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Vera

Chociaż jest środek nocy, widzę wyraźnie stolik, który Jane przystawiła do łóżka. Widzę dzbanek z wodą i obróconą do góry dnem szklanę, i pudełko papierowych chusteczek. Jedna sterczy z pudełka, biała i czujna; stoi na baczność, gotowa wkroczyć do akcji. Widzę ją, choć w pokoju jest zupełnie ciemno. Potrafię przypasować, przytwierdzić nazwy do przedmiotów, które mam w zasięgu oka. Stolik, lampa, chusteczki, woda. Słowa, które w ciągu dnia coraz częściej dryfują bezładnie, zerwane z haczyków, na których bezpiecznie tkwiły przez wiele lat w mojej głowie. Odpływają porwane prądem, a ja otwieram usta jak ryba, nieme usta, których nie mogę napęłnić słowami.

To przez lepką wilgoć, która zalewa mi głowę (teraz, gdy na krótką chwilę odzyskałam przesywającą jasność myśli, potrafię to ocenić). Coraz jej więcej, mości się w zakamarkach czaszki jak kot na twarzy śpiącego dziecka, tak że w końcu wszystkie połączenia nerwowe przestają działać. Mój mózg ślizga się między wytartymi rowkami niczym igła starego gramofonu i czuję gniew, jestem wściekła, że przyszło mi umierać w takim poniżeniu. Pocięszam się jednak, że ma to i swoje zalety.

W perspektywie tego, co powinnam określić jako trwające całe życie łagodne znęcanie się nad moją cór-

ką, moje konanie jawi się jako drobny, lecz mimo to niepodważalny triumf. Nadal jestem górą. (Nie jestem pewna, dlaczego właściwie zdecydowałam się uczynić ją swoją ofiarą. Łatwość? Prostota? Paradoksalne odwrócenie utartych pojęć?). Kiedy słowa w mojej głowie cichną, umykają, bełtają się na jednolitą papkę, kiedy język wypada mi z ust i zwisa, a w ślad za nim pełźnie strużka połyskującej śliny, pozwalam jej spływać i patrzę na nadludzkie wysiłki Jane, by nie okazać odrazy. Teraz, w tej chwili, kiedy umysł mam ostry jak brzytwa, krystalicznie przejrzysty niczym lodowy sopel, którym mogłabym przeszyć ją na wylot, planuję rozmaite drobne zniewagi, by wystawiać na próbę jej cierpliwość, jej cnotę, jej ciągle starania, by postępować właściwie. Moja córka jest dobra, zawsze miała dobre serce, i nawet teraz, kiedy jestem jedną nogą w grobie, wciąż potwornie mnie to irytuje.

Może na przykład jutro, siedząc w fotelu, wywrócę oczy białkami do góry. Wywieszę też mokry uśliniony język. Jane spojrzy na mnie z troską i podejdzie bliżej, a wtedy wycisnę z pęcherza strużkę moczu — tyle, żeby odór dał jej się we znaki, a nie aż tyle, żeby cała się przemoczyła — i będę obserwować jej rozterkę, czy przebrać mnie do sucha czy tylko wytrzeć. Powinna zmoczyć także fotel, żeby musiała przesadzić mnie gdzie indziej, a potem wziąć się za jego czyszczenie, zaciskając usta i w skupieniu manewrując antybakteryjnym płynem w sprayu. Cierpliwość i poczucie obowiązku — Boże, cóż za nuda! Ze też akurat mnie przypadła córka, którą można postawić na cokole jako alegorię Cierpliwości i nikt się nie domyśli, że jest żywa.

Spostrzegłam to natychmiast po jej urodzeniu. Kiedy mi ją podali, kiedy na nią spojrzałam, moja pierwszą myślą było, jakie ma łagodne oczy. Mlecznowodniste oczy bez krzty waleczności czy w ogóle charakteru. Nie byłam jedną z tych kobiet, które z cipą w strzępach

i wymionami wielkimi jak u krowy już się zachłystują macierzyńską ekstazą. Nie. Siedziałam w tym twardym łóżku zasłanym prześcieradłem tak wytartym, że widać było przez nie materac, i myślałam: „I co dostałam? Kukłę, która nigdy nie wyrośnie ponad przeciętną”. Niewątpliwym przejawem instynktu macierzyńskiego było to, że jej nie ugryzłam, choć miałam chęć wyszarpać kawał mięsa z gładkiego krągłego ramionka.

— Ma taką miłą twarzyczkę — powiedziała pielęgniarzka.

Zachowaj te bzdety dla kogo innego, pomyślałam. Ja będę musiała przez całe życie robić dobrą minę do złej gry, widząc, jak ludzie dokładają starań, żeby powiedzieć cokolwiek miłego o moim dziecku.

Korzystała z tej twarzy, to dobrze pamiętam. Całymi miesiącami prowadziłam ją na lekcje baletu, kupiłam puenty, trykot i króciutką tiulową spódniczkę. Pamiętam przedstawienie: równe rzędy małych dziewczynek płaszące po scenie, nóżki napięte jak pary nożyc, ciała w idealnych pozach, a wśród nich moja Jane z taką miną, jakby jej się wydawało, że wygląda tak samo. „Potrafi grać twarzą” — powiedziała nauczycielka, a ja miałam ochotę odpowiedzieć: „Jasne, super, tylko że cała reszta jest na złom”.

„Przeciętność” to słowo, które więźnie mi w gardle, pali mnie w przetyku, dławi. Przeciętna, przeciętna, przeciętna. Lata chodzenia na wywiady, siedzenia w ciasnej ławce z torebką na kolanach i dłońmi splecionymi na uchwycie — wszystko po to, żebym nie zerwała się z miejsca, nie wyszarpnęła nauczycielce listy klasyfikacyjnej z wrzaskiem: „Dlaczego, do jasnej cholery, ona w niczym nie może być najlepsza?!”. Zresztą to nie wina nauczycieli i nigdy nie miałam o to do nich żalu. Nie jestem ślepa na rzeczywistość. „Jane jest bardzo lubiana” — mówili, a ja miałam ochotę odpowiedzieć:

„Bądźmy szczerzy; byłoby chyba lepiej, gdyby była i lubiana, i zdolna?”.

Jedną z cięższych prób był co roku Dzień Sportu. Stawała na starcie z kolorową szarfą przełożoną na ukos przez ramię, z włosami precyzyjnie ściągniętymi do tyłu, jakby to miało dodać jej szybkości. Na jej twarzy zawsze tak wyraźnie malowała się nadzieja, oczekiwanie na dar losu, myśl, że może tym razem ona pierwsza przerwie wstęgę na linii mety. Stałam tam, czekając, aż padnie strzał, mięśnie nóg miałam spięte, jakbym to ja miała pobiec, i wiedziałam, że ja pierwsza zerwałabym się do wyścigu, gnałabym, dobywając wszystkich sił, mocno pracując rękami, z łomoczącym sercem gotowym wyrwać się z piersi. Jane biegła wciąż z tym samym uśmiechem, a po wyścigu pytała: „Czwarte miejsce to nieźle, prawda, mamusiu?”.

Czwarte miejsce to dno, skoro biegło ich pięć.

Nigdy nie miałam czasu ani ochoty jej rozpieszczać. Macierzyństwo było dla mnie ciągłą walką z impulsem, żeby nazywać rzeczy po imieniu. Przygryzałam język i przyciskałam do siebie ręce, żeby jej nie trzepnąć. Boże, jak to frustruje, kiedy człowiek musi milczeć!

Czasami nocą, kiedy już spała, szłam do jej pokoju i stawałam w nogach łóżka, tak że mój cień ogarniał ją całą. Myślałam: „Dlaczego nie możesz być inna, lepsza, albo chociaż mieć własne zdanie? Czemu nie umiesz mi nawet odpyskować?”. Jack szedł za mną, stawał obok, obejmował mnie ramieniem i mówił: „Jaka ona śliczna” z tym niedowarzoną baranym uśmiechem, który rezerwował tylko dla niej. Miałam ochotę parsknąć niewesołym śmiechem. Jack najwyraźniej sądził, że i ja zachwycam się małą, a najzabawniejsze w sumie było to, że Jane nie jest jego córką. Fakt ten nie miał większego znaczenia, prawdopodobnie Jack kochałby ją równie mocno, gdyby nawet wiedział. Nigdy nie przestało mnie zadziwiać, jak bardzo byli — albo stali

się — do siebie podobni. Śmiało mogłaby uchodzić za owoc jego genów, jego łagodnych, śmiertelnie nudnych genów — cechuje ich ten sam spokojny, umiarkowany optymizm i zdrowy rozsądek.

Wzięłam za męża pierwszego, który mi się napatoczył. Od początku zdawałam sobie z tego sprawę. Złapałam go obiema rękami, dbając jednak, żeby się nie zorientował. Byłam jak ktoś, kto już bardzo długo czeka na przystanku w ulewnym deszczu, przemoknięty do skóry, a strużki wody ściekają mu do butów. Gdy nadjeżdża autobus, nie patrzy na numer — nieważne, dokąd zmierza. Łapie się za drążek, szybko mija kierowcę i siada z rozmachem. Byle jechać, byle dalej stąd.

Byle dalej od bladej chorowitej matki i wiecznie pijanego ojca. Pamiętam, kiedyś wyrzuci! ją wieczorem z domu, waliła w zamknięte drzwi, wrzeszcząc: „Czekaj, Tom, ja ci pokażę!”, a cała ulica śmiała się w kulak. Oboje nie potrafili się zatroszczyć nawet o siebie, a co dopiero o dziecko. Moje dzieciństwo było jedną wielką porażką, ciągiem nieustannych upokorzeń, paradą posterunkowych i inkasentów upominających się

o czynsz. Chodziłam do szkoły w dziurawym mundurku

i czyichś znoszonych butach. Ludzie szybko zauważają takie rzeczy. Zaszeregowują cię — po ubraniu, po butach, po anemicznej usmarkanej twarzy. Domyślają się, kim jesteś, czym jesteś, a na ogół wiedzą również, że są lepsi od ciebie. Co akurat nietrudne, gdy ktoś chciał się porównać z moimi rodzicami. Na zakończenie szkoły tato stawił się schlany jak świnia, powiedziałam więc sobie: dosyć tego, ja spadam, bawcie się sami. Chciałam się stać niewidzialna, znaleźć w innym miejscu; gdzieś, gdzie nie byłoby mojego ojca. W głowie szalał mi pożar, uniemożliwiając jakikolwiek realny wybór. Ten ogień nie wygasł mimo upływu lat. Zawsze zakładałam, że ludzie patrzą na mnie z góry, toteż lepiej ich wyprzedzić, przechytrzyć, uderzyć pierwsza.

Z Jackiem zaczęłam delikatnie, ostrożnie, jak drapieżnik, który nie chce spłoszyć swej ofiary. Ukryłam stalowe szpony, napięte jak postronki mięśnie. Moje ciało poruszało się leniwie, od niechcenia; półprzy-mknięte powieki skrywały oczy o tęczówkach sprężystych jak wnyki.

Odrzucałam głowę w tył i śmiałam się w sposób, który podpatrzyłam u innych dziewcząt; nadawał im wiele niewinnego uroku. Skubałam mankiety, spuszczać nieśmiało oczy. Dotykałam warg czubkami palców i muskałam zęby końcem języka. Stawiałam stopy odrobinę do środka, maskując zamaszysty zdecydowany chód. Kiedy szliśmy do herbaciarni na babeczki i kakao, manewrowałam chusteczką dotąd, aż Jack zdołał mozolnie zsumować rachunek i wyliczyć należność. Kiedy mnie pierwszy raz pocałował, podałam mu miękkie bierne usta, przycisnąwszy mocno język do zębów. Przyjęłam pocałunek jak pierwsza naiwna, nie oddałam go, nie przejęłam inicjatywy tak, jak doradzają w czasopismach. Pohamowałam chęć, żeby rozpiąć mu pasek, wsadzić rękę do spodni, złapać to, co tam trzymał, i wreszcie się przekonać, czy to rzeczywiście taki miód.

W noc poślubną Jack zabierał się do roboty tak niezdarnie, że miałam ochotę strzelić go w pysk. W końcu zerwałam się wkurzona, dosiadłam go okrakiem i sama się obsłużyłam jego członkiem. Omal nie krzyknęłam: „Zaraz się przekonasz, że dostałeś więcej, niż zamówiłeś!”. Widziałam w przyćmionym świetle jego twarz, zakłopotaną i niepewną. Miałam ochotę warczeć i kąsać jak zły pies.

— Powinieneś mi przynajmniej zrobić malinkę na szyi — powiedziałam gorzko, nagle uświadamiając sobie, że głupio i nieodwołalnie ułożyłam sobie życie. Potem zlazłam z niego, bez słowa obróciłam się na bok i zasnęłam.

Zamieszkaliśmy w domku zbudowanym zaraz po wojnie przy ulicy pełnej ludzi takich jak my, tuż po ślubie albo z małymi dziećmi. Większość mężczyzn pracowała w fabryce samochodów, człapali do pracy dwójkami w czapkach zsuniętych na czoło, ze zwiniętymi gazetami pod pachą. Elitę stanowiło paru nauczycieli na dorobku w drodze do lepszej dzielnicy.

Kobiety nie pracowały zawodowo. Zajmowały się głównie sprzątaniami. Pranie w poniedziałek, zmiana pościeli we wtorek, ścieranie kurzy, zmiatanie, pastowanie, mycie, ogłupiający niekończący się cykl. Codziennie chodziłyśmy po mięso i jarzyny, baranie żeberka, funt fasolki szparagowej. Jesienią i zimą nosiłyśmy na głowach chustki mocno zawiązane pod brodą. Jak nabijane kolcami obroże, myślałam nieraz — na wypadek gdyby któraś chciała zerwać się ze smyczy i pobiec przed siebie z obłąkańczym wrzaskiem. Używałyśmy wszystkie perfum Yardleya i pomadek do ust Avonu, nasze ciała pachniały mleczkiem Pondsa i różanym olejkami marki Olay. Byłyśmy do siebie tak łądząco podobne jak rzędy wyciętych z papieru ludzików albo cieni. Raz na wyprzedzący zobaczyłam kapelusz z szerokim rondem i fosforycznie zielonym, długim prawie na pół metra piórem. Przez chwilę myślałam nawet, żeby go kupić. Nosiłabym go na zakupy i za każdym drgnieniem siatkowych firanek w oknach sąsiadów darłabym się urągliwie: „Patrzcie i podziwiajcie, jaka ze mnie cizia!”.

Podczas sprząwania miałam zwyczaj sporządzać w myśli listę rzeczy, na które mam ochotę. Podpalić firanki i patrzeć, jak płąsa po nich czerwony ogień. Wziąć wszystkie świeżo wyprane koszule Jacka i zatańczyć na nich twista w marcowym błocie. Kupić puszkę czerwonej farby w sprayu i napisać nią na chodniku wielkimi literami: „**JEBCIE SIĘ**”. Otworzyć drzwi mleczarzowi

i pokazać cycki, a potem jakby nigdy nic wręczyć mu pieniądze za jaja i nabiał.

Przede wszystkim jednak chciałam upokorzyć Jacka — za jego ślepotę, jego małość, jego zadowolenie z tego żalostnego nijakiego życia. Kiedy wracał z fabryki, ciągnąc za sobą odór gumy, a ja stawiałam przed nim obiad — dobry domowy obiad, najczęściej mięso w sosie z ziemniakami i marchewką gotowaną na miękko — korciło mnie, by wepchnąć mu twarz do talerza, a gdy sos wleje mu się do nosa, ziemniaki skleją rzęsy i marchew zapcha uszy, krzyknąć: „**TYLKO NA TO CIĘ STAĆ? CZY JUŻ TAK BĘDZIE ZAWSZE, DO ŚMIERCI?**” — i zobaczyć, co odpowie, czy zdoła się obronić.

— Dziecko wszystko zmienia — powiedziała kiedyś do mnie sąsiadka, choć bynajmniej nie zachęcałam jej do tego typu wynurzeń. Może spostrzegła, że jestem odrobinę niezadowolona z życia, i na własny użytek snuła różne przypuszczenia.

Popatrzyłam na jej nabrzmiałe wilgotne cyce, rozsiewające wokół woń skwaśniałego mleka, i odpowiedziałam:

— Jeśli się kiedyś na to zdecyduję, będę karmić butelką, tak chyba jest łatwiej. No i zadbam o to, żeby się tak nie roztyć.

Inna sąsiadka powiedziała kiedyś o mnie „żyleta”. A żebyś wiedziała, myślałam, umysł mam ostrzejszy niż wy wszystkie do kupy, no i co z tego? Co mi to dało?

Problemem, z którym bez przerwy się zmagalam, który przeżerał mnie aż do flaków, było: jak to zmienić, co zrobić, żeby życie było lepsze lub choćby inne. Czasem budziłam się w niedzielę rano i patrząc na tapetę w girlandy brzydkich brązowo-zielonych liści, myślałam: „To już na zawsze”. Naciągałam wówczas poduszkę na głowę, zaciskałam pięści pod kołdrą, jakbym usiłowała złapać coś, co mi się cicho, zręcznie wymyka.

A potem pewnego ranka weszłam do drogerii po proszek do prania i wybielacz. Przebierałam w kolejce zmarzniętymi nogami, śniadanie leżało mi na żołądku jak kamień. Ilekroć ktoś wszedł do sklepu, robił się zimny przeciąg, deszcz chlasta! o szeroką wityrynę.

— Nie cierpię takiej pogody, psiakrew! — powiedziałam do nikogo w szczególności. Wiedziałam, że mokre pranie będzie wisieć w kuchni przez cały tydzień, że będę musiała lawirować między szarymi bluzami roboczymi Jacka, wdychając ich wilgotny kwaśny odór.

Na stojaku z gazetami zobaczyłam zdjęcie kobiety w słońcu obok zgrabnego domku i mężczyzny, który grillował mięso pod gołym niebem. „Dziesięciofuntowi przesiedleńcy” — tak zatytułowany był artykuł o ludziach, którzy po wojnie zaczęli nowe życie w Australii. Pisali tam, że przejazd statkiem kosztuje tylko dziesięć funtów od osoby. I oto w lodowato zimnym starym sklepie, przy wtórce znaczących chrząknięć pana Pilgrima (blokowałam kolejkę), ujrzałam otwierające się przede mną drzwi.

Kupiłam tę gazetę i zabrałam do domu, gdzie usiadłam i wszystko dokładnie przeczytałam. Australijskie miasta mają ciepłe, kolorowe nazwy, wymawiając je, człowiek ma wrażenie, że świeżo wyszedł od kosmetyczki z morelową pomadką na ustach. Melbourne. Sydney. Brisbane. Perth. Czytałam o słońcu, plażach, miejscach pracy i nowych domach. Wycięłam artykuł, schowałam go w szufladzie pod bielizną i zaczęłam oszczędzać. Byłam pewna, że w Australii znajdę to nieokreślone „coś”, czego pragnę, a co tu mi się wymyka. Tam wszystko będzie nowe i lśniące jak moneta świeżo wybita w mennicy. Będziemy mogli odciąć się od tej szarzyzny, zacząć wszystko od nowa. Zrozumiałam to w ułamku sekundy. Oczyma duszy ujrzałam siebie: w sukience w jaskrawe kwiaty hibiskusa, opaloną na

złoty brąz, najlepiej pod eukaliptusem, trzymającą w ręku koktajl w fantazyjnej szklance. W tle dom z trawnikiem z przodu i trawnikiem z tyłu — taki jak ten w gazecie — i samochód pod wiatą (tak to nazywają), która ocienia go przed słońcem. Stracę angielski akcent i zacznę przeciągać, wyginać samogłoski; wchodząc do sklepu, powachluję się ręką i powiem: „Ależ gorąąąco”, tak jak słyszałam w kinie. Wszystko będzie inne. Tego właśnie chciałam: nowości, zachłannej i nieokrzeseanej, i żadnych cholernych tradycji. Chciałam zostawić daleko za sobą wieczną wilgoć, nędzę i tę zarozumiałą krowę w spożywczym, która aż się prosi, żeby dać jej w pysk.

Kiedy już zaczęłam oszczędzać, poszło łatwo. Kupowałam pręgę zamiast schabu i gotowałam dłużej, żeby tłuszcz się wytopił. W jarzynowym brałam wczorajsze warzywa, nieco już przywiedłe — i tak nie poznać, kiedy się je ugotuje i posieka. Kupowałam najtańsze, najgorsze, czasem już psujące się produkty, przygotowując je obficie solą i pieprzem, żeby Jack nie zauważył. Czasem żując obiad, miał trochę nieszczęśliwą minę, pewnie pieprz drapał go w gardle albo łykowate mięso po prostu nie dało się pogryźć. Odkładałam nóż i widelec (przez cały ten czas jadłam mniej niż wróbel) i przekrzywiałam lekko głowę gestem, w którym przy maksimum dobrej woli można się było doszukać troski lub uwagi; Jack patrzył na mnie, potem znów na talerz i milczał, wiedząc, że komunikat, który mu przekazuję, brzmi w rzeczywistości: „Nie waż się nawet odezwać”. Przyglądałam się, jak czyni tytaniczny wysiłek, by przełknąć to, co ma w ustach, i popija herbatą, a coraz częściej wodą.

Na nic więcej nie zasługujesz, ty żałosna imitacja mężczyzny, myślałam z furją, a nazajutrz oszczędzałam jeszcze zacieklej, powtarzając w duchu: A choćbyś się miał udławić, ja nie zrezygnuję.

Przeliczałam raz po raz słupki monet ukryte w szufladzie z bielizną. Lubiłam czuć na dłoniach ich metaliczny zapach, zapach pieniędzy. Tak pachnie ucieczka, Brisbane i Perth, herbata na drewnianej werandzie i samochód o skórzanych siedzeniach nagrzanym w słońcu. Kiedy nazbierałam dziesięć funtów, poszłam do banku i wróciłam z pięknym szeleszczącym banknotem, który sam w sobie wyglądał jak bilet.

Wieczorem, kiedy Jack wrócił z pracy i jadł obiad, wyjęłam artykuł wystrzępiony już na brzegach od częstego czytania, położyłam go na stole, obok dziesięć funtów i oznajmiłam:

— Zobacz! Jesteśmy już w połowie drogi. Co ty na to?

Żując gulasz, przeczytał artykuł w ten swój powolny, dokładny sposób, z małą żyłką pulsującą na skroni (miałam dziką ochotę wyrznąć w nią pieprzniczką), a kiedy dotarł do końca, spojrzał na mnie ze szczerym zdumieniem (wciąż to pamiętam) i zapytał:

— A po cóż mielibyśmy tam jechać?

Chciałam wrzasnąć: „Żeby być jak najdalej od tego wszystkiego, psiakrew!” i gestem rąk objąć ciasną kuchnię, wiszące w niej mokre pranie, autobusy dudniące za oknem i jego roboczy chałat przewieszony przez oparcie krzesła. Zdałam sobie jednak sprawę, że on nie ma pojęcia, nie jest nawet zdolny pojąć, jak ja to widzę. Nie ma też najmniejszej ochoty zmieniać czegokolwiek, podejmować nowych wyzwań. Woli dreptać co rano do zakładów Dunlopa z petem w zębach, a w przerwie na lunch czytać *Racing Post*.

Jack wziął w dwa palce banknot dziesięciofuntowy i spytał:

— Skąd to masz?

— Zaoszczędziłam — odparłam. — Od pół roku ciułam każdy grosz.

— Wszystko to pięknie — stwierdził. — Lepiej kup coś ładnego do domu. Nie namówisz mnie, żebym się

wybrał statkiem na jakiś cholerny koniec świata, choćbym i miał na bilet.

Spaliłam te pieniądze. Nazajutrz, kiedy Jack był w pracy, położyłam banknot na stolnicy i przytknęłam zapalnik do twarzy królowej. Nie żebym miała żal do królowej, po prostu od czegoś trzeba było zacząć. Zwijał się i skwierczał na desce, wydzielając zaskakująco gęsty dym. Popiół żarzył się jeszcze przez długą chwilę w biegnącym dookoła deski rowku na okruchy. Wszystko na nic, cholerna strata czasu. Pośliniłam palec i pogrzebałam nim w popiele, a potem włożyłam do ust, żeby sprawdzić, jak smakuje. Był gorzki i tłusty, i śmierdział kopciem. Wymarzone błękitno-brzoskwi-niowo-żółte Melbourne obróciło się w popiół w moich ustach. Patrząc wstecz, gorzko żałuję, że nie pojechałam sama. Byłam spętana konwenansami idiotką, w tym cały szkopuł. Wściekłą, lecz pozbawioną odwagi. Daleko się na takiej kombinacji nie ujedzie.

Tak czy owak zapiekła w sercu nienawiść może być niezwykle produktywna. Od tamtego dnia nie szczędziłam Jackowi drobnych złośliwostek, chcąc go upokorzyć. Na przykład mówiłam do niego bardzo cicho, żeby musiał powtarzać: „Słucham? Słucham?” jak starzec. Skarpetki i bieliznę składałam po praniu, zanim wyschły, wiedząc, że Jack nie ośmieli się poskarżyć. W łóżku święciłam triumfy, biorąc jego miękki członek w dwa palce jak ślimaka i pytając niewinnie: „Chyba nie będzie z niego dziś pociechy, co, Jack?”. Oblewał się wówczas rumieńcem, bez słowa obracał na bok i udawał, że śpi. Leżałam obok, bezpieczna od jego awansów. Nie ma to jak profilaktyka.

Także dlatego zwróciłam uwagę na sąsiada. Cla-yowie mieszkali za ścianą, z prawej strony. Zanim jeszcze się wprowadzili, zwróciłam uwagę na ich nazwisko kojarzące się z czymś podatnym na formowanie, pachnącym ziemią, jednym słowem — gliniastym. Aż

się prosiło, żeby wetknąć w nie palec. Żona miała na imię Moira i zawsze nosiła fartuch zakładany przez szyję, który całą ją okrywał. Bardzo starannie rozwieszała pranie, każdą sztukę odzieży wygładzała wprzód ręką i dokładnie przypinała w rogach klamerkami. Posuwając się wzdłuż sznurka, podpychała nogą koszyk i czasem pogwizdywała cicho, niezmiennie mnie tym zaskakując. Miała dwoje schludnych dzieci, Angelę i Barry'ego.

W tym samym tygodniu, w którym się wprowadzili, jej mąż Ted zbudował w ogrodzie szopę na narzędzia. Był zamiłowanym ogrodnikiem, jak wyznała mi Moira przez płot, i wielkim amatorem warzyw własnej uprawy jako zdrowszych i tańszych. Mówiła to wszystko z lekkim uśmiechem, w którym czuć było dumę — należała do tych kobiet, co to od pierwszego zdania dają ci do zrozumienia, że ich mężowie są więcej warci niż twój. (Tu akurat skłonna byłam przyznać jej rację).

Przyglądałam się Tedowi przez okno w kuchni, kiedy stawiał tę szopę. Był szeroki w barach, mięśnie grały mu pod koszulą, kiedy dźwigał przygotowane ścianki i zbijał je. Mały Barry siedział na puszcze z farbą, podawał mu gwoździe i bez przerwy nudził: „Tato, a mogę teraz ja?”. W końcu zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie powie gówniarzowi, żeby spieprzał i dał mu święty spokój.

Pomyślałam, że ta anemiczna Moira złapała gościa, na którym całkiem miło zawiesić oko. Wzięłam swoje pranie i wyszłam z nim do ogrodu. Stałam obok sznurka, wyginając nogę w kostce tak, żeby zwrócić uwagę Teda na kształt łydki. Spojrzałam na niego i skinęłam głową bez słowa (przemknęła mi myśl o sójce muskającej dziobem pióra). Uśmiechnął się i oddał ukłon, a wtedy z miejsca wyczułam w nim to coś, łobuzerską aurę podrywacza. Założę się, że w swoim czasie był z niego niezły kogut — zanim osiodłała go Moira

ze swoimi fartuchami i dziećmi czesanymi w loczek na środku czoła.

Milczenie było genialnym posunięciem. Kiwałam mu głową przez kilka tygodni, stając w takiej pozycji, że mógł podejrzewać, iż zerkam na niego spod oka. Na ogół specjalnie do wieszania prania malowałam usta. A potem w pewną sobotę, kiedy Jack poszedł na mecz, a Moira zabrała dzieci na zakupy (widziałam, jak wychodzą), po prostu przestąpiłam ogrodzenie w miejscu, gdzie siatka zwisała aż do ziemi, i wśliznęłam się na palcach do szopy Teda. Nie widział mnie, był zajęty na tyłach ogrodu, gdzie przywiązywał groch do tyczek.

Kiedy wrócił do szopy, niosąc motykę i kłęb sznurka, stałam oparta o tylną ścianę zastawioną jakimiś puszkami. Prędko przyłożyłam palec do ust na znak, żeby się nie odzywał — to był ryzykowny moment, bo mógł przecież powiedzieć: „Czego pani tu u diabła szuka?” — a potem uniosłam spódnicę, pod którą nie miałam majtek. Podciągnęłam fałdy aż do pasa, pozwalając mu się dobrze przyjrzeć mojej owłosionej piczy, a potem lekko wypchnęłam biodra w przód, by wiedział, że może z niej skorzystać. Odłożył sznurek i motykę, przetarł usta wierzchem dłoni. Potem przecesał palcami włosy i podszedł do mnie. Czułam, że się podniecił, widziałam to w wygięciu warg, w odrobinie perlącej się nad nimi wilgoci.

— Sam wiesz, że tego chcesz — szepnęłam, kładąc mu rękę na ustach, żeby nie mógł odpowiedzieć. Wsadził mi rękę między nogi i zaraz potem, bez żadnych wstępów, wbił się we mnie. Kiedy skończył, ominęłam go, wyszłam z szopy i przez płot wróciłam do wieszania Jackowych koszul, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Kilka chwil później on też wyszedł, niosąc widły i jeszcze parę tyczek. Zdaje się, że zerknął w moją stronę; ja konsekwentnie wystrzegałam się spojrzeń. Zaraz potem weszłam do domu, żeby przygotować podwieczorek, na który — pamiętam — był wędzony śledź i jaja.

Następnej soboty to samo, bez słów. Tym razem miałam na sobie płaszcz i nic pod spodem; kupiłam tani czerwony stanik, w którym piersi sterczały mi jak stożki. On miał ziemię za paznokciami, wepchnął mi palec do ust, ugryzłam go, smakując lepka słodka krew. Tydzień później, kiedy wszedł do szopy — pospiesznie i tym razem bez zdziwienia — obróciłam się tyłem, wypinając pośladki, z twarzą o cal od jakichś śmierdzących terpentyną szmat.

W najbliższą środę Moira zaprosiła mnie na herbatę; siedziałam u niej w kuchni i jadłam przemoknięty placek z wiśniami, który starannie kroić i kładła na porcelanowych talerzykach z idiotycznym różowym brzeżkiem. Rozmawiałyśmy o szkole, do której chodziły jej dzieci, i o jej planach odnowienia przedpokoju (miała próbnik tapet, który wciąż nerwowo wertowała, jak gdyby mogło mnie obchodzić, czy lepsza będzie w paski czy w kwiatki). Schludnie złożone drelichy Teda dosychały na kuchennym bojlerze, a ja miałam ochotę wybuchnąć śmiechem nad jej niewiedzą, jej spokojną skrupulatną przeciętnością, i odstawiając talerzyk, powiedzieć: „Twój mąż pieprzy mnie w szopie w każdą sobotę, kiedy ty robisz zakupy”. Powstrzymałam się. Cały smaczek wiedzy w obliczu niewiedzy polega na tym, że rozziew między nimi potrafi unicestwić parę słów. Nim to jednak nastąpi, człowiek może czerpać z tej sytuacji wiele złośliwej uciechy.

— Ted niedługo wróci — bąknęła w końcu Moira, grzecznie dając mi do zrozumienia, że nasza herbatka dobiegła końca.

„Ach tak, Ted — odpowiedziałam jej w myślach. — Ted ze złotym zębem, którego można dotknąć, jeśli się dość głęboko wsunie język. Ted o zręcznych rękach zdolnych do wszelakich sprośnych zabaw”. Zastanowi-

łam się przelotnie, czy tych dwoje też się tak zabawia. Jakoś jednak nie potrafiłam sobie wyobrazić Moiry na czworakach, w tanim czerwonym staniku, wypinającej chudy kuper dla Teda.

Spotkaliśmy się jeszcze dwa razy i dopięłam tego, na czym mi zależało. Dowiodłam sama sobie, że jeśli zechcę, mogę zamieszać w genetycznej układance, zdobyć dość spermy nie należącej do Jacka — a przy okazji zakosztować penisa, który nie wisi niemrawo i nie trzeba go wciskać na siłę.

Ted nigdy mnie nie spytał, dlaczego przestałam przychodzić. W ogóle nigdy nie nawiązał do naszych spotkań słowem ani gestem. Może poczuł ulgę, może już się obawiał, co wymyślę następnym razem. Przy ostatniej okazji, słysząc, że wraca Moira z dziećmi, przyciągnęłam jego głowę między moje mokre nogi, a potem wypchnęłam go za drzwi szopy, mając nadzieję, że da Moirze lepkiego buziaka na powitanie.

Nawet kiedy brzuch mi już mocno sterczał, Ted nigdy nie spojrzał na mnie pytająco. Jeśli ktoś ma dość oleju w głowie — a Ted miał go sporo — nie pyta o to, czego nie chce wiedzieć. Zwłaszcza kiedy ta głupia stara Moira, która niczego się nie domyślała, zaprosiła mnie do siebie, żeby wręczyć mi w prezencie świeżo wyprane i wykrochmalone, dwukrotnie już używane dziecięce ubranka.

Tyle zachodu, żeby na koniec dostać wierną kopię Jacka!

Kiedy Jack wreszcie zauważył mój wielki brzuch, spytał podniecony, czy jestem „w tym stanie”. Chryste, miałam ochotę krzyknąć, tak mógłby się wyrazić twój ojciec! Nie znasz słowa „ciąża”?

Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać to, że mężczyźni w ogóle nie umieją liczyć. Nie dopuszczałam Jacka do siebie od wielu tygodni — chciałam mieć pewność. Pomimo to natychmiast skwapliwie uwierzył,

że dziecko jest jego. Był uradowany, rozpromieniony, nadęty, aż się prosił, żeby go przekłuć.

„Połóż nogi na krzesło — mówił. — Wyglądasz na znużoną”. Albo wmuszał mi większą część niedzielnej pieczeni, twierdząc, że powinnam jeść za dwoje. Poklepywał mnie przy tym lekko po wierzchu dłoni. Któregoś piątku przyniósł owinięty w gazetę bukiet pierwszych żonkili. „To dla ciebie”, powiedział, jakby mogły być dla kogoś innego. Wstawiając je do wody, dołałam sporo octu; do poniedziałku wszystkie łebki opadły. Jack był niepokieszony, że zwiędły, nim zdążyły rozkwitnąć.

W ciągu lat nauczyłam się wielu sposobów ranienia cudzych uczuć. Przychodzi mi to łatwo, bez wysiłku i sprawia sporą przyjemność. Zawołowana aluzja, ostre słowo mają podobny efekt jak gwóźdź w oponie; człowiek niemal słyszy syk, gdy ulatnia się czyjaś pewność siebie lub radość. Kiedy Jane była mała, jej twarz zasnuwała się zwykle bólem i zdumieniem; niezmiennie zaskakiwał ją atak ze strony, z której się go nie spodziewała. Gdy podrosła, jej rysy ułożyły się w wyraz apatycznej rezygnacji i musiałam wkładać znacznie więcej wysiłku, by osiągnąć zamierzony efekt.

Krzywdziłam ją, wiem o tym i mam to w nosie. Bynajmniej nie czuję wyrzutów sumienia. Gdyby choć raz mi się przeciwstawiła, podniosła głos, być może dałabym jej spokój. A przynajmniej nękałabym ją, tylko będąc w złym humorze, a nie ciągle, nawykowo, jak świerzbący strup, który się bezmyślnie skubie. Na początku myślałam, że zarezerwuję tę rozrywkę na najczarniejsze dni, ale podnosiła mnie na duchu, pomagała mi żyć i w końcu stała się niezbędną jak powietrze.

Mogłam nizać upokorzenia, które fundowałam Jane, jak korale na sznurku. Nigdy nie zniżyłam się do ciepłych słów i gestów, które mają na podorędziu inne

matki. Cała sztuka — i klucz do sukcesu — polega na tym, żeby zadawać drobne ranki, które boją, lecz nie lamia. W dniu szóstych urodzin, kiedy Jane przybiegła ze szkoły i pełnym nadziei spojrzeniem omiotła kuchnię, powiedziałam, udając zdumienie: „Co, spodziewałaś się tortu?”.

Laurka na Dzień Matki. Mozolnie wymalowane idiotyczne kwiatuszki i króliczki, napis chwiejnym, niewyrobnym jeszcze pismem: DLA KOHANEJ MAMUSI. W jednym miejscu papier był przedziurawiony zbyt mocno naciśniętą kredką.

— Nieźle — powiedziałam. — Następnym razem nie wyjeżdżaj poza linie i popracuj nad ortografią, bo będziesz najgorsza w klasie.

Potem zwinęłam kartkę jak starą gazetę i wrzuciłam do śmieci. Jack ją wyjął, słyszałam, jak chwali króliczki, rzekomo ślicznie uchwycone.

— Przewrócisz jej w głowie — sarknęłam. — Zacznie oczekiwać od życia więcej, niż jest w stanie osiągnąć.

— Na litość boską, ona ma dopiero siedem lat! — krzyknął.

Wzruszyłam ramionami i wyszłam.

Kiedy Jane się dostała do szkolnej drużyny netballu — w grupie do 11 lat — wróciła do domu ze strojem w specjalnej torbie z nadrukowanym logo i taką dumą, że omal jej nie rozsadziło.

— Przyjdiesz popatrzeć na mecz? — prosiła. — Gramy we wtorek po lekcjach.

Poszłam. Stałam obok boiska i gorzko żałowałam, że moją córką nie jest dziewczynka, która grała w ataku — skoczna, zwinna i tak bystra, że nic jej nie umykało. Kibicowałam jej głośnymi okrzykami przez cały mecz. Moja Jane grała na skrzydle w obronie i przez cały mecz dotknęła piłki może ze trzy razy. Kiedy wyszła z szatni, zapytałam ją o nazwisko środkowej na-

pastniczki i przez całą drogę do domu chwaliłam grę tamtej. Dopilnowałam, żeby ani jednym zdaniem nie wspomnieć o Jane, i zanim włożyłam klucz do zamka, do reszty zabiłam w niej nadzieję.

Okres jej dojrzewania znacznie poszerzył mi pole działania. Miałam mnóstwo okazji, żeby dać Jane do zrozumienia, że jej koleżanki są ładniejsze od niej albo że znacznie lepiej wyglądają w ciuchach, które kupowały razem na przecenach. Cały trik polegał na tym, żeby nigdy nie wypowiadać zdecydowanych sądów. Oceniając konkretną spódniczkę, mówiłam na przykład jakby z wahaniem: „Nie wiem, może Susan ma po prostu dłuższe nogi?”. Albo kiedy Jane obracała się w miejscu jak modelka (nigdy nie mogła utrzymać rąk w spokoju; wygładzała tkaninę albo bawiła się włosami), podnosiłam dłoń do ust i pytałam z troską: „Pewnie nie możesz już tego oddać?”, choć prezentowała się całkiem dobrze. W większości przypadków pakowała kieckę z powrotem do torby i odnosiła ją do sklepu.

Największą przyjemność sprawiało mi chyba to, że zawsze osiągałam zamierzony skutek. To chyba jedyna dziedzina w moim życiu, gdzie wszystko mi się udawało.

W ostatniej klasie Jane oznajmiła znienacka, że zamierza iść na studia, na ekonomię. Jack był uszczęśliwiony, uśmiechał się tak, że skóra na twarzy omal mu nie pękła. Bełkotał te wszystkie sentymentalne bzdury o pierwszym dziecku w rodzinie, które będzie miało wyższe wykształcenie. Uśmiechnęłam się kwaśno i bąknęłam:

— No tak, ale cóż to za studia...? Medycyna lub prawo dają przynajmniej konkretny zawód.

Jane stała przede mną jak przekłuty balonik, szacunek do samej siebie opuszczał ją w błyskawicznym tempie z lekkim, słyszalnym tylko dla mnie sykiem (jakże ja uwielbiam takie chwile!). Potem położyła napisane już podanie na kuchennym stole i powiedziała cicho:

— Myślę, że i tak spróbuję.

Więcej nie poruszałyśmy tego tematu. Lubię, gdy zadane przeze mnie rany same się jątrzą.

Muszę przyznać, że poczułam coś na kształt żalu, kiedy wyprowadziła się z domu. Dopóki z nami mieszkała, miałam na kim skupić matczyną uwagę (choć w niekonwencjonalny sposób). Zostałam sama z Jackiem i liczba pewnych ofiar zmniejszyła się o połowę. Jack zresztą robił się coraz bardziej ślamazarny, serce mu nawalało, rozdymało się w piersi. Przez następne pięć lat obserwowałam, jak blednie, nogi mu puchną, a końce palców sinieją.

— To przez te twoje papierosy — zrzędziłam. Wzruszał z rezygnacją ramionami, a raz odszczeknął tonem niezwykle jak na niego ostrym:

— Przynajmniej to sprawia mi przyjemność. Jakby warto było za nią płacić taką cenę!

Kiedy Jane brała ślub z Nickiem, Jack ledwie doczłapał z nią do ołtarza i choć niby prowadził ją pod rękę, wcale nie byłam pewna, kto kogo podtrzymuje. Ruszając z miejsca, Jane pochyliła się ku niemu, ich głowy się zetknęły i coś do niego szepnęła, a on się uśmiechnął, odpowiedział i oboje zaśmiali się cicho.

Pomyślałam szyderczo: „Spłodził cię Ted Clay, złotko. Ten żaloszny gość, z którym właśnie rozmawiasz, nie jest nawet z tobą spokrewniony”.

Awans społeczny Jane i mnie sprawił wiele radości, choć nie z przyczyn, które cieszą większość matek. W pierwszym domu, który kupili z Nickiem, Jane zerwała stare brudne wykładziny, następnie we dwoje wycyklinowali podłogi i Jane przez tydzień, zanim podjęła nową pracę, na kolanach woskowała stare dębowe deski bezbarwnym impregnatem.

— Ta-dam! — zawołała triumfalnie, gdy stanęliśmy z Jackiem w progu, rozpostartymi ramionami starając się unaocznić, jak bardzo jasne drewno optycznie

zwiększa metraż. Zsunęłam but i potarłam lśniąca podłogę stopą w pończosze, a następnie oznajmiłam:

— Mhm, ale dywan to jednak dywan. Zimą będzie wam wiać po nogach. Poza tym znać będzie wgniecenia i dziury od obcasów — dodałam, nieznacznie wiercąc w miejscu obcasem drugiego buta.

Jane przygotowała kurczaka na winie, zgodnie z przepisem obtaczanego w maśle zmieszonym z mąką. Zajrzałam do rondla, mówiąc:

— Oj, to będzie strasznie tłuste! Nie dałaś za dużo przypraw? Boję się, że będę cierpieć na niestrawność.

W rzeczywistości danie było bardzo dobre, podała je w dużych białych czarkach. Zjadłam z apetytem aż trzy porcje, ale powstrzymałam się od pochwał i ukradkiem zachlapałam sosem jej nowy, jasny lniany obrus.

Boże Narodzenie — cóż to było za pole do popisu! Mieszkali jeszcze w tym samym domu, kiedy zaprosili nas na święta. Choinka była żywa; pomyślałam z satysfakcją, że opadłe igły będą się poniewierać wszędzie. Dekoracja ograniczała się w zasadzie do schludnie zawiązanych atlasowych kokardek i małych białych żaróweczek palących się stałym światłem — zupełnie odmiennych od bajecznie kolorowych mrugających lampek, które Jane uwielbiała w dzieciństwie. Wskazała choinkę z taką miną, jakby wciąż miała sześć lat, i powiedziała:

— Ładna, prawda? To cudowne uczucie, święta w pierwszym własnym domu.

Prychnęłam, dając do zrozumienia, że mogłabym powiedzieć znacznie więcej, lecz nie chcę jej dobijać:

— Kwestia gustu. Niektórym mogłaby się wydać zbyt skromna. Trochę przypomina drzewka, które stoją w marketach.

Co ciekawe, ani Jane, ani Jack nigdy nie podjęli walki. Nie próbowali odplacić mi pięknym za nadobne. Mam wrażenie, że przez ostatnie trzydzieści lat trak-

towałam ich oboje jak worki treningowe; więcej — dołożyłam wszelkich starań, żeby ich zniszczyć. Jedyne namacalne zwycięstwo, jakie z pewną dumą mogę sobie przypisać, to uwaga, która kiedyś wyrwała się Jane w związku z decyzją, aby nie mieć dzieci:

— Możliwe, że instynkt macierzyński się dziedziczy.

Ha, zaśmiałam się w duchu. To też ci odebrałam!

— Tak jest łatwiej — dodała i przez chwilę zastanawiałam się, co ma na myśli. Z mojej perspektywy z pewnością tak było łatwiej, bo nic nie rozpraszało jej uwagi, nie naruszało związku łączącego kata i ofiarę, naszej wzajemnej gry. Sekwencji drobnych złośliwości, które pozwalały mi rozładować agresję i zarazem ją podsycaly.

Siedzę na brzegu łóżka. Moje gołe kolana świecą spod koszuli jak dwa blade księżyce. Zastanawiam się, po co mi dano tę niezwykłą przytomność umysłu, okazję do galopady przez gąszcz dawnych myśli i odczuć. Już czuję, że jutro za nią zapłacę. Mój umysł przestanie buzować i iskrzyć jak teraz. Ogarnie go mgła, rozleje się po głowie niczym gęsty budyń, wypełni zatoki przy uszach, odcinając dostęp dźwiękom. Słowa rozmyją się i ucichną, wszystko jeszcze zgrzytnie jak po zaciągnięciu hamulca, a potem się zatrzyma. Moja córka będzie łyżką wkładać mi jedzenie do ust, a ja będę je żuła z głuchym chrzęstem rezonującym nieprzyjemnie w kościach czaszki.

To wszystko dopadło mnie jakoś ukradkiem. Zaczęło się od roztargnienia — zapomniałam o dentyście, o fryzjerze. Wchodząc do sklepu, zauważałam nagle, patrząc na swe odbicie w witrynie, że jestem w bieliź-nie, blade obwisłe piersi prześwitują przez cienką koszulkę. Kiedyś odkręciłam kurek gazowy i Jane biegała potem po całym domu, otwierając okna. Zapomniałam, że woda leje się do wanny; zalała całą podłogę,

a na suficie na dole zrobił się brązowy zaciek. Podnosiłam słuchawkę i nie byłam w stanie sobie przypomnieć, do kogo chciałam zadzwonić; kolejność cyfr uciekała z pamięci i w końcu nie wiedziałam już, po co mi ten przedmiot.

Dzień, w którym Jane zabrała mnie do lekarza, był szczególnie zły. Mam z niego tylko mgliste wspomnienia, niezbyt wiarygodne i żółknące na brzegach. Pamiętam, że siedziałam w gabinecie i dopytywałam się: „Kto to jest? Co to za człowiek?”, a przez cały czas mgła kłębiła się i przelewała we wnętrzu mojej czaszki.

— Czego on ode mnie chce? — zapytałam, tym razem ze złością.

Lekarz zwrócił się do Jane:

— Jak widzę, chora ostatnio zachowuje się agresywnie?

Mimo otepienia zachciało mi się śmiać. Ostatnio, dobre sobie!

Lekarz polecił, żebym napisała swoje nazwisko. Ołówek ślizgał mi się w palcach, kiedy próbowałam go chwycić i utrzymać we właściwej pozycji. Pismo wyglądało, jakby ktoś rozmazał na kartce pająka. „Zaraz to poprawię” — chciałam powiedzieć, ale słowa turlały mi się pod językiem, topniejąc niczym małe tabletki aspiryny.

— Zaczynasz tracić pamięć — powiedziała później Jane, delikatnie głaszcząc mnie po dłoni. — Doktor nie jest pewien, czy to niewielki wylew czy jakaś postać demencji. W dobre dni wciąż mogłabyś się obyć bez pomocy, zachodzi jednak obawa, że będąc w gorszej formie, zrobisz sobie krzywdę.

Choć tonęłam właśnie w bagnie upokorzenia, dostrzegłam przebłysk nowych możliwości.

— Jakaś ty dobra, że chcesz się mną opiekować — zakwiliłam, zerkając na nią ukradkiem jak wąż, nim zaatakuję.

Ulokowała mnie w zapasowej bawialni. Ściany miały nudny, neutralny kolor. Było tu za spokojnie, za luźno, za nijak.

— Ten pokój trzeba jakoś ożywić! — zaprotestowałam.

— Możesz przywieźć tu z domu wszystko, co zechcesz — odpowiedziała cierpliwie. — Chcę, żebyś się dobrze u nas czuła.

— Na początek porządny kolorowy dywan — oznajmiłam, z odrazą suwając stopą po kokosowej macie w kolorze gałki muszkatołowej.

Są dni, kiedy nie mam ani sił, ani ochoty na nic. Siedzę otumaniona i przyglądam się cieniom, które słońce przesuwają po ścianie; inaczej rano, a inaczej po południu. Jak przez mgłę dociera do mnie głos Jane, gdy wchodzi i wychodzi z pokoju.

Czasami znowu wyławiam coś z przeszłości; przypominam sobie kogoś, kto mnie rozzłościł, sąsiada lub krewnego. Na ogół widzę tylko fragmenty twarzy i przez cały dzień staram się z nich złożyć całość jak puzzle. Niekiedy łapię się na tym, że mówię coś głośno, najczęściej klnę. Wówczas twarz, która pływa mi przed oczami, przeważnie należy do Jacka z czasów, kiedy pracował u Dunlopa. W takie dni ręka mnie świerzbi, żeby kogoś spoliczkować.

Bywają dni, kiedy jestem w stanie wykrzesać z siebie dość energii, żeby zdrowo uprzykrzyć Jane życie. Docinam jej lub po prostu odmawiam współpracy. Potrafię być zupełnie bezwładna i ciężka, kiedy tego chcę; ciężka jak głaz, gdy trzeba mnie przesadzić z łóżka na nocnik; a srać mogę godzinami. Wiem, że Jane nie wyjdzie z pokoju; boi się, żebym nie spadła z nocnika.

Dziś jest inaczej. Od dawna nie czułam takiej jasności umysłu. Pałam żądzą odwetu, żądzą destrukcji. To, obawiam się, moja ostatnia szansa, żeby porządnie za-

mieszać kijem w mrowisku. Jeszcze mogę tak napaskudzić w życiu mojej córki, że długo się nie pozbiera.

W szafie jest puszka, w której trzymam wszystkie swoje papiery. Wieczko zdobi widoczek z Devonu, ładny mały domek nad brzegiem morza. Ktoś pewnie w nim mieszkał. Szkoda, że nie ja.

Wstaję po ciemku i dotąd grzebię po półkach, aż w końcu ją mam.

Większość dokumentów jest stara — moje świadectwo ślubu, świadectwo śmierci Jacka. Na samym dnie znajduję to, czego szukam. Metrykę urodzenia Jane, gotowy czerwony formularz wypełniony czarną czcionką na maszynie, który stwierdza, że jej rodzice to Jack i ja. Nie wiem, którego dzisiaj mamy — już od dawna jestem na bakier z kalendarzem. Pomijam datę i piszę, wkładając w to wszystkie siły, dużymi, chwiejnymi drukowanymi literami:

NIESPODZIANKA!

JESTEŚ CÓRKĄ TEDA CLAYA, CHOĆ NIKT O TYM NIE WIE. TO WSZYSTKO ZMIENIA, PRAWDA? POZDROWIENIA OD MAMUSI.

Siadam z powrotem na łóżku spocona z wysiłku. Serce mi wali. To skutek emocji; rozkosznej przyjemności, jaką daje ostatnia manifestacja siły. Miło jeszcze raz postawić Jane na baczność.

Kiedy umrę, będzie musiała pogodzić w sobie różne sprzeczne uczucia. (Wyobrażam ją sobie, jak siedzi z dłonią przyciśniętą do nasady nosa, ciemne włosy spadają jej na twarz jak wtedy, kiedy nocą musi przy mnie siedzieć, a jest już bardzo zmęczona). Z pewnością odczuje ulgę, że nie musi mnie już więcej niańczyć, lecz także coś bardziej złożonego, mroczniejszego, co przeniesie ją wstecz, do tego etapu dzieciństwa, na którym zrozumiała, że jej nie kocham. Mam wrażenie że

coś takiego musi być zaraźliwe; skala zgnilizną wszystko, czego dotknie moja córka. To naprawdę mile, że ja będę miała ostatnie słowo, jeszcze raz ją uszczypnę kościstymi palcami, nim zatrzaśnie się na nich wieko trumny.

Zajrzy do tej puszki i rozłóż metrykę, a wówczas twarz Teda Claya splami jej wspomnienie o Jacku. Będzie sobie przypominać wszystkie rozmowy z Moirą i zastanawiać się, czy Moira wiedziała. Zacznie myśleć o Angeli i Barrym, który jeśli dobrze pamiętam, został w końcu kierownikiem sklepu z butami. Dałam jej w prezencie przyrodnie rodzeństwo, ha, ha. Ciekawe, co z tym wszystkim pocznie. Ostatni podarunek od wdzięcznej matki. Nieoczekiwany, by tak delikatnie rzec. Przechytrzyłam ją. Wyprzedziłam na ostatnim wirażu. Zawsze z nią wygrywałam. Teraz sprawię, że wspomnienie Jacka zacznie blednąć w jej sercu, przetnę więzy, które ich łączyły, i każę jej go ujrzeć w innym świetle. Chociaż Jacka już nie ma, odbiorę mu wreszcie Jane. Ostatecznie to ja mu ją dałam, wydarłam ją z siebie na twardym szpitalnym łóżku i dałam Jackowi, choć na to nie zasłużył.

Ja także przeminę, ale nie bez echa. Nie rozplynę się w nicość. Mój gniew nadal będzie szala! jak huragan, który nie chce ucichnąć. Przez całe życie wściekałam się na Jane i Jacka, a teraz jestem wściekła, bo tracę rozum — jedyne co w całym swoim życiu naprawdę sobie ceniłam. Czyżby gniew stał się dla mnie celem samym w sobie, nie środkiem, by zmienić coś na lepsze? Ta refleksja nie sprawia mi przyjemności. Dobrze, że jutro nie będę jej pamiętać.

Myślę, że najbardziej nienawidzę w swoim życiu tego, że jest tak mało warte. Brak mu poloru, blasku, smaku. Czuć w nim tylko gorycz. Dodatkowo mierzi mnie i to, że moja córka także niczego nie osiągnęła. To wszystko, co mamy, jest takie nijakie, takie nieskoń-

czenie błahe. Przeciętność jest jak silny ług, trawi ciało i kości. Przeciętność napawa lękiem w obliczu osiągnięcia czegokolwiek.

Melbourne. Perth. Kapelusz z jaskrawozielonym piórem. Kłębek sznurka i tani czerwony biustonosz. Sąsiedzi zerkający zza firanek. Wszechobecny smród gumy. Ascetyczna choinka w kokardkach i białych lampkach. Wszystko to kołysze mi się w głowie, chlu-pocze i miesza, objijając się o ściany czaszki. Zapamiętane rzeczy toną, rozrywa je na strzępy ruchliwa ławica małych słów. Stolik. Lampa. Chustka. Woda. *Stolik. Lampa. Chustka. Woda.* Stolik. Lampa. Chustka. *Stolik. Lampa.* Stolik. *Stolik.* Ciemny przyływ zakrywa wszystko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nick

Pół roku temu bez wahania określiłbym się jako mężczyzna czterdziestoczteroletni, bezdzietny z przekonania i szczerze kochający żonę. A zatem dojrzały w sam raz do upadku, ktoś mógłby rzec. Zwłaszcza teraz, gdy Jane jest kompletnie wykończona, a jej matka przez większość czasu przejawia oznaki starczego od-mózżenia, co nie przeszkadza jej być przykrą. Gdybym chciał analizować swój kryzys wieku średniego, mógłbym chyba wyodrębnić pewne sprawy, których kumulacja osłabiła w końcu moje morale. Mam takie uczucie, jak gdyby oś, która dotąd trzymała mnie w pionie, została bardzo starannie wyekstrahowana za pomocą szczypczyków, wskutek czego gros rzeczy straciło dotychczasową wagę. Niepewność zaczyna odbierać zdecydowanie moim krokom.

Jestem w wieku, w którym mężczyzna cierpi na przelotne chandry. Na przykład jadąc w środę do pracy, uświadamia sobie, że nie wydrukują jego nekrologu w *Timesie*, zaś jego życie nie było lśniąca mozaiką różnorodnych osiągnięć, lecz raczej mozolnie wyrytym okopem, w którym nie ma szans na order — co najwyżej na pochwałę za wytrwałość i ogólną przyzwoitość. Ja osobiście mogę się podpisać pod tym obrazem. Osiągnąłem coś w życiu, ale z pewnością nie był to spekta-

kularny sukces. Jestem tego świadom. W istocie fakt ten wchodzi w zakres świeżo poczynionego przeze mnie spostrzeżenia, że postawiony w sytuacji, którą nie do końca ogarniam umysłem, instynktownie przeszacowuję jej plusy. Jestem więc dość powierzchownym optymistą.

Wcześniej, przed tym wszystkim, gdyby ktoś mnie zapytał o moje życie, o Jane, odpowiedziałbym, że kocham ją z całym żarem, który wciąż noszę w sercu. Wciąż jest na pierwszym miejscu; widzę, kiedy ma sińce pod oczami, kiedy jest zmęczona, a kiedy ożywiona, dostrzegam jej nowe spodnie albo buty. A jednak nie ośmieliłbym się stwierdzić, że znam ją na wylot lub że w pełni ją rozumiem. Chyba nigdy się nie spodziewałem, że to możliwe. Opisałbym Jane jako osobę otwartą, komunikatywną, acz zarazem z natury nieskłoną do zwierzeń. W jej osobowości zaznacza się cienki margines tajemnicy, coś jak snujący się po lesie zapach dymu świadczący, że gdzieś coś się dzieje, choć człowiek tego nie widzi. Nieraz myślę, że są sprawy, których Jane nie porusza. Cokolwiek to jest, utkwilo w niej głęboko, jak drzazga za paznokciem, która jątrzy się i sprawia ból, ilekroć czegoś dotknie. Czasem widzę w jej oczach mrok — płynny, nieuchwytny — a ona odwraca głowę, nie zdradzając niczego.

Ostatnio coraz częściej czuję, że Jane mi się przygląda, jak gdyby chciała odczytać moje myśli. Tymczasem prawdę mówiąc, zwykle — a w każdym razie często — myślę o sprawach związanych z pracą albo o tym, co by tu nowego posadzić w ogrodzie. O ironio! Skądinąd gdybym miał sobie wybrać rodzaj dziwactwa związanego z kryzysem wieku średniego, bez wahania opowiedziałbym się za ogrodnictwem. Obsesja na punkcie liliowców lub niebieskich maków jest przyjemna i w gruncie rzeczy nieszkodliwa. Nigdy się nie spodziewałem, że stanę się mężczyzną, który wróciwszy latem

z pracy, wychodzi do ogrodu, żeby sprawdzić, czy czarna śnieć nie tknęła róż. Moja matka kochała swój ogród. Czasem się zastanawiam, czy to nie cieniutka pajęczka nić, która mnie z nią łączy. Kiedy w lutym ściółkuję grządki kompostem albo w ciepły lipcowy wieczór rozpinam pędy groszku na podpórkach z wierzbowych łozin, widzę w tym częściową rekompensatę za jej śmierć, a nawet chwilową łączność z tamtym światem, bo wiem, że zrobiłaby to czy owo w taki właśnie sposób, ojciec zaś dogadywałby jej żartobliwie, siedząc na leżaku i słuchając w radiu meczu krykieta. Jest to furtka dla zmarłych, by mogli żyć dalej — przez obrazy i wspomnienia, które kotwiczą ich w teraźniejszości. Uczucie, jakim darzyłem rodziców, wciąż jest tak samo mocne, choć ich obecność słabnie wraz z upływem czasu. Zmieniają się konteksty, zdarzają różne rzeczy, których oni nie mogą już skomentować. Śmierć przedatowuje, jest jak wywieszka „**PRZECENA**” na koszu z owocami.

Zupełnie inaczej jest z moją teściową, która niczym nadmiernie dojrzały ser z dnia na dzień coraz bardziej przenika nasz dom.

Co ja sobie, u licha, wyobrażałem? Jak mogłem sądzić, że nasze życie z nią pod jednym dachem będzie choć w części takie jak dawniej?

Vera wydaje mi się zarazem czujna i jakby odłączona od zasilania, jakby synapsy jej układu nerwowego były zalepione kitem. Czasem samo spojrzenie w jej stronę staje się prawdziwą szkołą charakteru — tak trudno ukryć antypatię. Usiłuję wobec tego nastroić się empatycznie: myślę o jej chorobie, starości i poniżeniu, próbuję dojrzeć istotę ludzką w siwej zaślinionej kobiecie o patykowatych nogach i obwisłych piersiach przyczepionych do korpusu jak podgłówki. Zdobyć się na współczucie wcale nie jest łatwo.

Nieraz wracając wieczorem do domu, widzę, że Jane krzątała się wokół niej przez cały dzień: twarz ma

ściągnięta, niebieskie żyłki znużenia pod oczami. Zastanawiam się wówczas, czy moja propozycja, by przygarnąć Verę do czasu znalezienia dla niej domu opieki, nie była przez przypadek próbą uczczenia w jej osobie moich własnych rodziców. Imperatyw, wpojony jeszcze w dzieciństwie, wciąż tkwi mi w gardle jak mała kość kurczęcia. Ale gdybym miał być szczery, musiałbym przyznać, że nigdy nie rozumiałem w pełni związku łączącego Jane i Verę. Nie wiem, czy było w nim miejsce na szacunek czy nawet miłość.

Przez lata obserwowałem nienaganny stosunek Jane do matki, lecz czegoś w nim brakowało, a równocześnie dał się wyczuć jakiś nadmiarowy element, którego nie potrafiłem nazwać. Kilka lat temu nagle sobie uświadomiłem, że nigdy nie widziałem, by Vera okazała Jane uczucie — całusem, uściskiem lub choćby serdecznym dotknięciem. Może to być kwestia wychowania, nawyk wyniesiony z domu — często się zdarza, że za powściągliwą fasadą kryje się ogromna czułość. Mam jednak wrażenie, że chodzi o coś innego. Gdy wchodzę do pokoju, w którym siedzą obie, powietrze robi się ciężkie od niedopowiedzeń zwisających z sufitu jak worki treningowe. Mam uczucie, że przeciskam się między wielkimi tobołami z czerwonego plastiku, a moje słowa budzą zbyt głośne echo. Zupełnie jakby moja obecność nakładała im knebel. Czuję przy tym silną telepatyczną presję, żeby się w to nie wgłębiać, a już z pewnością nie prosić Jane o wyjaśnienia.

Zdaję sobie sprawę — mądrością człowieka, któremu zostało w rękach wyrwane skrzydło wrót stajni, podczas gdy tętent kopyt cichnie w oddali — że zanim zdecydowaliśmy się wziąć pod opiekę Verę, trzeba było poruszyć nawarstwiony osad minionych lat. Przyznaję, nie spodziewałem się, że jej obecność wywrze na nas tak silny wpływ. Ta kobieta wysysa z nas energię i celowość i karmi nimi własną apatię, ten letarg, który pa-

radoksalnie zmusza Jane do ciągłej czujności. Dawniej spała jak kamień z rękami złożonymi pod policzkiem, a teraz nawet we śnie jedną nogę zawsze zwiesza z łóżka gotowa do biegu, głowę ma zwróconą ku drzwiom, nasłuchując również wtedy, gdy powinna odpocząć.

Mam uczucie, jakby mój dom stopniowo się zamykał, zapadał, tracił zdolność, by zapraszać i gościć. Każdy oddech Very odbiera nam tlen z płuc. Miewam taką wizję: spaczone napęczniałe okna nie dają się otworzyć, uwięzione w środku powietrze staje się coraz cięższe, gęste i żółtawe, trujące. Jane biegnie przez pokoje, otwiera co się da, by zrobić przeciąg, a mimo to jest coraz duszniej, coraz trudniej oddychać. Przypomina mi to duchotę przed burzą, ucisk w skroniach przed atakiem migreny.

Nasze życie towarzyskie więdnie i zamiera. Dwukrotnie zaprosiliśmy znajomych na kolację. Dwukrotnie imprezę uświetniła Vera i wieczór skończył się katastrofą. Odebrało nam to chęć do dalszych prób. Spontaniczne wyjście do restauracji albo kina wydaje się niewykonalne, ściągnęłoby zresztą na nas więcej kłopotów, niż to warte. Zaczynam mieć uczucie, jakbym z własnej woli nałożył gogle ograniczające pole widzenia do tunelowego. Nasz świat się kurczy, rozrasta się w nim tylko Vera.

Siedzi w fotelu z nieprzeniknionym, nieobecnym wyrazem twarzy. Czasem przybiera kwaśną minę jakby żywcem wyjętą z książki dla dzieci, ilustrującą wierszyk o chłopcu, który musiał pić tran. Czasem wita mnie tak uprzejmie i wylewnie, że podejrzewam ją o kpiny. Zastanawiam się, jak to jest, że jej twarz najchętniej układa się w szyderczy wyraz. Z jednej strony Vera wydaje się całkiem bezsilna, wyzuta z energii i werwy, jak bryła smalcu albo kupa lśniących flaków — a potem nagle czujesz nieomal słyszalną wibrację, syk; człowiek mimo woli rozgląda się za płonącym lontem podpiętym do

zapalnika, sypiącym iskry jak w starych kreskówkach z Tomem i Jer rym. Uzbrojona Verobomba, która zaraz wybuchnie, pokrywając wszystko zakrzepłymi białymi bryzgami.

Przez nią mój dom zdaje się pusty, choć mieszkańców jest więcej. Zbliżając się wieczorem do drzwi, mimo woli zwalniam, przystaję na chwilę, nim włożę klucz do zamka, nabieram powietrza w płuca. Teraz widzę, że wedle niepisanej umowy ten dom miał należeć tylko do Jane i do mnie. Złamaliśmy ją, dodając do koktajlu Verę. Powinienem był już wyrosnąć z dziecinnego pragnienia, by zawsze mnie chwalono — zwłaszcza że ja chodzę w glorii porządnego człowieka, podczas gdy to Jane ponosi wszystkie koszty. To Jane taszczy Verę do łóżka i z powrotem. Moja dobroć jest łatwa, spada z rąk niczym drobna moneta — prędka zdawkowa jałmużna. Moja matka przypisywała to pragnienie, by wyróżniać się dobrymi manierami, średnim dzieciom w rodzeństwie. Jeśli nie możesz już być najstarszy ani najmłodszy, starasz się być najgrzeczniejszy. Powinienem był się wykazać większą dojrzałością. Nie walczymy już przecież z braćmi o terytorium. Jak sędzę, wraz ze śmiercią rodziców gaśnie rywalizacja między dziećmi. Nie ma już przyczynków do porównań — chyba że do tych, które człowiek przeprowadza sam.

A teraz się martwię. Noszę w sobie maleńkie ziarenko lęku, które krąży wąskimi kanałami żył i tętnic, tak że cały krwiobieg zdaje się pulsować nieznanym poprzednio niepokojem. Być może jest to zwiastun, złowieszczą oznaką, że mój kryzys wieku średniego nie zamknie się w łagodnym ogródkowym bziku. Przeciwnie, przyczajony jak żółtooką sowa bezbłędnie wyłowi z mroku przykrą świadomość, że ściągając do domu Verę, skupiliśmy wzrok na pokoleniu naszych rodziców i niejako podkreślili w ten sposób własną bezdzietność.

Mam paskudne przeczucie, że słowo „BEZ-dzietność” już wkrótce wyprze z mojego słownika „rodzinę jedno-pokoleniową” — wygodny eufemizm, którym się dotąd posługiwałem.

Cień Very wydobył z ciemności inne cienie. Zanim się wprowadziła, nigdy nie myślałem o sobie i Jane inaczej jak o osobach dorosłych. Tymczasem osadzając Jane w roli dobrej córki, oboje ruszyliśmy pod prąd, w stronę dzieciństwa. Duże dorosłe dzieci, które zapomniały zostać rodzicami.

Bezdzietność z początku była dla nas stanem naturalnym. Łatwo się na nią zgodziliśmy i natychmiast usunęliśmy ją z myśli. Kiedy mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, problem rodzicielstwa w ogóle dla nas nie istniał. Pracowałem, awansowałem, spędziliśmy dwa cudowne lata w Pradze. Nigdy nie odnieśliśmy wrażenia, że coś innego doprasza się naszej uwagi; z aktówki lub nesesera nigdy nie wyrzało pytanie: „I to już wszystko?”. Życie miało urok nowości, podniecało, człowiek pędził naprzód, w szeroki świat, i dopiero niedawno, wraz z przybyciem Very, to uczucie zgasło, znikło jak ślady stóp przysypane grubą warstwą śniegu.

Żeszłej zimy po którymś meczu hokejowym doświadczyłem drobnego ukłucia dyskomfortu, kiedy wszyscy zwinęli się szybko z baru. Szli z dziećmi na kręgle, mieli odebrać je z przyjęcia albo pomóc napisać referat. Uświadomiłem sobie (było to uczucie podobne, jak sędzę, do napadu lumbago), że za chwilę zostanę sam nad swoim piwem. Zrozumiałem, nagle i dotkliwie, że dzieci moich kumpli wyrosły już z pieluch, rozpoczęły nowy, znacznie ciekawszy etap życia. Teraz mój tenisowy partner odwoływał spotkanie, bo wolał pograć z synem. Nigdy nie udało mi się przewyciężyć w sobie stereotypowych skojarzeń związanych z dziećmi (pieluchy, kolki, nocne ryki i zero seksu) na rzecz obrazu dziecka dziesięcio- czy dwunastoletniego,

z którym chodzi się do kina, gra w remika, jeździ na narty, rozmawia o Isambardzie Kingdomie Brunelu albo na gwałt odświeża w pamięci formy łacińskiego dopełniacza.

Moje hipotetyczne dzieci nigdy nie dorosły do tego wieku. Przyjąłem propozycję Jane zupełnie bez namysłu, teraz jestem tego świadom. Nie zdobyłem się na zrozumienie, co się z tym wiąże. A teraz, żeby to zrekompensować, zgodziłem się na Verę, na codzienne oglądanie jej nalanej, wiecznie skrzywionej gęby. Powiedziałem „tak” dla Very, a tymczasem każdy dzień jej demencji coraz bardziej uwydatnia gęste jak owsianka bagno, w które sami się wpędziliśmy z Jane przez własną krótkowzroczność. I to ja wpadłem na ten idiotyczny pomysł, ja nałożyłem własnej żonie to jarzmo! Świadomość tego uwiera mnie jak kamień w bucie.

To nie wina Jane, że nie mamy dzieci, nawet jeśli idea wyszła od niej. Podchwyciłem ją skwapliwie, podpisałem się pod nią obiema rękami, zmieniając ideę w realny byt. Raz, wiele lat temu, w żartach zacytowałem myśl Oscara Wilde'a, że kobiety z biegiem czasu upodobniają się do swoich matek. Przez ułamek sekundy na twarzy Jane widniała najczystsza zgroza. Może jest jakiś związek między Verą a rezygnacją Jane z macierzyństwa; nigdy nie ośmieliłem się o to spytać. Myślę, że we wszystkich małżeństwach są takie obszary, na które się nie wkracza; sprawy, o których się nie mówi.

Zastanawiam się jednak, czy Jane dobrze to przemyślała. Wywlekanie dziś tego byłoby niewybaczalne. I cóż mielibyśmy zrobić — złapać się za głowy i biadać, że źleśmy uczynili? A potem czekać, wstrzymując oddech, kto pierwszy zacznie obwiniać to drugie? Po raz pierwszy w ciągu całego naszego związku nie mogę się jej zwierzyć ze swoich uczuć. Nie mogę wyznać, że po tylu latach nie jestem szczęśliwy. Miałyby pełne prawo spojrzeć na mnie ze wzgardą — wiem przecież, jak wy-

gląda dziś jej życie — i odpowiedzieć: „Sądzisz, że ja jestem?”.

A teraz na dodatek pojawiła się Evie. Boże! Samo to wystarczy, żeby mnie przekonać o istnieniu jakiegoś bytu nadrzędnego, choć zapewne nie takiego, który patronuje błogim happy endom. Raczej już takiego, który złośliwie wtyka gruby paluch między szprychy.

Evie. Jej imię jest lekkie jak puch, ma w sobie wznoszący się prąd powietrza, powiew, którym Evie zdmuchuje włosy z czoła, kiedy jest jej gorąco albo kiedy morduje się z czymś, co przerasta jej siły.

Po raz pierwszy — było to wkrótce po ich przyjeździe — zobaczyłem ją na szczycie drabiny; próbowała wygarnąć mokre liście z rynny. Miała na rękach wielkie gumowe rękawice, przeguby wystawały z nich niczym cienkie nóżki kukiełek. Balansowała na jednej nodze wygięta w łuk, a na ziemi stał Felix, trzymając drabinę, i nawet z dala widziałem, że kostki dłoni ma białe z wysiłku, żeby ją dociążyć. Wołał do matki, w którą stronę ma sięgnąć, i uchylał głowę przed mokrymi pe-cynami zrzuconymi na dół. Na poły ze śmiechem, na poły ze strachem przeginała się coraz bardziej w lewo, a ja stałem i przyglądałem się temu ze swojego ogrodu, świadom, że najzwyczajniej się na nią gapię. W końcu ruszyłem pomóc, obawiając się, że spadnie. Zeszła z drabiny z twarzą zarumienioną z wysiłku, zdjęła jedną rękawicę i otarła pot z czoła.

— Na ścianie w kuchni jest zaciek — wyjaśniła. — Nie chcę, żeby się powiększał. — Potem podała mi rękę, mówiąc: — Jestem Evie, a to Felix. — I strzepnęła pajęczynę, która przywarła jej do nogawki dzinsów.

Jest maleńka. Drobna i szczupła. Daje lekcje jogi, a kiedy się schyla, sięgając po coś, jej ciało składa się jak origami, które robiłem w dzieciństwie. Nieraz wcześniej rano rozkłada matę pod śliwą w swoim ogrodzie i wita

słońce albo stoi na jednej nodze, całkiem nieruchomo, jakby jej noga mocno zakorzeniła się w podłożu.

Czasem przybiera na macie pozy kojarzące się ze zwiniętą ślimaczą muszlą, a jej córeczka wdrapuje się na nią i razem tworzą wieloręką i wielonogą hinduską rzeźbę. Czasem znów siedzi z Felixem na schodkach, trzyma w obu dłoniach wielki parujący kubas herbaty i dmucha na nią, rozmawiając z synkiem. Palce ma oplecione wokół kubka, kolana przyciśnięte do piersi. Śmieją się półgłosem, a czasem na zakończenie jakiejś kwestii Evie naciąga chłopcu kaptur bluzy aż po samą brodę.

Wyczuwam między nimi prawdziwą przyjaźń i pełne zaufanie. Felix trzyma w ręku patyk, którym kreśli półkola na ziemi przed schodkiem, zamykając oboje w bezpiecznym magicznym kręgu, a ja mam wyrzuty sumienia, że naruszam to sanktuarium spojrzeniami rzucanymi kątem oka. Słyszę, jak głos chłopca wznosi się i opada, a Evie się śmieje, i mimo woli myślę, jak przyjemnie byłoby ją rozśmieszać — tak mocno, do rozpuku — i oglądać jej zęby i język w czerwonym pierścieniu warg.

Na pozór jest to typ kobiety ukochanej przez wszystkie agencje reklamowe. Buty Birkenstock i domowej roboty muesli, kadzidelka i egzotyczne herbaty, pamiątki z Maroka, logo partii Zielonych, mata do ćwiczeń i robione na drutach getry z zielonej włochatej wełny, miękki skórzany plecak noszony na jednym ramieniu, tabletki Echinacea, szary męski prochowiec kupiony w taniej odzieży, patchworkowy worek na fasolę pozszywany z kawałków różnych tkanin i koziej skóry, świeczki i tofu, i środki czystości firmy Ecover. Wcześniej oglądając te reklamy, patrzyłem na występujące w nich kobiety w sposób, który dziś wydaje mi się beznadziejnie płaski, prostacki, pomija subtelniejsze przejawy kobiecości. Patrzę na Evie i widzę, że skomponowany przez agencje obraz wciąż nie trafia w sedno,

choć większość wymienionych rzeczy faktycznie można znaleźć w jej domu. Żadna z nich jednak nie pozwala się domyślić łobuzerskiego wdzięku Evie; nie emanuje jej ciepłem, jej uśmiechem, w którym jest delikatniejsze, łagodniejsze drugie dno; nie odbija szarego błysku w oczach znamionującego niezależność i mocny charakter. Ani poczucia humoru, które pozwala jej śmiać się z siebie. Kiedyś Pusia (jej córka) wróciła z ogrodu ubłocona po pas. Evie postawiła małą w kuchennym zlewie i szorując jej kolanka, westchnęła:

— A jednak to prawda, że samotne matki są odpowiedzialne za zepsucie obyczajów. Moje własne dziecko wygląda, jakby uciekło z Cyganami!

— I jakby odesłali je z powrotem za niechlujstwo — dodał sarkastycznie Felix i wrócił do gry na komputerze ustawionym w kącie kuchni.

Evie wyjęła córkę ze zlewu, owinęła w ręcznik i usadziła sobie na kolanach. Włoski Pusi zwijają się w grube jasne pukle przywodzące na myśl przedwojenne reklamy mydła; okręca je na paluszku i łaskocze się końcami po policzkach. Siedziała wtedy u matki na kolanach — okutana w puchaty różowy ręcznik, z którego wystawały bosc stopki z odrobiną błota za paznokciami — tak rozkosznie ufna, tak bezpieczna, że trudno było oderwać od niej wzrok. Uśmiechałem się szeroko jak jakiś sentymentalny głupiec. Sam miałem szczęśliwe, przepojone miłością dzieciństwo; jak mogłem zapomnieć, że tak właśnie powinna wyglądać rodzina? Zapiekanka w piekarniku, Felix próbujący naprawić zdalnie sterowany samolot z polistyrenu, lodówka oblepiona komunikatami ze szkoły, stos dresów i tenisówek obok drzwi. Jak mogłem o tym wszystkim zapomnieć, zrezygnować z tego dla wygod jałowego, samolubnego życia? Zastanawiam się, czy nagle przebudził się we mnie instynkt rodzinny czy też fakt, że jest to rodzina Evie, czyni ją tak kuszącą?

Nie jestem w niej zakochany. Absolutnie nie. Nie jestem oczarowany, nie czuję pożądania, tylko tkliwość. Tkliwość, która — przyznaję — mnie samego zaskakuje. Nie chcę jej uwieść — tego nawet w głębi duszy jestem całkowicie pewien, choć istotnie raz jeden, przez krótką chwilę, której wciąż się wstydzę, postawiłem się w myślach obok niej, w jej domu, w jej łóżku, wyobrażając sobie takie właśnie życie.

Tkliwość. Tak postanowiłem zaklasyfikować tę emocję. Niektóre kobiety potrafią ją budzić i tak było od zarania dziejów. Przy takiej kobiecie mężczyzna nagle odczuwa chęć, by rzucić płaszcz w kałużę pod jej stopy, dać komuś w pysk lub po prostu porwać ją na ręce — umięśnione, silne i zdolne ją ustrzec od wszelkiego zła. Budzi się w nim bohater. Rycerz. Obrońca. To samo uczucie kazało nam dawniej siodłać konie i uganiać się za smokami. Staroświecki instynkt, który każe nieść jej narty lub walizkę, osłaniać ją przed deszczem — dziś w najwyższym stopniu niepoprawny. Co za ironia, co za jaskrawa gryząca ironia... Przemiana obyczajów nie zmienia jednak faktu, że część kobiet wciąż ma tę nieuchwytną moc, wobec której jesteś bezradny: wypinasz pierś, przeżysz mięśnie i chwytasz na łąsu rozpędzony pociąg, zatrzymując go pięć centymetrów przed nią...

W ciągu lat pracowałem z wieloma kobietami. Wiem, że to już niemodne, co więcej: podejrzane, podobnie jak otwieranie kobiecie drzwi samochodu lub wstawanie z krzesła, gdy wchodzi do pomieszczenia. Myślę jednak, że choć zgodnie z wymogami współczesności tłumimy w sobie te dawne odruchy, pozostaje w nas uśpiony, niepodlegający ewolucji męski gen, który reaguje na bodźce podkorowe, wytwarzając sygnał o zbyt wysokiej częstotliwości, aby mózg był w stanie świadomie go przetworzyć. Dlatego widząc gęsią skórę na ramionach towarzyszkii, odruchowo ściągamy

marynarke. Dłonie, zwinne i zręczne, gdy przygotowujesz prezentację na laptopie, nagle stają się łapami drapieżnego zwierzęcia, wiszą ci u boków olbrzymie i ciężkie.

Kiedy Evie schodziła z drabiny po swoich akrobatycznych wyczynach, omal nie podskoczyłem, żeby ją zdjąć z ostatnich szczebli. Zadowolilem się chwilą ulgi, gdy bezpiecznie dotarła sama na dół, i swoją częścią zasługi w utrzymaniu drabiny. Byliśmy, Evie, Felix i ja, trzema wierzchołkami triumfalnego obelisku otoczonego kupkami zgniłych liści. Przyznaję, przemknęła mi niesforna myśl, ile też ważyłaby Evie w moich ramionach i czy przez szary sweter, który miała na sobie, wyczułbym jej delikatny kościec. Jej opięte dzinsami pośladki są mniejsze niż moje dłonie.

Fakt — nie są to rzeczy, na które powinien zwracać uwagę żonaty sąsiad.

Przyglądam się jej twarzy, kiedy rozmawiamy. Uczę się odczytywać znaki, dostrzegać przemykające cienie. Koncentrując się na czymś, Evie przygryza prawy brzeg dolnej wargi; w jej oczach wesołość miesza się nieraz z czujnością. Prawie zawsze gestykułuje, kiedy mówi, żeby podkreślić sens swoich słów. Raz wpadłem do nich, kiedy robiła z Pusią kartki z życzeniami; na policzku miała smugę srebrzystego brokatu. Wyglądała jak cyrkowa akrobatka, która przed chwilą przechadzała się po linie (twarz zastygła w skupieniu, srebrzystobiałe ciało zamknięte w usztywnionym gorsecie ze spódniczką z piór). Miałem ochotę wyciągnąć rękę i kciukiem zetrzeć brokat (i poczuć gładkość jej skóry, i przenieść srebrzysty blask na swoją dłoń) gestem, wydawałoby się, jak najnaturalniejszym. Nie dotknąłem jej jednak — czyniąc to, przekroczyłbym pewną granicę. Zamiast tego wykonałem jakiś niezborny, idiotyczny ruch; moja dłoń uniosła się w kierunku jej policzka i opadła gwałtownie. Wybąkałem speszony: „Masz brokat na twa-

rzy". Zerknęła do lusterka, które stoi na parapecie nad zlewem — ramka obciągnięta jest brązową skórą, szwy maskują romboidalne metalowe ćwieczki — polizała palec i starła brokat, a potem odwróciła się, ocierając policzek do sucha wierzchem dłoni. Wyglądała uroczo z malutkim rumieńcem na kości policzkowej. Jak jabłuszko. Myślę, że pod względem estetycznym Evie jest bezdyskusyjnie atrakcyjna. Piękno budzi instynktowny szeroki oddźwięk. Evie należy do tych kobiet, dla których pisane są koszarne piosenki country, o których marzą mężczyźni niespełnieni w pracy, mamrocząc romantyczne wyznania do flaszki whisky.

Mówię sobie, że nie chodzi tu o pociąg seksualny. Kochając się z Jane, nigdy nie wyobrażam sobie twarzy lub ciała Evie. Wiem dobrze, co wolno, a czego nie wypada. Jestem i chcę być wierny Jane. Ale... (wielkie pękate ALE, które dynda mi przed nosem groźne jak stryżek) w chwili kiedy wszystko, co się wiąże z Jane, jest mętniejsze niż kiedykolwiek dotąd, prawem kontrastu tym wyraźniej dostrzegam Evie i jej dzieci, widzę różnicę. Czasami jej dom wydaje mi się czymś na kształt Ziemi Obiecanej.

Tamten budynek jest znacznie mniejszy od naszego. Jest też znacznie starszy, w większości pomieszczeń są skośne sufity pod opadającym nisko dachem. Oznacza to, że lampy wiszą dość nisko, a nieraz w ogóle nie da się umieścić lampy pod stropem, toteż Evie ma mnóstwo lampionów i latarenek, które ciepło oświetlają ciasne kąty i maleńkie okna. Wynajęła dom częściowo umeblowany, jest w nim sporo sprzętów z lat pięćdziesiątych. Na pierwszy rzut oka było to prawie już gotowe wnętrze w miejskim stylu retro. Evie jednak nakryła sofy lnianymi kapami własnej roboty (niektóre są w staroświeckie różane wzory, inne w pasy przywodzące na myśl wakacje nad ciepłym morzem). Ściany są dosłownie pokryte obrazkami, a na każdej półce

leżą pamiątki z podróży, na przykład wygładzone przez wodę kawałki drewna o różnych kształtach (mój ulubiony przypomina piejącego koguta z zadartym łebkiem). Wiele aż się prosi, żeby je dotknąć. Pusia najczęściej ścisną coś w łapce. Nawet siedząc grzecznie, wygładza paluszkami czerwoną skórzaną wstawkę albo skubie pompon z tęczyowych nitek. Wszędzie leży mnóstwo różnych rzeczy, a mimo to jakoś się nie tłoczą i człowiek nie ma wrażenia bałaganu. Przypominają samą Evie, zostały raz na zawsze nacechowane jej osobowością. Stale słyhać jakąś muzykę — Edith Piaf, Billie Holliday, czasem płytę ze zbioru Felixa. Ten dom jest ciepły i gościnnie; uwodzicielski — nie zmysłowo, bardziej jako miejsce, gdzie można odłożyć ważne sprawy na później, gdzie zatrzymuje się czas.

Chodzę tam więc przez starą żelazną furtkę, która krzywo wisi na zawiasach od czasów, kiedy maty domek był jeszcze częścią tej samej co nasz dom posiadłości. Przyczyny moich wizyt na ogół są fałszywe, to ukute ad hoc preteksty — na przykład czy Evie nie ma nic przeciwko temu, żebym rozpiął powojnik po obu stronach siatki płotu, albo czy chce trochę groszku pachnącego, tyle go u nas kwitnie. Coraz częściej pretekstem (lub przyczyną) jest Felix. Chłopiec oswoił się już ze mną. Dawniej sililiśmy się obaj na rozmowę, dziś nawet milczeć umiemy bez skrepowania. Zacząłem mu pomagać w treningu krykieta. Patrzę, jak biegnie do linii wytyczonej na trawniku. Dwukrotnie grzebie stopą o ziemię, potem rusza naprzód z pochyloną głową jak mały ciemny byczek. A więc tak wygląda ojcostwo, myślę. Piłka do krykieta, bramka narysowana kredą na ścianie szopy. Klekot obluzowanej deski, gdy piłka trafi. Chwalę go za dobry strzał; jeśli spalił, mówię: „Spróbuj jeszcze raz” i żaden z nas nie czuje się zakłopotany. Gdy zaczyna się zmierzchać, dobiega nas głos: „Dość tej zabawy, pora siadać do lekcji!”. Dla mnie to

głos z przeszłości, głos matki wołającej mnie i braci do domu. Muszę opracować nową prezentację, ale tu, w ogrodzie Evie, o zmierzchu, kiedyśmy zaczynają wyfruwać z ukrycia, trwa czas dzieciństwa odporny na wymogi sumiennego podejścia do pracy i dotrzymywania terminów.

W zeszłym tygodniu spytałem Evie, czy mogę zabrać Felixa na korty. Ściana szopy jest za mała, żeby mógł ćwiczyć na niej bekhend.

— Mogę być tak ubrany? — zafrasował się, wskazując swoje szkolne spodenki. Pewnie myślał, że warunkiem wstępu jest nieskazitelna biel.

— Jak najbardziej — zapewniłem go. — Obawiam się tylko, że narobię ci wstydu. Moje szorty są beznadziejnie staroświeckie.

Zaśmiał się i wysunął podbródek w taki sam sposób jak jego matka.

W drodze do klubu pytałem go o szkołę i o piłkę nożną. Nigdy nie mówi o ojcu, Evie też ani razu o nim nie wspomniała. Felix stawia spore, zdecydowane kroki, pochylając nieco w przód krępy, umięśniony jak na jego wiek tułów. Ciekaw jestem, czy dopada go czasem świadomość, że to on jest mężczyzną w rodzinie. Może nigdy się nie zetknął z tym niemodnym konceptem odpowiedzialności powiązanej z płcią. Mimo woli mu współczuję. Może zbyt sentymentalnie podchodzę do kwestii dzieciństwa i ojcostwa. Mnie tych wszystkich rzeczy, których go ucze, nauczył ojciec. Zastanawiam się, czyjego ojciec w ogóle o nim pamięta.

Opowiadał mi o Pusi. Mała potrafi być uparta, zwłaszcza gdy trzeba wyjść z wanny albo iść spać. Do niedawna był z nią kłopot: jeśli nie chciała czegoś zrobić, wstrzymywała oddech tak, że zaczynała sinieć.

— Bardzo mnie to martwiło — powiedział. — Bałem się, że zemdleje albo zrobi sobie krzywdę.

— I jak mama sobie z tym poradziła? — spytałem.

— Nabrała powietrza w płuca i też posiniała. Pomogło. Już od paru miesięcy mamy spokój.

— Czasem oplaca się walczyć z kimś jego własną bronią — zaśmiałem się i przypomniała mi się gra, w którą bawiliśmy się jako dzieci. Trzymając ręce za plecami, skandowaliśmy: „Kamień, papier, nożyce”. Jeśli wszyscy ułożyli dłonie w ten sam kształt, był remis. Nazajutrz jadąc do pracy, rozważałem to jako interesujący dylemat strategiczny. Co jest lepszą odpowiedzią na agresję: naśladownictwo czy kontratak?

Kilka dni później Felix grał na komputerze w jakąś grę będącą w istocie przymyślnie zamaskowaną lekcją geografii osadnictwa. Celem było zbudowanie starożytnego rzymskiego miasta. Eksploatując kamieniołomy, budując domy, amfiteatry i warsztaty, osiągało się w końcu pewien poziom zaspokojenia potrzeb i wtedy osada otrzymywała status miasta.

— To beznadziejne — powiedział do mnie. — Za każdym razem odwołują mnie do Rzymu. Kiedy płacę robotnikom mało, porzucają pracę, a jeśli płacę więcej, kończą mi się pieniądze na domy i plantacje oliwek i też popadam w niełaskę.

— Na twoim miejscu nie planowałbym zatem kariery ministra skarbu — odparłem wesoło, siadając obok niego. Wspólnymi siłami odnieśliśmy skromny sukces, zakładając podwaliny miasta, co pozwoliło nam wreszcie przejść na wyższy poziom.

— Znaleźliśmy sposób — oznajmił matce Felix. — Trzeba sadzić więcej drzew, zbudować hipodrom i zatrudnić muzyków, którzy przygrywają robotnikom w drodze do pracy.

— Zastosuję to jutro w firmie — powiedziałem do Evie, a ona wybuchnęła śmiechem.

Omam nie spóźniłem się przez to na kolację. W szampańskim nastroju wróciłem przez zardzewiałą furtkę do własnego ciemnego domu, pogwizdując pod nosem.

Usiedliśmy do stołu, słysząc, jak Vera miota się po sąsiednim pokoju. Jedliśmy rybę, która w przyćmionym świetle zdawała się fosforyzować na talerzach. Opowiedziałem Jane o zabawie w rzymskie miasto. Uśmiechnęła się i odparła:

— To stara prawda. Nawet Dickens napisał, nie pamiętam już gdzie, że ludziom potrzeba chleba i rozrywek. Chleba i igrzysk. Chyba nic się pod tym względem nie zmieniło.

— Powiem to jutro Felixowi — rzekłem, przelękając wraz z rybą drobny wyrzut sumienia. Już cieszyłem się na tę chwilę, a to chyba było nie w porządku wobec Jane.

— Mogę ci jakoś pomóc? — spytałem, kiedy wkładaliśmy naczynia do zmywarki. — Przy matce?

— Dam sobie radę — odpowiedziała. — Muszę ją tylko przygotować do snu.

Czytałem przez chwilę, potem odłożyłem książkę. Słyszałem z dołu głos Jane powtarzający wciąż to samo wyraźnie i cierpliwie. Mrok w naszej sypialni wydawał się posepny i nie nastrojał do odpoczynku. Chciałem zaczekać na Jane, żebyśmy mogli porozmawiać, jeśli zechce. W końcu zasnąłem. Nie wiem nawet, kiedy cicho wśliznęła się do łóżka. Nie traktuję jej ani po rycersku, ani nawet przyzwoicie, zdaję sobie z tego sprawę. Może tak było zawsze: rycerze wyruszali ratować księżniczki i zabijać smoki, żony zaś zostawały w zamkach i wypatrywały za nimi oczy, a w wolnych od wypatrywania chwilach wyrzucały gnój, rąbały drewno na opał i karmiły papką bezzębne matki siedzące martwo w oknach.

Jestem trochę przesądny, nic na to nie poradzę. Mój dziadek był skarbnicą starych przysłów i zabobonów. W dzieciństwie chodziłem z nim co tydzień na pocztę, gdzie odbierał emeryturę. Zawsze miał się na baczno-

ści, już z daleka wyglądał pojedynczych srok, drabin, które trzeba było obejść dookoła, czarnych kotów szykujących się, by przebiec drogę. Do dziś instynktownie odwracam wzrok od pary buchającej z czajnika, unikam mijania się na schodach lub krzyżowania noży. To bzdury, wpojone przed laty śmieci dawno już odmiecio-ne na obrzeża mózgu, ale wciąż odruchowe jak skurcz mięśnia, sposób stawiania stóp przy chodzeniu. Zabobon ma dla mnie smak chrupek Walkersa, owocowych landrynek i różowych cukrowych raczków — łakoci, które dziadek mi kupował, gdy wracaliśmy z miasta. Przesiana przez lata pozostała we mnie świadomość ryzyka, że człowiek może prowokować lub nawet sam stworzyć sytuację, która dojrzeje do tragedii. Istnieje niebezpieczeństwo, że uporczywe złe przeczucia magnetycznie przyciągają zło. Od samego początku mojej znajomości z Evie widziałem w niej osobę, którą trzeba chronić, choć nic przecież nie wskazuje, by mogło jej cokolwiek grozić. A jednak dzisiaj, gdy plewiłem grządkę z jarzynami, odwiedziła ją jakaś kobieta, a ja nagle doznałem wrażenia, że niebo zasnęła chmara czarnych kraczących kruków. Bez żadnej przyczyny, bez jakiegokolwiek racjonalnego uzasadnienia. Poczulem, że to właśnie dziś, właśnie przed tym powinienem ją bronić.

Jestem śmieszny. Powtarzam to sobie, przewracając się w łóżku. Rozgorączkowana wyobraźnia nie pozwala mi zasnąć. Złe przeczucie rozrasta się jak grzyb atomowy. Może nie stało się tam nic strasznego, co najwyżej nieprzyjemna rozmowa z przedstawicielką banku kredytowego lub kimś innym, komu Evie była winna pieniądze. Dlaczego nagle dreszcz przebiegł mi po krzyżu, a łopata zlodowaciała w dłoniach?

Ta kobieta nie wyglądała na zwykłą znajomą. Evie często odwiedzają znajomi — uczniowie z zajęć jogi, matki dziewczynek w wieku Pusi. Siedzą na tarasie i piją herbatę albo wino. Evie macha wesoło zza płotu,

a Pusia biegnie do mnie ze znalezionym robakiem albo chrząszczem i wszystko toczy się normalnie, znajomo. Nie przeraża, jak jej dzisiejszy gość.

Wieczór był cudowny. Po południu ogród przeistoczył się w archetyp majowego wieczoru z czytanki dla dzieci. Ptasie trele, motyle, kwiaty, pełna gama uroków. Jane wyprowadziła matkę do ogrodu, żeby posiedziała w ciepłe zachodzącego słońca. Usadziła ją pod drzewem na prawo ode mnie. Vera siedziała tam nieruchomo z rękami złożonymi na kolanach i nie przejawiała chęci do rozmowy, wróciłem więc do plewienia. Jane wietrzyła jej pokój, otwarła szeroko okna, trzepała poduszki i koce.

Evie wyszła do ogrodu w towarzystwie mocno zbudowanej kobiety średniego wzrostu, ubranej w stylu biurowym, bardzo konwencjonalnym. Otaczała ją aura statecznej, nieco staromodnej dojrzałej kobiecości, którą jedne panie po czterdziestce emanują, a inne nie. Myślę, że to kwestia postawy, sposobu poruszania się, a przede wszystkim fryzury. Ta z pewnością ubiera się tak samo od lat i identycznie będzie się ubierać po sześćdziesiątce. Jest pewna siebie — widać to było w jej nieco władczej gestykulacji.

Evie wskazała jej miejsce przy drewnianym stole na tarasie i weszła do środka, żeby zrobić herbatę. Kobieta obrzuciła wzrokiem Pusię bawiącą się małą plastikową konewką. Jej spojrzenie nie było nadmiernie życzliwe.

Wróciwszy, Evie poprosiła Felixa, żeby wykąpał Pusię. Dopiero kiedy dzieci weszły do domu, przybyła zaczęła mówić. Obrócona była do mnie plecami, słyszałem tylko wznoszący się i opadający głos. Wydawał się mocny, ale słyszeć w nim było jakby przymilną nutę, a momentami naleganie. Evie prawie się nie odzywała. Starłem się nie podglądać; ze swojego miejsca widziałem je kątem oka. Evie ugniatała w palcach kawałek stearyny oderwanej ze świecy przyklepionej do stołu.

Potem zaczęła go turlać po blacie, robiąc z niego długi cienki makaron. Kobieta wciąż mówiła; jej głowa i ciało pozostawały w bezruchu, jak gdyby przez cały czas wpatrywała się w Evie.

Potem wróciły dzieci, Pusia ucałowała Evie na dobranoc i poszła do łóżka, a Felix nałożył słuchawki na uszy i przysiadł na schodku. (Mówiąc szczerze, wcale nie jestem pewien, czy w ogóle włączył iPoda, bo zwykle kiedy słucha, non stop bawi się pokrętłem). Może próbował podsłuchać, o czym mówią. Kobieta zerknęła na niego raz i drugi. Zapewne jej mina mówiła wyraźnie, że nie ma czego szukać na tarasie, bo po chwili wsta! i wszedł do domu, choć przez otwarte drzwi widziałem, że nadal kręci się po sieni. Znów przyszło mi na myśl, że ten dzieciak poczuwa się do odpowiedzialności za całą rodzinę. Uświadomiłem sobie, że obaj w napięciu śledzimy z dala przybyłą, jakby była gotowym do skoku drapieżnikiem.

Wyszła dość obcesowo. Wstała, wygładziła dłonią fałdy plisowanej spódnicy, wzięła torebkę i kluczyki i zostawiła Evie przy stole ogrodowym. Niemal w tej samej chwili Jane przyszła po Verę. Złożyłem leżak i pomogłem ją wprowadzić do środka. Było już za ciemno, żeby wychodzić do ogrodu pod jakimkolwiek wiarygodnym pretekstem. Zostałem w domu, obejrzałem wiadomości, potem program publicystyczny, wreszcie poszedłem na górę do sypialni, gdzie Jane już spała. Okna były otwarte. Jedno z nich wychodzi na ogród Evie; podszedłem, żeby je zasłonić. Evie wciąż siedziała w tym samym miejscu z kolanami podciągniętymi pod brodę i opartym na nich podbródkiem. Zamknąłem okno, starając się zrobić to bezgłośnie. Pochłodniało, powietrze było wilgotne od rosy. Mimo woli pomyślałem, że Evie zmarznie, pewnie już jest sina z zimna, i stłumiłem w sobie chęć, żeby zanieść jej koc i okryć ją szczelnie, skoro musi dumać pod gołym niebem. Za-

stanawiałem się, czy Felix śpi — z naszej sypialni nie widać jego okna. Miałem nadzieję, że nie przewraca się bezsennie zaniepokojony sceną, która się rozegrała przy stole, i nie dręczy się myślą, co ma zrobić. Chłopiec w jego wieku powinien myśleć o lepszym mieście, jakie jutro zbuduje — z hipodromem i zwierzyńcem, do którego sprowadzi lwy i żyrafy. Ja się będę martwił zamiast niego.

A teraz leżę i nie mogę zasnąć. Obok słyszę równy oddech Jane. Ostatnio znów sypia w tych swoich cnotliwych piżamach.

Kocham Jane. Wciąż ją kocham, choć nasza wspólna droga zaprowadziła nas na nieznane pustkowia, ziemię niczyją. Jestem jak wędrowiec, który wyruszył bez butów, a potem zapadł się po kolana w bagnie. Żale, niewypowiedziane pytania, nowe obowiązki, klaustro-fobiczna atmosfera. Pewność, że choć nie pragnę romansu z Evie, w pewnym sensie już zdradziłem Jane. Mimo wszystko uważam, że przyjaźń między mężczyzną i kobietą bez podtekstów seksualnych jest możliwa, choć rzadka. Na nieszczęście własny dom stał mi się wrogiem — właśnie teraz, gdy najbardziej chciałbym pogadać z Jane o tym wszystkim, co nie daje mi spokoju. Milczę jednak. Zajęta od świtu do nocy Verą, Jane i tak dźwiga zbyt ciężkie brzemie. A każda rozmowa o tym, że nie mamy dzieci, podszyta byłaby mniej lub bardziej świadomym wyrzutem.

Chciałbym zabrać żonę do dobrej restauracji. Chciałbym kupić jej najmodniejsze spodnie, które podkreślą jej długie smukłe uda. Chciałbym, żeby znów używała szminki i nosiła wysokie obcasy. Chciałbym się z nią kochać w hotelowym pokoju wolnym od stęchłego zapachu naszego domu.

Chciałbym jej opowiedzieć, że wbrew wszelkim oczekiwaniom rozbuchały się we mnie ojcowskie uczucia w stosunku do małego domku w sąsiedztwie. Wpa-

dłem w zasadzkę. Dałem się uwieść rodzinie, w której są dzieci. Oczarował mnie chłopiec biegnący do piłki jak mały ciemny byczek. Chyba po prostu chciałem się jej zwierzyć z żalu, że nie jestem ojcem. I cóż u licha miałyby mi na to poradzić?

Piętro niżej Vera wciąga wielkie hausty powietrza i głośno chrapie. A więc tak wygląda mój kryzys wieku średniego. Nie zdołałem go wyegzorcyzmować łagodną pasją ogrodniczą. Zanadto dręczą mnie widma popełnionych przeze mnie dwóch gigantycznych błędów. Zaburzają mi widzenie i mającą przed nosem na każdym kroku. Zrezygnowałem z rodzicielstwa i stworzenia prawdziwej rodziny z kobietą, którą kocham. Jakby tego było mało, nałożyłem na swoją żonę brzemię, pod którym prawdopodobnie się załamie. Każdy kąt mojego domu nosi dziś białawe woskowate ślady Very.

Często gdy jesteśmy pewni, że motywem naszego działania jest dobroć, chęć niesienia pomocy, w rzeczywistości kopujemy pod sobą dół, do którego potem wpadamy. Zapewne to właśnie zrobiłem. Może dlatego leżę bezsennie, czujnie, bo już słyszę szelest osypującej się ziemi, toczących się kamyków, lawinę błota, która zagrzebie mnie po pas albo wyżej. Myślę o moim dziadku, który wszędzie wypatrywał złych znaków, a mimo to przeżył życie w spokoju i bez bólu. Myślę o tym, że podjęte decyzje wytyczają przed nami ścieżki, które nie są tak równe i proste, jak się spodziewaliśmy — i o tym, że przeważnie widzimy tylko to, co chcemy dostrzec. Zastanawiam się, jak wyglądałaby Jane z naszym dzieckiem w ramionach. Czy nasz syn też chwyciłby mnie za serce tak jak Felix?

Patrzę na zegarek; jest prawie druga. Ciekaw jestem, czy Evie śpi i czego chciała od niej ta kobieta. I czy Jane zdaje sobie sprawę, że jej życie stacza się po równi pochyłej, tylko jest zbyt dumna, żeby się skarżyć, zdeterminowana postępować właściwie za wszelką cenę.

Może obie szarpia się w sieci imperatywów i zobowiązań, podczas gdy ja tylko biernie się temu przyglądam. To sprawy i dzieła kobiece, z których mężczyźni dawno temu zostali wyłączeni.

Nie rozumiem już, czym jest dziś męskość. Nazbyt często przybiera postać karykaturalnego seksizmu lub zwykłego chamstwa. W dawnych czasach znaliśmy wszystkie odpowiedzi, tworzyliśmy rządy, dowodzili armiami i tworzyli imperia. Utrzymywaliśmy domy zdobne w kolumnady, niańki i służbę albo też co dzień zjeżdżaliśmy do kopalni, by zarobić na chleb w pocie czoła, wysiłkiem sprawnych mięśni. Nie wtrącaliśmy się do gospodarstwa i zostawialiśmy sobie zaskórniaki na piwo w pubie. Teraz wszystkie relacje się zmieniły, odpowiedzi są mętne i nieuchwytne. Stanowczość, zdecydowanie, siła rodzą dziś znacznie bardziej złożone skojarzenia.

Właśnie dziś, tej brzemiennej w przemyślenia nocy — kiedy jestem bardziej wytracony z równowagi niż kiedykolwiek w życiu i chętnie przypisałbym to kryzysowi wieku średniego choćby tylko po to, aby wmówić sobie, że to przejściowa bolączka, która minie — dziś zatem pojmuję, że dręczy mnie problem, jakim mężczyzną powinienem być, a jakim sobie być pozwoliłem. (Ślepym na wszystko wokół optymistą. Ta myśl przeraża mnie coraz bardziej).

Na dworze pohukuje sowa; jej zew wibruje pośród drzew w ogrodzie. Wyobrażam sobie rozpostarte skrzydła, miękki szmer piór, ciało pikujące do ataku. Sowy mają niewiarygodnie przenikliwy wzrok, potrafią dostrzec ślady moczu umykającej w trawie myszy. Muszę powiedzieć o tym Felixowi; zgodzi się ze mną, że to godne podziwu. Chciałbym równie ostro widzieć to, do czego zmierzam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Evie

Siedzę, myślę i cedzę przez zęby gorzką zieloną herbatę. Nigdy nie lubiłam zielonej herbaty, ale dziś, po rozmowie z Margaret, przyprawia mnie o odruch wymiotny.

Zawsze boję się wizyt mojej siostry. Zawsze przebiegają według niezmiennego, ustalonego dawno temu schematu. Ona — starsza i mądrzejsza, stanowcza i władcza. I ja.

Margaret krytykuje, poucza, wymaga; mówi, co powinnam była zrobić i co mam zrobić teraz. Dwa razy w roku usiłuje mnie przekuć w coś zbliżonego do siebie lub przynajmniej wytknąć mi popełnione błędy. Czasem przypisuję to wrodzonej agresji, czasem mimo woli posądzam ją o wysmakowany sadyzm. Przeżyłam całe życie w cieniu jej rzekomej wyższości. Przez lata czułam ostrze jej jedynie słusznych sądów, które zagłuszyły w niej wszystko inne.

Ilekcóż coś mi nie wyjdzie — związek z mężczyzną, projekt zarobkowy czy inny pierwszy lepszy zamiar — pojawia się Margaret uszczęśliwiona, że potwierdza się jej złe mniemanie o mnie, że cokolwiek zrobię, na pewno nie utrę jej nosa. Moje życie, moje decyzje, widzę to coraz wyraźniej, są tłem, na którym tym mocniej jaśnieje pełnia jej cnót.

Wiele lat temu w pewnym aśramie w Indiach, do którego zawędrowaliśmy z Milem, siedziałam na brzegu jeziora otoczonego górami i obserwowałam różowe przebłyski słońca zza kobaltowych szczytów. Pasma obłoków odbijały się w tafli wody. Z każdym oddechem, który wciągałam w płuca, próbowałam się oczyścić z Margaret — odebrać znaczenie jej istnieniu, poglądom, jej jawnej opozycji wobec wszystkiego, co dla mnie ważne.

A dziś przyszła mnie błagać — w takim stopniu, w jakim jest do tego zdolna. Absurd! Nigdy bym nie przypuszczała, że nasze stosunki mogą przybrać tak dziwną, wręcz patologiczną formę. Miałam uczucie, jakby Margaret fizycznie grzebała mi rękami w brzuchu, potrząsała jajnikami, próbując paznokciem wydłubać z nich jajeczko. Niewiarygodne. Po tylu latach źle pokrywanego niesmaku („Hipisowska obyczajowość” — mówi Margaret, starając się nie marszczyć nosa z odrazy) moja siostra żąda dziś ode mnie tak szokująco intymnej usługi. Chce kawałka mojego ciała, by zyskać coś, czego własne ciało nie było w stanie jej dać.

Wyobrażam sobie moje jajeczko na kształt obranego gładkiego jaja przepiórki. Wewnątrz wierci się i buzuje moje DNA — nabrzmiałe, gotowe, by ruszyć do macicy. Margaret jednak chce, żeby zagnieździło się w jej ciele, a poza utratą Felixa i Pusi nie wyobrażam sobie nic gorszego. Ona planuje odebrać mi dziecko jeszcze przed urodzeniem — ba, przed poczęciem!

Rozumowo potrafię określić, o co jej chodzi. Jestem w stanie poprawnie powtórzyć wszystkie słowa we właściwej kolejności. Moje jajeczko ma zostać zapłodnione spermą Jamesa i wszczepione do macicy Margaret. Jakie to brutalne, jakie obrzydliwe! James i ja nigdy, nawet przez chwilę nie czuliśmy do siebie pociągu. Teraz jego plemnik miałby wtargnąć do mojego jajeczka...! Naprawdę się boję, jakie byłoby z tego dziecko, spłodzone wbrew naturze, wbrew upodobaniom. James i ja znajdujemy się na przeciwnych biegunach, dzieli nas wszystko, od seksapilu po styl życia. Mój dom

jest pełen indyjskich tkanin, starych francuskich serwet, małych srebrnych dzwoneczków, marokańskich amuletów, świec, kadzidełek i fasoli mung. James zapewne określiłby to bez zamierzonej złośliwości jako totalny bałagan. On jest zwolennikiem spinek do mankietów, nieskazitelnie czystych skarpet, otwartego rachunku w Berry Brothers, *Daily Telegraphu* i anglikańskich hymnów śpiewanych z przekonaniem, że Bóg ich słucha. James nie ma ostrych krawędzi — jest wypolerowany do gładkości przez lata przywilejów i przybierania pozycji dobrotliwego władcy. Stoi na ziemi tak, jak gdyby została stworzona dla jego stóp. Obawiam się, że moje jajeczko będzie musiało mu zaszalutować lub przynajmniej stanąć na baczność. Pobłażliwa wyższość, z jaką James na mnie patrzy, zawsze była bardziej niż oczywista.

Margaret musiała wyczerpać wszystkie inne opcje, skoro zwraca się do mnie. Albo doszła do wniosku, że warto by zadbać na poziomie genetycznym o rodzinne podobieństwo. Fizyczne, ma się rozumieć; z pewnością by nie chciała, żeby potomek odziedziczył po mnie światopogląd.

Kiedy wyszłam za Mila, zdawało mi się, że umrę ze szczęścia. Przyglądałam mu się, gdy spał, roniąc łzy radości, że należy do mnie. Zanim go poznałam, czułam się jak ciasno zesnurowana paczka; to on mnie rozluźnił zmysłowymi romańskimi palcami.

„To żalosne! — żołądkowała się Margaret. — Włoski grajek biedny jak mysz kościelna”. Nie uważałam tego za żalosne, kiedy nucił mi do snu albo kochał się ze mną w taki sposób, że jeszcze dziś na wspomnienie robi mi się ciepło w środku. Milo otworzył mi oczy,

uszy, usta, każdy por skóry. Wyzwolił mnie z dzieciństwa, które choć dało mi bezpieczeństwo i miłość, nie ułatwiło znalezienia własnego rytmu i własnej życiowej drogi. („Kolczyk w pępku! — prychała Margaret. — Nie jesteś za stara na taki szczeniacki bunt?"). Aśramy w Indiach. Szałas na kubańskiej plaży. Skórzane pantofle i olejek różany na bazarze w Marrake-szu. Milo śpiewał dla mnie na zalanej deszczem ulicy w Camden. I seks, seks, seks, najwspanialszy, jakiego zaznałam w życiu. Nawet dziś, kiedy jestem starsza, mądrzejsza i na szczęście sama, wciąż widzę Mila w białej koszuli i dzinsach przegarniającego ręką piękne czarne włosy. „Cokolwiek zechcesz, Evie — mówił do mnie w pierwszych miesiącach. — Zrobię wszystko, cokolwiek sobie zamarzysz. Powiedz mi, o czym marzysz”.

Powiedz, o czym marzysz. W tym związku byłam z góry przegrana, dziś to rozumiem. O czym marzyłam? O większej dozie monogamii, niż Milo byłby w stanie znieść, a nawet tylko rozważyć.

Kobiety kochają takich mężczyzn jak Milo. Decydując się na ten typ, partnerka nie może się czuć bezpieczna. Lubimy sobie wmawiać, że jesteśmy wyjątkowe, że to my wzbudzimy w wybranym wierność i przywiązanie, niepodzielnie zawładniemy jego sercem. Nie byłam wyjątkiem, choć nigdy nie zdołałam się pozbyć wrażenia, że w kolejce czeka inna, gotowa wypchnąć mnie z gry. Czułam dreszcz niepokoju, gdy jego wzrok gdzieś błędził, szukał — choć kiedy zlustrowawszy otoczenie, Milo spoglądał na mnie, ślepiłam z zachwyty, wyzbywając się resztek zdrowego rozsądku. Teraz rozumiem, że tak działa kombinacja urody, zmysłowości i głosu, który mógłby doprowadzić mnie do orgazmu, podczas czytania listy sprawunków. Po wspólnie przeżytym roku Milo powiedział do mnie: „Nie jestem stworzony do monogamii, ale zawsze będę cię kochał najbardziej i przyrzekam, że będę dyskretny”.

Wiedziałam o tym już wówczas, gdy braliśmy ślub, myślałam jednak, że Milo się zmieni. Może zbyt upraszczam, twierdząc, że wiele winy leżało we mnie samej. Byłam organicznie niezdolna do zrozumienia, że seks da się całkowicie oddzielić od uczuć. Wiedziałam, że po koncertach umawiał się na szybki seks z młodymi dziennikarkami. Jak idiotka wierzyłam, że kiedy zajdę w ciążę, to się skończy; że dziecko bardziej go ze mną zwiąże. Byłam beznadziejnie naiwna. Mężczyźni tacy jak Milo zawsze łakną więcej miłości, więcej uwagi, więcej magnetyzmu; tego dreszczu we krwi, jaki towarzyszy pierwszej randce.

Kiedy wracał do domu pachnący damskimi perfumami i brał bardzo długi prysznic, płakałam, a on odgarniał mi włosy z twarzy i mówił: „Nie denerwuj się, to tylko nowa zabawka, nic ważnego”, i pocałunkami roztopiał mój opór. Potem przestał dbać o dyskrecję, z ulicy dobiegały za nim damskie głosy albo szeptał i śmiał się cicho do wtulonej w dłoń słuchawki telefonu. Czasami nocą zastanawiałam się całkiem serio, czy to uczucie, jakby ktoś mi obdzierał kończyny ze skóry, to zazdrość czy złamane serce.

W końcu wsadziłam Felixa do nosidła, zapakowałam tyle rzeczy, ile zmieściło się do samochodu, i zostawiłam kartkę: „Nie mogę tak żyć. Nie mogę Cię kochać na twoich warunkach”.

Kochając Mila, nauczyłam się, że niektóre rodzaje miłości odbierają jaźń. Kochanie kogoś tak mocno, tak do głębi jest jak wypruwanie sobie wnętrza; w końcu człowiek jest już zupełnie pusty. Opuściłam go, zanim zdążył się stać wzorem dla Felixa. Nigdy nie starał się ze mną skontaktować, chociaż zostawiłam adres. „Płytki gość” — orzekł Felix, kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy. Zdumiało mnie, że dotarł wprost do sedna, którego ja nie potrafiłam dojrzeć.

— To samo powiedziała Margaret — odparłam — choć nieco innymi słowami.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Felix często bywa świadkiem upierdliwych wykładów mojej siostry.

Felix. Mój kochany, złoty, cudowny chłopiec. Przez dziesięć lat wychowywałam go zupełnie sama, koczując to tu, to tam, bez rutyny, bez planu, ale dałam mu miłość, wiele miłości. Po rozstaniu z Milem mieszkaliśmy przez krótki czas w komunie nieopodal Hastings. Tam też się czegoś nauczyłam — tego, że mimo szumnych deklaracji o życiu nieskażonym, nakierowanym na wspólnotę (bez prądu, w lepiankach, przy uprawie warzyw na ekologicznej gnojówce), słowem — mimo odrzucenia znamion nowoczesnej cywilizacji ludzkie wady pozostają takie same: walka o władzę, zawiść, despotyzm. I zachłanność, często zawoalowana, czasem jawna.

Martwię się, że zrzuciłam na Felixa zbyt wielki ciężar, że za mocno się na nim opieram. Rozmawiam z nim jak z dorosłym, oczekuję, że będzie miał własny pogląd na to, jak wybrnąć z tego lub owego. Ma zaledwie dwanaście lat, a wykonuje większość zadań, którymi w rodzinie zwykle zajmuje się mężczyzna: uzupełnia olej w samochodzie, wkręca żarówki, stojąc na rozchwianych krzesłach, osadza świąteczną choinkę w starym czerwonym stojaku. Ostatnio wrócił ze szkoły i zastał mnie w rozterce nad instrukcją montażu szafy z Ikei. Na poły złożony mebel sterczał przede mną jak wyrzut sumienia. Felix zrobił herbatę, rozłożyliśmy papiery na podłodze i usiedliśmy razem, pogryzając KitKaty i kombinując, jak to teraz rozebrać i złożyć na nowo. Po dwóch godzinach szafa była gotowa, a my dumni i bladzi.

Rozmawiamy ze sobą po koleżeńsku. Felix często i serdecznie się śmieje. Odziedziczył po Milu piękną cerę i gęste ciemne włosy. Na szczęście jest całkowicie

pozbawiony jego charyzmatycznego egoizmu. Niedawno go spytałam, kim będzie, gdy dorośnie. Uśmiechnął się przelotnie i odparł:

— Pewnie księgowym albo biegłym rewidentem. Kimś, kto jada posiłki codziennie o tej samej porze. Muszę odreagować koczowanie w szałasach, wigwamach i tym podobnych wynalazkach.

— Ciesz się, że nie jesteś o dwa lata młodszy — zaśmiałam się. — Pewnie miałbyś na imię River, Leaf albo Sky.

Kiedy się zorientowałam, że znów jestem w ciąży — graniczącej wręcz z cudem, zważywszy na ilość środków antykoncepcyjnych, jakie stosowałam (mimo że po raz kolejny nie zdołałam dostrzec, iż ten przelotny związek skazany jest na niepowodzenie) — wstrząsnęła mną własna głupota. Dwoje dzieci z różnych ojców, bez pieniędzy, pomocy, pracy. Pierwszą moją myślą była ulga, że rodzice już nie żyją i tego nie widzą. Mama pewna, że nie ma już dla mnie ratunku, zadreślałyby się, że nie wpoila mi dostatecznego poczucia odpowiedzialności i wytrwałości w dążeniu do celu. Jako druga przyszła mi na myśl Margaret. Wiedziałam z góry, że będzie miała na ten temat wiele do powiedzenia.

Felix miał dziesięć lat, kiedy Pusia przyszła na świat z zawieruchą płowych włosków sterczących wokół główki jak puch dmuchawca. Dałam jej na imię Madeleine. Felix od razu przewał ją Puszusią i zaraz skrócił to do Pusi. Weszła w nasze życie z impetem i wielką stanowczością w niebieskich oczkach, a przezwisko przyłgnęło i już nigdy nie zwracaliśmy się do niej inaczej.

Mogę się winić o wiele rzeczy: o to, że nie zapewniłam dzieciom pełnej rodziny i finansowego bezpieczeństwa czy chociażby przykładu, jaki (zdyscyplinowany, kompetentny i zaradny) powinien być dorosły. Wiem jednak, że dałam im rzecz chyba najważniejszą — nauczyłam je kochać. Jesteśmy mocno ze sobą związaną

kochającą się rodziną. Odrobinę cygańską, owszem, ale niczego jej nie brakuje.

Któregoś dnia zeszłego lata jechaliśmy samochodem, szyby były pospuszczane, radio grało na cały regulator. Kupiłam lizaki Chuppa Chup, lizaliśmy je i śpiewali, i w pewnym momencie Pusia powiedziała: „O, jak dobrze”, a Felix odpowiedział: „Mi też”. A przecież nie było w tym nic nadzwyczajnego — słońce, muzyka, wiatr wpadający przez okna, słodycz lizaków, zieleń żywopłotów i uczucie, że jesteśmy wolni jak ptaki niebieskie. Wtedy przyszło mi na myśl, że to właśnie jest ważne, a nie to, że kupuję im kurtki w taniej odzieży, ani że Pusia mówi o swoim nieznanym ojcu „tata nietata”.

Nasz wynajęty domek jest przytulny i bezpieczny, zwłaszcza wieczorami. Wciąż powinnam sobie przypominać, co daję dzieciom, nie biadać nad tym, czego im nie daję.

Wstyd mi tego, co czułam, patrząc dziś na swoją siostrę. Wiele jej cech mnie przeraża i chyba zawsze tak było. Może krzywdzę ją przypuszczeniem, że to ona zawsze podsyciała nasz tłumiony konflikt, i głębokim przeświadczeniem, że krzywdzi mnie swoimi osądami. Może i ja kiedyś jakoś ją skrzywdziłam, choć szukając w pamięci, nie potrafię znaleźć realnego przykładu. Przeważnie było odwrotnie. Tymczasem to Margaret sądzi i karze. Nieraz myślę, że moim podstawowym przewinieniem było już to, że się urodziłam, zniweczyłam jej status jedynaczki, ograbiłam ją z uwagi i miłości rodziców, które chciała mieć tylko dla siebie. I jakby tego było mało, nie chciałam jej uznać za wyrocznię.

W ostatnich latach zaczęłam na nią patrzeć bardziej obiektywnie, po części dlatego, że czułam się dowartościowana macierzyństwem i wbrew jej prorocत्वom udało mi się osiągnąć pewną stabilizację. Skrajnie się od siebie różnimy, widzę to jasno, a przy tym może wła-

śnie tak bliskie pokrewieństwo sprawia, że dzielące nas różnice zdają się sięgać głębiej, być bardziej dotkliwie. Jestem pewna, że w stosunkach z przyjaciółmi Margaret nie stara się tak bardzo dominować, jej obecność nie odbiera tlenu, nie dławi każdej niezależnej myśli.

Przy tych rzadkich okazjach, kiedy u niej bywam, cały czas mam uczucie, że się duszę. Dom Margaret jest bardzo snobistyczny, urządony w stylu, który powszechnie uważa się za elegancki. Jest tu wiele robionych w atelier fotografii jej i Jamesa z wymownie splecionymi dłońmi, oprawnych w bogato zdobione srebrne ramki. Zgrzytam zębami, kiedy na nie patrzę. Są nienaturalne, sztuczne, fałszywe, nie ma w nich życia, na sam widok mam ochotę zabrać dzieciaki i uciec. Patrzę, jak Pusia metodycznie obkopyje sobie butki, przycupnąwszy na brzeżku sofy, i słyszę głos Margaret: „Usiądź prosto, moja panno”. Margaret najczęściej zwraca się do mojej córki w taki lub podobny sposób. Przez dwa lata usiłowała nazywać ją Madeleine, ale ponieważ nie doczekała się reakcji, wreszcie dała sobie spokój.

Jej dom jest przesycony właściwą klasie średniej wyniosłością, niewzruszonym poczuciem, że zajmuje się należne miejsce w świecie. Jakieś niezrozumiałe kalectwo sprawia, że reaguję na to alergicznie. Może naprawdę zazdrozczę Margaret pozycji i pieniędzy — choć nie wydaje mi się. Z czasów Mila pamiętam rozpalone zachłanne szpony zazdrości i wiem, że to nie to. Uczucie, które ogarnia mnie w jej domu, kojarzy mi się raczej ze zgrzytem kredy na tablicy albo dotykiem papieru ściernego na najdelikatniejszych partiach skóry.

Myśl, że moje genetyczne dziecko miałoby się tam wychowywać, przyprawia mnie o mdłości. Odprasowane na kant ubranka, pozowanie u fotografa, srebrna ramka. Gdyby było dziewczynką, Margaret szczotkowałaby jej włosy dwa razy dziennie i przypinała grzywkę z boku, żeby nie wpadała do oczu. Pamiętam, co

mówiła, kiedy miałam siedem albo osiem lat: „Jeśli będziesz się przyjaźnić z Sally Blake, nigdy do niczego nie dojdiesz”. Albo: „Nie wierć się tak, ludzie będą myśleć, że nie umiesz się skoncentrować”. Odcisnęłaby z tego dziecka każdą kroplę spontaniczności niczym sok z pomarańczy. Jak mogłabym spokojnie na to przystać? Jej surowość, pewność siebie, skłonność do potępiania każdego stylu życia poza własnym są dla mnie odpychające. Czy dziecko chowane w takiej atmosferze może wyrosnąć na tolerancyjnego, życzliwego i współczującego człowieka? Przecież wzorem dla niego będzie sędziowska poza Margaret.

A jednak ja sama siedzę tu i osądzam ją. I jest to sąd surowy. Zapewne jestem dla niej niesprawiedliwa. Gdybym potrafiła właściwie zrozumieć nasze wzajemne stosunki, dotrzeć do ich sedna, pewnie bym tego wszystkiego nie myślała. Może ja też jestem toksyczna. Ale ona po prostu żąda zbyt wiele. Chce, żebym jej oddała do wyłącznej dyspozycji część siebie. Moje jajeczko nie jest komórką nabłonka ani plastikową lalką. To osoba — ktoś, na kogo będę patrzeć przez resztę życia, wiedząc, że powinien być z nami: ze mną, z Felixem, z Pusią. Dlaczego Margaret nie chce zrozumieć, że to ogromna ofiara i decyzja ma znacznie więcej aspektów niż jej pragnienie, żeby urodzić dziecko, które będzie z nią spokrewnione?

Z drugiej strony, to moja siostra. Łączą mnie z nią geny, rodzice, wspólnie przeżyte lata. Nasze małe palce u rąk wyglądają zupełnie tak samo.

Może macierzyństwo pomoże jej złagodzić, stępi jej arogancję. Może zedrze z niej pancerz nieomyślności i przekona ją, że nie wszystko w życiu zależy od nas. Może Margaret zrozumie, że rodzicielstwo nie jest kreowaniem własnego lustrzanego odbicia, a wychowywaniem kogoś, kto ma własny rozum i wolę. Nie wiem, czy dziś zdaje sobie z tego sprawę.

Margaret każe mi decydować, czy może zostać matką. Ta decyzja mnie przerasta.

Szkoda, że nie mam z kim o tym porozmawiać; spróbować oddzielić instynkt od zastarzałych uprzedzeń, emocje od garbu uraz, o których myślałam, że już nie bolą. Byłam skupiona na tym, żeby nie zrobić ze swojego życia komediodramatu w odcinkach dla bardziej ustabilizowanych znajomych. *Evie w rozterce* albo *Evie znów się przeprowadza*. W każdej części nowa nieudana desperacka próba, która zapewne sprawi, że z ich ust wyrwie się westchnienie: „Biedna Evie, nic jej nigdy nie wychodzi”.

Właśnie, że wychodzi. Nie cierpię, kiedy ludzie postrzegają mnie jako bezradną idiotkę, którą nie jestem.

Mam trzydzieści pięć lat i dwoje dzieci z dwóch różnych ojców. Niepotrzebne mi współczucie ani protekcjonalność. Mieszkam w wynajętym wilgotnym domku i zarabiam dawaniem lekcji jogi oraz szyciem zasłon, rolet i narzut. Mogę zrozumieć, że trudno to uważać za życiowy sukces, ale jestem szczęśliwa, a moje dzieci mają zapewniony byt. Nie mam zamiaru przeproszać za to, kim jestem, za niekonwencjonalne poglądy na życie i brak tego, co nazywają kręgosłupem moralnym. Poddając wiwisekcji moje życie, Margaret mnie wkurza i bynajmniej nie budzi we mnie chęci, by cokolwiek zmienić. Decyzje, które w życiu podjęłam, były świadome. Nie podważy ich dezaprobata mojej siostry, zwłaszcza teraz, kiedy mimo woli czuję, że chce mnie ograbić dla własnej korzyści.

Może porozmawiać z Nickiem? Powoli zaczynam go uważać za przyjaciela. Może on zdoła spojrzeć z dystansu na zderzenie powinności i wierności sobie. Może wie, które powinno ustąpić.

Lubię, kiedy Nick wpada nas odwiedzić. Podoba mi się swoboda, z jaką mierzwi Felixowi włosy i bierze od niego kij do krykieta, demonstrując uderzenie kantem

młotka. Albo kiedy się przygląda, jak Felix odbija piłkę tenisową o ścianę domu, a potem poprawia mu uchwyt rąk na rękojeści rakiety i radzi, żeby uderzać piłkę z tyłu szerokim łukiem w takim tempie, w jakim pracuje wycieraczka samochodowa. Rozmawiają o futbolu i o tym, dlaczego Anglicy zawsze zbierają tyle złotych kartek. Mówi: „O, trafiłem na całopalenie!”, kiedy Felix grilluje kurczaki przed domem, a Felix poszturchuje mięso i wzrusza ramionami, ale w głębi duszy jest strasznie z siebie dumny. Rozmawiając z Nickiem, uśmiecha się nieśmiało, a ja się zastanawiam, czy w ten sam sposób rozmawiałby z ojcem (choć mam świadomość, że Milo większość czasu spędzałby zamknięty w pokoju na górze, pisząc teksty, ćpając i grając na gitarze).

Nick pojawił się u nas w chwili, gdy balansowałam na szczycie drabiny, usuwając z rynny zbutwiałe liście (zaciek na ścianie kuchni wyrósł w tym samym miejscu, gdzie na zewnątrz biegła rura spustowa). Drabina była za krótka, Felix trzymał ją z całej siły i wykrzykiwał wskazówki, gdzie mam sięgnąć ręką; bałam się, że jeśli się odchyłę, jeśli zadre głowę, na pewno spadnę. Miałam na rękach ogromne gumowe rękawice, chwytałam pełne garście liści i ciskałam je w dół, a Felix pękał ze śmiechu i skarżył się, że specjalnie celuję prosto w niego. Nick wszedł do ogrodu i pomógł mi trzymać drabinę, która od razu zyskała na stabilności, mogłam więc sięgnąć dalej bez obawy, że runę wraz z nią. Nick niewątpliwie oddał nam przysługę i zrobił to w bardzo miły sposób, bez szarogęszenia się; nie starał się również dowieść Felixowi, że jest zbędny.

Czasem pije z nami herbatę w kuchni. W jego towarzystwie nigdy nie czuję się zmieszana. Jeśli chce usiąść, najzwyczajniej w świecie przekłada gdzie indziej to, co leży na krześle, albo składa na stosik rozwleczone po stole szycie. Zręcznie przestępuje zabawki Pusi, nie dając mi do zrozumienia, że mam w domu upiorny bajzel.

Zastanawiam się, skąd w nim tyle swobody, skoro nie ma własnych dzieci.

Chętnie bym go zapytała, co sądzi o prośbie Margaret, ale to raczej niemożliwe. Cała ta sprawa jest zbyt intymna, zbyt fizjologiczna; muszę uważać, żeby nie przekroczyć pewnych granic. Wszelkie zwierzenia łatwo mogą zostać źle zrozumiane. Nie chciałabym, by Jane myślała, że wykorzystuję jej męża, grając słodką idiotkę. Poza tym nie wiem, czy są bezdzietni z wyboru czy ulegli po długiej walce z bezpłodnością. Mogłoby się okazać, że chcąc lepiej zanalizować własną sytuację, wtargnę na obszary, których naruszenie przysporzy im bólu. Tego bym nie chciała. Wiem jedno: że Nick byłby dobrym ojcem.

Jane znam znacznie słabiej. Chyba boi się zostawiać matkę samą w domu. Nie wpada w odwiedziny, nie pozwala sobie nawet na ogrodowe pogawędki przez płot. Kiedy idzie coś załatwić, w domu zwykle zostaje Nick, a gdy go nie ma, Jane wybiega w pośpiechu jak spłoszony ptak — jej mowa ciała wyraźnie świadczy, że lepiej jej nie rozpraszać i nie zatrzymywać. Czasem kiedy szyję na piętrze (siadam w pokoju Pusi, bo tam mogę rozłożyć tkaniny na łóżku i mam dużo światła, które wpada przez okno), widzę, jak Jane wyprowadza matkę do ogrodu i sadza ją na leżaku pod niskopien-ną śliwą. To przyjemne miejsce, w pobliżu rosną róże, starsza pani siedzi tam z rękoma leżącymi płasko na kolanach i patrzy wprost przed siebie, jakby widziała coś w oddali. Zawsze jest czysto i schludnie ubrana, wciąż nosi buty z małymi klamerkami, które na pewno zapina jej Jane. Osoba mniej oddana albo bardziej gruboskórna włożyłaby jej klapki lub zgoła bambosze. Ja pewnie zdecydowałabym się na mokasyny. Staruszka ma bladą cerę, toteż Jane zawsze nakłada jej krem z filtrem. Vera unosi wtedy głowę, kolejno wystawia każdy policzek gestem, który wcale nie jest uległy, przeciw-

nie — zdaje się wyzywający. Dłonie Jane poruszają się ostrożnie, delikatnie, przypominają białe motylki. Na twarzy widać znużenie, którego nie dostrzegłam u jej matki. Vera za to często zagryza usta. To nie gest strapienia ani nawykowe starcze ciamkanie. Nie; w tym, jak naciąga dolną wargę dwoma górnymi siekaczami, jest coś agresywnego. Pewnie o czymś myśli, chociaż z twarzy nie można nic wyczytać. Wygląda, jakby była gotowa ugryźć.

Kiedy ostatnio siałam miętę i bazylię, czułam, że mi się przygląda. Jej twarz, zwykle zwiotczała i bezmyślna, potrafi się nagle zmienić jak niebo przy silnym wietrze, w oczach błyska twardy krzemień. Czasem dosłownie czuję, jak z jej ciała emanuje zimna zawzięta furia. Gdybym położyła jej rękę na czole, przekonałabym się zapewne, że wewnątrz wibruje i brzęczy. Jakoś nie wygląda mi na osobę tkliwą lub choćby serdeczną. Może się mylę. Może przemawia przeze mnie gorycz. Dziś zbyt pochopnie sądzę i przyklepam etykiety.

Kiedy Jane jest odwrócona tyłem, Vera patrzy na nią w taki sposób, jakby chciała ją wzrokiem przepalić na wylot. Do mnie nigdy nie powiedziała ani słowa, choć spędziłam dwa popołudnia o niecałe trzy metry od niej. Oczywiście pozdrowiłam ją z uśmiechem, ale tylko zadarła brodę i milczała dalej. Nickowi wyrwało się kiedyś, że to „niebezpieczna kombinacja: otępienie przeplatające się z napadową agresją”. Jane jakby nie była tego świadoma; opiekuje się matką i nigdy o niej nie mówi.

Nick też nie powiedział nic więcej, nie wiem nawet, dlaczego Jane zdecydowała się sama nią zająć. Przypuszczalnie to ten sam syndrom — więzy krwi, poczucie obowiązku i presja, żeby podjąć się czegoś, na co niekoniecznie miałyby się ochotę.

Tak więc siedzę tu, borykając się ze świadomością, że moja siostra chce ode mnie jajeczko do zapłodnienia

in vitro. Przeraza mnie ta myśl. Z trudem znoszę dotyk Margaret, zdawkowe całusy na powitanie, a przecież ona chce sięgnąć do mojego wnętrza. To prawie gwałt. Nigdy nie potrafiłam się jej sprzeciwić, nigdy w życiu nie powiedziałam jej twardo: „Nie”. Rozumiem, że cierpi, widzę, że jest zdesperowana, ale dlaczego właśnie ja mam być tą, która podaruje jej dziecko? Jestem zadowolona ze swojego życia. Nie chcę, żeby Margaret zburzyła to, co udało mi się osiągnąć. Czemu nie zostawi nas w spokoju?

Już późno. Felix dawno zgasił u siebie światło, a ja nie ucałowałam go na dobranoc. Pusia na pewno skopała koldrę i już ma gęsią skórkę. Ja też zmarzłam; dłonie całkiem mi zgrabiały. Trawa jest mokra od rosy. Muszę wejść do środka, pozamykać drzwi i spróbować zasnąć mimo natłoku myśli.

Chyba jedyną naprawdę stanowczą decyzją, jaką podjęłam do tej pory, było opuszczenie Mila, chociaż wciąż go kochałam. Odjechałam z Felixem usadowionym w samochodowym foteliku, szlochając przez całą drogę, jakby miało mi pęknąć serce. Wszystko inne w życiu po prostu przyjmowałam, jak zrządził los. Nie domagałam się uznania mojej woli, nie mówiłam: „Tego chcę”.

Może powinnam pojechać do kliniki i dowiedzieć się czegoś więcej o tym zabiegu? Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że ze względów medycznych nie nadaję się na dawczynię. Może uda mi się znaleźć wygodny pretekst, zamiast mówić Margaret „nie” prosto w oczy i znosić potem jej wściekłość. Smutno mi, gdy pomyślę, że w relacjach z moją siostrą zawsze starałam się unikać konfrontacji. Nigdy się z nią nie pokłóciłam, nie zrugalam jej, nie powiedziałam, żeby swoje opinie zachowała dla siebie. Potrafiłam się zdobyć jedynie na stopniowe bezsłowne obojętnienie. Chciałam tylko — i chcę — mieć prawo do życia na swój sposób, poza zasięgiem jej krytyk.

Wiem, że nie mam obowiązku spełnić jej żądania. Margaret nie może mi zabrać czegoś, co jest moje i czego nie chcę jej dać. Nie jesteśmy już dziećmi, a tu sprawa toczy się o nowego człowieka, który nie będzie ani nią, ani mną.

Pusia zawsze śpi tak mocno i smacznie, że często siadam przy jej łóżeczku w nadziei, że wchłonę trochę tego spokoju. Uwielbiam, kiedy nocą przychodzi do mnie i mości się obok, wtula w moje ciało. Pachnie słodkim zdrowym snem, usteczka ma pełne i zaróżowione od powolnego, głębokiego oddechu. Jestem jej matką i będę matką każdego dziecka z mego ciała. Nie mogę udawać, że przestanie być moje, gdy zostanie wszczepione Margaret.

Zdaję sobie sprawę, że nie mogę dłużej udawać przed siostrą. Nie mogę się jej podporządkować, pozostać bierna w obliczu jej żądania. Muszę znaleźć siły, żeby jej odmówić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Margaret

Rodzice dali jej na chrzcie Evelyn. Było to imię w tym samym duchu co moje. Margaret i Evelyn — porządne, wyraziste, tradycyjne imiona rodzące poczucie więzi z przeszłymi pokoleniami. Dobre dla kobiet, które nie ogłupiają mężczyzn zmysłowym ruchem głowy lub zmrużeniem powiek, lecz mają sprawne ręce i mówiąc najprościej, wiedzą, co jest czarne, a co białe i co w życiu ważne. Oba te imiona cechuje rozsądek, acz nie jest to cecha, którą można by przypisać mojej siostrze.

Evelyn z punktu odrzuciła wszystkie te skojarzenia już w dzieciństwie — tak dawno, że sama nie pamiętam kiedy. Została Evie — dla wszystkich poza mną. Wciąż uważam, że naprawdę ma na imię Evelyn, i wciąż go używam; trzymam się go na przekór samej Evelyn, która dryfuje przez życie w ślad za tym niepoważnym, dziecinnym zdrobnieniem, lekkim jak pyłek na wietrze.

Nigdy nie zdrabniałam własnego imienia. Nie przerabiałam go na Maggie, Mags czy inne idiotyczne skróty. Moje imię było niczym maszt, do którego pozostałam bezpiecznie przywiązana przez całe życie. Uważam, że to kwestia zasad. W dzisiejszych czasach przywiązuje się do nich stanowczo zbyt małą wagę.

Evelyn nie ma zasad — mimo najszczerzych chęci nie mogę ich u niej dostrzec. Jej życiem kieruje puls, którego ja nie czuję. Brak jej wytrwałości. To co robi, i jak robi, doprawdy nie ma sensu. Zawsze bardzo się różniłyśmy, a miarą tej różnicy jest dla mnie fakt, że moja siostra nie może się pochwalić nawet najmniejszym sukcesem w żadnej z dziedzin, które ja uważam za znaczące, podczas gdy moje życie jest wręcz podręcznikowym przykładem tego, że praca i wytrwałość zostają nagrodzone. Cechuje mnie umiejętność koncentracji na obranym celu; Evelyn jest do tego niezdolna.

Skończyłam wyższe studia matematyczne. Zawsze fascynowała mnie kliniczna czystość liczb; możliwość dojścia przez kolejne przekształcenia do wyniku będącego najdoskonalszym wcieleniem równowagi. Byłam jedną z kilku zaledwie kobiet na roku. Nasza grupa nie przejawiała skłonności do bicia piany lub afektacji, co odebrałam jako przyjemne novum. Nie było wśród nas studentek w rodzaju anglistek w tasiemcowych szalikach omotanych kilkakrotnie wokół szyi jak chomąta i swetrach o zbyt długich rękawach, z których wystają tylko koniuszki palców (wyglądają w nich jak sieroty z przytułku). Ich końskie ogony kołyszają się przy chodzeniu niczym wahadła, a jaskrawo uszminekowane wargi nieustannie otwierają się i zamykają jak otwory gębowe morskich ryb. Ja byłam inna. Mój krok był miarowy i pewny. Precyzyjnie gospodarzyłam stypendium i ani razu go nie przekroczyłam. Miałam dobre wyniki, a po ukończeniu studiów podjęłam pracę w City, wystarczyło mi bowiem przenikliwości, żeby pojąć, że jest to szansa zrobienia lukratywnej kariery i alternatywa wobec wbijania algebry i geometrii do tępych najczęściej głów niezmotywowanych dzieciaków.

W biurze maklerskim poznałam Jamesa, który odebrał znacznie staranniejsze wykształcenie. Szkoła przygotowawcza, potem prywatna szkoła z internatem,

jachting, strzelectwo, narciarstwo. James z kolei był dostatecznie spostrzegawczy, by docenić moją tytaniczną pracowitość. Widział, że zdołam sobie przyswoić styl życia wyższej klasy, a ponadto wniosę mu w posagu energię i logiczny umysł. James to dobry człowiek; wciąż przejawia wspaniałe młodzieńcze entuzjazm, brak mu natomiast twardego kręgosłupa, zdolności docierania do samego sedna i żelaznej konsekwencji, która każe przeć do przodu nawet kosztem innych. Te cechy ja miałam w sobie za dwoje. Gdyby James nie urodził się w środowisku, które wygładza i ułatwia drogę do kariery, byłby zaledwie przeciętny. Dzięki pochodzeniu zyskał polor, pewność siebie i łatwość radzenia sobie w relacjach interpersonalnych. Cieszy mnie, że mój mąż jest człowiekiem rozumnym i kompetentnym. Przywodzi trochę na myśl rasowego byka o lśniącej skórze i proporcjonalnym kośćcu. Nigdy się nie waha. Przypisuję to temu, że jego rodzina od pokoleń góruje nad innymi. Władza skutecznie zaciera wątpliwości.

Rodzice Jamesa mają folwark w Dorset. Pamiętam, jak po raz pierwszy zabrał mnie tam na weekend. Doskonale wiedziałam, jak żyją ziemianie, i nie bałam się problemów z adaptacją. Nie skarżyłam się podczas długich włóczęg w deszczu, zawsze pogodna i roześmiana, z ożywieniem gawędziłam przy drinku w porze lunchu z miejscowymi członkami Partii Konserwatywnej, piłam mocną gęstą herbatę parzoną na starym piecu.

Pojechałam z ojcem Jamesa i dwoma pracownikami jego chlewni na lokalny targ bydłocy. Przyglądałam się, jak szacuje świnię. Wyją! śnieżnobiałą chusteczkę, owiązał ją na patyku i kazał ludziom otwierać świniom pyski i przecierać tą chustką języki.

— Jeśli będzie jakikolwiek nalot — rzekł — tej nie bierzcie.

Potem stał wyprężony jak dowódca wojskowy, którym zresztą ongiś był, i patrzył, jak stado rozdzielane

jest do dwóch różnych zagród. Po pewnym czasie wyjął świeżą chusteczkę i mężczyźni podjęli pracę, szarpiąc się z mięsistymi ryjami świń i ich opornymi jęzorami.

— Zastanawiam się, czy dałoby się to zastosować do ludzi — powiedziałam, a mój przyszły teść odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem. Wiedziałam już, że zaskarbiłam sobie jego sympatię. Wieczorem myjąc zęby, wyszczotkowałam również język. Dbalność o szczegóły zawsze się opłaca.

Wychodząc za Jamesa, zyskałam wszystko, czego mogłam sobie życzyć. Pobraliśmy się w Dorset w małym kościółku otoczonym cmentarzem, którego całe naroże zajmowały ciche zwietrzałe grobowce przodków Jamesa. Jego matka i jej przyjaciółki udekorowały kościół kwiatami. Śpiewaliśmy hymny, które idealnie współgrały ze spokojną, stateczną angielską pewnością siebie widoczną na każdej twarzy. James był odprężony i szczęśliwy, ja miałam na sobie satynową suknię z długim trenem, a w ręku bukiet róż ściętych tegoż ranka w ogrodzie teściowej. Moi rodzice byli nieco speszeni, widziałam, jak sztywno siedzą w swojej ławce. Evelyn miała na sobie jakąś indyjską szmatkę upstrzoną lustrzanymi cekinami, najwyraźniej po to, żeby się wyróżniać. Była bez kapelusza. Zauważyłam, że trzyma matkę za rękę i głaszcze jej dłoń. Zdziwił mnie ten nieuzasadniony sentymentalizm. Nie pojmowałam, dlaczego moja rodzina jest tak wylękniona, przecież nikt niczego od nich nie wymagał. Chyba nigdy nie dostrzegali, jak ważna jest umiejętność przystosowania i co można dzięki niej zyskać.

Evelyn zawsze była ślepa na korzyści płynące z konsekwentnego przyłożenia się do czegokolwiek. Jej życie było serią losowych startów i wyhamowań. Dziwacznych pomysłów, wdrażanych i prawie natychmiast porzucanych, mężczyzn, którzy na krótko przykuwali jej

uwagę. Za to godzinami potrafi stać na głowie absurdalnie pewna, że to jej coś da.

Jako dziecko była rozmarzoną psotnicą z nadmierną skłonnością do fantazjowania. Jej pokój zawsze zaludniały wyimaginowane niewidzialne istoty. Nigdy nie miała zamiłowania do porządku, wszystko kładła byle jak, bez przerwy podśpiewywała, nuciała, przytupywała i postukiwała, malowała egzotyczne wyspy na kobalto-woniebieskich oceanach albo konie o bajecznych grzywach i uzdach wysadzanych drogimi kamieniami (naciskając mocno kredkę, mazała w jednym miejscu dotąd, aż rzeczywiście zaczynało lśnić).

Nie miałam do niej cierpliwości. Była i jest nadal całkowicie niezdolna do oceniania ludzi — kto jest ryzykantem, kto tchórzem, kto wykorzysta nadarzającą się sposobność. Evelyn zawsze przyznawała każdemu dobrodziejstwo wątpliwości, jakby miała monopol na dobroć i życzliwość. Ja nie jestem dobra ani życzliwa. Jestem metodyczna, cenię sobie naukową precyzję i mam duże wyczucie niuansów, które informują o różnicach. Wiele spraw bywa zupełnie przejrzystych — możliwości wyboru, konsekwencje, typ, z jakim ma się do czynienia. Wciąż mnie zadziwia, że Evelyn nigdy nie postrzegała świata w ten sposób.

Rodzice ją rozpieszczali; myślę, że stąd wzięło się całe zło. Dali się zawojować temu, co nazywali jej łobuzerskim wdziękiem. Nigdy nie pytali, jak jej poszło w szkole, czy odrobiła lekcje, kto został przewodniczącym klasy lub dyżurnym. Te pytania zarezerwowane były dla mnie, choć nie jestem pewna, czy w ogóle zależało im na odpowiedziach. Patrząc wstecz, myślę, że moja dojrzałość i odpowiedzialność sprawiły, że przestali doceniać te cechy i pozwolili Evelyn na zbyt wiele swobody. Miałam pięć lat, kiedy się urodziła; pamiętam te zachwyty nad łóżeczkiem. Uroda mocno osłabia inne kryteria, wedle których ocenia się człowie-

ka. Mam wrażenie, że Evelyn wyrosła, oczekując, że będzie uwielbiana, a raczej pewna, że jest uwielbiana. Irytujące, zważywszy, jak niewiele uczyniła, by na to zasłużyć.

Kiedy miała około ośmiu lat, zaprzyjaźniła się z dziewczynką imieniem Sally pochodzącą — nie bójmy się tego słowa — z marginesu. Matka Sally regularnie zachodziła w ciążę, nim jeszcze zdążyła odstawić od piersi najmłodsze dziecko. Pamiętam, jak odprowadzała je do szkoły, zawsze spóźniona; truchtała za nią cała czereda, czepiając się jej płaszcza i spódnicy, a najstarsze biegło przodem w mundurku poplamionym wczorajszą kolacją. Powiedziałam do Evelyn: „Nigdy do niczego nie dojdiesz, jeśli będziesz się przyjaźnić z Sally Blake”. Spojrzała na mnie zdumiona, najwyraźniej nie mogąc pojąć, że można tak rozumować. Dodałam: „Zadając się z ludźmi bez przyszłości, zamykasz przed sobą własne perspektywy”. Odpowiedziała: „Przecież każdy ma przed sobą jakąś przyszłość, każdy ma na coś nadzieję”. Zrozumiałam wtedy, że marnuję czas; równie dobrze mogłabym mówić do ściany. Odbiegła na plac zabaw, trzymając Sally za rękę.

Kiedy wstąpiłam do skautek, próbowałam i ją zachęcić, pokazywałam jej odznaki zdobytych sprawności i opowiadałam o korzyściach z nauczenia się tego czy owego. „We wtorki chodzę do pani Philips — odpowiadała. — Przyzwyczaiła się, że ją odwiedzam”. Ileż godzin zmarnowała u tej starej kobiety! Laura Philips mieszkała w sąsiednim domu, była na wpół ślepa i nosiła zielony plastikowy daszek, który miał rzekomo zoptymalizować jakoś światła docierającego do jej oczu. Szczupła i żylasta, wyglądała w nim jak wiekowy amerykański golfista. Evelyn ją odwiedzała, robiła u niej w kuchni młeczne ciągutki, które potem kroїła na małe kwadraciki i stawiała na talerzyku obok fotela pani Philips przed telewizorem. Ścinała łubin w ogród-

ku i naklejała jego płatki na karton, tworząc z nich wirujące kształty. Pani Philips dotykała ich i zgadywała, co przedstawiają, zanim Evelyn pozwoliła jej otworzyć oczy i unieść kartonik pod zielony daszek.

— Rozpoznała dziś konika morskiego — opowiadała mi kiedyś Evelyn. — Zrobiłam go całego z różowych i ciemnoniebieskich płatków. Wyglądał, jakby zaraz miał odpłynąć. . Miałam ochotę sarknąć: „I co ci z tego przyjdzie? . Nawet język jej ciała świadczył o braku kręgosłupa. Nie mam tu na myśli swobody seksualnej, raczej bierność. Przywodziła na myśl jasnozieloną gąsienicę, która gdy się ją szturchnie palcem, zwija się, ukazując delikatne aksamitne podbrzusze. Evelyn była bezbronna zwłaszcza wobec przystojnych mężczyzn. Nie miała instynktu samozachowawczego.

Milo był przystojny i próżny i z pewnością najbardziej kochał siebie. O swojej muzyce mówił jako o zwierciadle przepastnych głębi jego duszy, podczas gdy w rzeczywistości kreował marketingowy image, który podbijał mu ego. Próbowałam przestrzec Evelyn, ale moje słowa odbijały się od niej jak groch od ściany.

Byłam wraz z Jamesem na ich ślubie i z trudem się powstrzymywałam, żeby nie rwać włosów z głowy. Evelyn miała na sobie łań podobny do nocnej koszuli

i płaskie sandały z rzemyków (równie dobrze mogła wystąpić boso). We włosy wplotła kwiaty, w rękę trzymała jakieś wiotkie zielone badyle. Wszystko to wyglądało tak lichy, tak marnie, jakby miało się rozpaść pod jednym dmuchnięciem. Odczytano wiersz nieznanego mi bliżej perskiego poety, a potem Milo zaśpiewał piosenkę po portugalsku. Powietrze było gęste od kadzidła, w całym kościele porozstawiano umajone pędami bluszczu tace pełne płonących podgrzewaczy do herbaty, które migotały i trzaskały, tworząc szum jak w ulu. Obróciłam się do Jamesa i powiedziałam: „To małżeń-

stwo nie przetrwa dwóch lat". Okazało się, że miałam rację.

Byli razem przez dwadzieścia jeden miesięcy. Dlaczego nikt oprócz mnie tego nie przewidział? Na nic się zdała jej niewinna słodycz, sylwetka nimfy i długie blond włosy, które upodabniały ją do anioła. „Powinnaś była mnie posłuchać” — powiedziałam, kiedy ją odwiedziłam w jakiejś koszmarnej norze. Siedziała po turecku na brudnym dywanie, tuląc do siebie dziecko niczym lalkę.

Po dziesięciu latach sprawiła sobie jeszcze jedno dziecko z jakimś gościem, po którym nie zostało nawet wspomnienie. W ciągu tych dziesięciu lat przeprowadzała się wiele razy, próbowała mieszkać w komunie, potem wyjechała do Włoch, a jedno całe lato spędziła w wielkim namiocie z koziej skóry. Co najdziwniejsze, dziecku wcale to nie zaszkodziło. Bez przerwy do niego mówiła, czytała mu, śpiewała, nosiła je ze sobą w nosidełku na plecach. „Twój syn powinien iść do przedszkola — mówiłam. — Powinien mieć własną sypialnię”. Odparła: „Wszystko w swoim czasie”, a ja miałam ochotę dać jej po buzi za tę głupią beztroskę i zadufanie.

To dla nich typowe, że przezwisko nadane małej przez Felixa przyłgnęło i do dziś nazywają ją Pusią. Dziecko decyduje o dziecku; nic dziwnego, skoro obojgiem opiekuje się ktoś, kto sam przypomina dziecko specjalnej troski. Dlatego nie mogę się z tym pogodzić. Evelyn jest niezdecydowana, niezorganizowana, nie jest w stanie narzucić sobie żadnej dyscypliny. Kiedy ją odwiedzam, jestem przerażona, widząc, że wszystko rozłazi jej się w rękach.

Pusia często chodzi w piżamie do południa, a nocą wciąż wkrada się do łóżka matki, chociaż ma już dwa i pół roku. Zabawki walają się wszędzie po podłodze, mała siedzi u Evelyn na kolanach, jedząc ociekającą

masłem grzanek, którą miętosi w garści, a Evelyn czyta jej bajkę, jakby nie miała nic innego do roboty. Felix, który ma już dwanaście lat, nie potrafi mi spojrzeć prosto w oczy. Łypie tylko spod tych swoich kapturów i czasem dostrzegam w jego wzroku coś niebezpiecznie bliskiego kpiny albo buntu. Wystaje w ogrodzie, bezsensownie odbijając piłkę tenisową o ścianę kuchni. Gdyby był moim synem, zapisałabym go na kurs tenisa, żeby się nauczył właściwej techniki. Trzymałby się prosto, umiałby uściskać dorosłemu rękę i patrzeć ludziom w twarz. A ten dom....! Boże! Na miejscu Evelyn zaczęłabym od zamówienia wielkiego kontenera na odpadki. Pozbyłabym się tych wszystkich śmieci, pamiątek, kawałków szmat, guzików, niedokończonych patchworków. Kiedy u niej jestem, dosłownie ręce mnie świerzbią na samą myśl, jak prędko zrobiłabym tam porządek.

Na świecie dzieje się dziś wiele zła, które trzeba przypisać nieodpowiedzialnemu rodzicielstwu. Brak zasad, norm, celowych działań. Gros dzieci przychodzi na świat w rodzinach patologicznych; dziedziczą geny idiotów lub przestępców.

Spędziłam sporo czasu w szpitalu położniczym. Sześć poronień — cztery tak wczesne, że trudno jeszcze było mówić o płodzie, dwa, gdy płód już był ukształtowany. Słowo „połóg” nie ma tu racji bytu, nie wróciłam stamtąd jako matka; jedyne co mi zostało, to możliwość spisania swoich uczuć w oprawnym w skórę zeszytiku. Nijak się to ma do radości macierzyństwa. W ostatnich latach nie było już nawet ryzyka poronienia — moje jajniki po prostu przestały pracować.

Rozdając karty, bogini płodności nie gra uczciwie. Wielokrotnie widziałam to na własne oczy. Jeślibym miała stanąć w przychodni dla przyszłych matek i wybrać za pomocą logicznej analizy najgorzej wykształconą, najuboższą, najbardziej tępą i niechlujną kobietę

w całej poczekalni, bez wątpienia właśnie przebieg jej ciąży lekarze zgodnie uznaliby za modelowy. Te odrażające samice zachodzą w ciążę na sam widok mężczyzny, przez dziewięć miesięcy obżerają się hamburgerami bez ryzyka mdłości, a rodzą w takim tempie, w jakim gracz NBA pakuje piłkę do kosza. Posunęłabym się wręcz do stwierdzenia, że Płodność rozmyślnie wybiera takie właśnie kobiety na swoje kapłanki. Welu-rowe dresy, tatuaże, jarmarczne pierścionki (po trzy na każdym palcu) i mięśnie żuchwy potężnie wyćwiczone balonową gumą gwarantują poród łatwiejszy i mniej męczący niż zakupy przez internet. Zastanawiam się, czy to nie jakiś odwieczny układ, rekompensata za brak zdolności w jakiegokolwiek innej dziedzinie.

Zastanawiam się również, czy w skrajnych przypadkach nie powinno się ich sterylizować. „Co konkretnie wnosisz światu swoimi genami?” — miałam ochotę spytać tłustą, ledwie piśmienną babę z kopącym papierosem w kąciku ust i brudnymi paznokciami pokrytymi łuszczącym się lakierem. W jej okrągłym sterczącym brzuchu pływało błogo takie samo bezmózgie dziecko.

Równocześnie jestem pewna, że zajrzawszy do narożnej sali, w której podtrzymuje się zagrożone ciążę, ujrzy się w nogach łóżek aktówki lub torby z laptopami świadczące o wyższych ambicjach. Jeśli w poczekalni u lekarza moją uwagę przyciągnie skromna spódnica i dobrze skrojony żakiet, mogę się założyć, że właśnie ta kobieta leżała przez całą noc na podłodze w łazience, tłumiąc Izy na widok kałuży krwi wyciekającej jej spomiędzy nóg i przeklinając własne nieposłuszne ciało. Później usiądzie przed ginekologiem, który z namaszczeniem przejrzy jej kartotekę, poziom hormonów, wykresy miesiączkowania i w długiej przemowie naszpikowanej specjalistyczną terminologią medyczną zręcznie ukryje fakt, że nie wie, jak jej pomóc.

Bogini płodności pójdzie tymczasem ze swymi dziewczynami na kebab i piwo.

Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę — a wolałabym nie wiedzieć. Nie pojmuję, dlaczego korelacja między wartością genotypu a zdolnością do reprodukcji jest tak niska. James i ja jesteśmy inteligentnymi, zaradnymi, przyzwoitymi ludźmi. Mało prawdopodobne, abyśmy wydali na świat kogoś, kto nie stałby się porządnym rozumnym obywatelem.

Czasem śnią mi się tasiemki z wyhaftowanym nazwiskiem przyszywane do szkolnych ubranek. I drugie śniadania w kolorowych estetycznych pojemnikach pakowane do szkoły. Wiem, że umiałabym karmić dziecko zdrowo, smacznie i pożywnie. Wiem, że potrafiłabym stosować wyważone bodźce rozwojowe, nie posuwając się do presji. Wiem to wszystko, ale moje ciało o tym nie wie, przecieka jak zepsuty kran, a ja muszę oglądać Evelyn i jej rozczochrane dzieciaki o palcach usmarowanych masłem. Żałosna namiastka rodziny, którą ja zorganizowałam o wiele lepiej. Chyba najbardziej nienawidzę jej właśnie za to.

Droga, którą mam za sobą, jest wyraźnie zapisana w pamięci. Decyzja zapadła przed dziesięciu laty przy obiedzie: już pora na dzieci. Etap, który nastąpił później, opisałabym jako stadium seksu bez zaglądania do kalendarza, liczenia dni, mierzenia temperatury. Stan wzmożonej gotowości w środku miesiąca i ciepłe oczekiwanie przed terminem kolejnej miesiączki. Wzbierające napięcie — może tym razem mimo upływu dni krew się nie pokaże. Po roku sytuacja ewoluje w stan łagodnego zniecierpliwienia i przychodzi pora na następny etap. Seks staje się przedmiotem specjalizacji. Nie w takim sensie jak ukierunkowany trening sportowy lub tantryczne ćwiczenia w osiąganiu kolejnych poziomów rozkoszy. Nie, tu chodzi o specjalizację stricte naukową. Seks zaplanowany jest na wiele dni wcześniej,

sprzężony z zestawem hormonów odnotowanym w kartotece. Napędzany dietą bogatą w substancje mające wzmocnić produkcję spermy i pogrubić wyściółkę macicy. Cechuje go udawana spontaniczność — domki weekendowe, szampan przy łóżku. Seks staje się bezlitosny w swojej precyzji, swojej poprawności. Mam już serdecznie dość leżenia w łóżku z kolanami przy uszach w nadziei, że choć jeden nędzny plemnik znajdzie drogę do macicy, gdzie napotka jedno dojrzałe jajeczko. Każda miesiączka doprowadza mnie do furii. Droga, którą mam za sobą, wyścielona jest ułożonymi jedna za drugą podpaskami.

W trzecim stadium seks staje się przedmiotem eksperymentów. Stymulowanie jajników, kolejne badania spermy. Szczegółowe dyskusje na temat momentu, w którym powinno dojść do zbliżenia. I wciąż bez skutku.

Mam trzydzieści siedem lat i zrobiłabym wszystko, dosłownie wszystko, żeby zostać matką. Trwające dekadę usilne starania spełzły na niczym. W tym czasie Evelyn wydała na świat już drugie dziecko — to, którego nawet nie nazywa jego własnym imieniem.

Czy naprawdę tak trudno zrozumieć, że jestem zdesperowana i wściekła? Przecież nie żądam gwiazdki z nieba. Większość kobiet pragnie mieć dziecko z własnym mężem, najzwyczajszą w świecie rodzinę. Nie jestem ani zwariowaną druidką, która będzie karmić piersią przez parę lat, widząc w sobie kolejne wcielenie Matki Ziemi, ani sentymentalną pseudoerudytką rozwodzącą się na temat wagi emocjonalnych aspektów macierzyństwa. Chcę mieć dzieci, bo to jest normalne, tak trzeba. Macierzyństwo pozwoli mi wykorzystać posiadane uzdolnienia w sposób celowy i dobry. Chyba, trudno mi odmówić racji?

Znużona już jestem tym, że w gronie znajomych jesteśmy jedyną bezdzietną parą. Nie znoszę, kiedy ktoś

obwieszcza, że spodziewa się dziecka, po czym następuje pełna skrepowania pauza i nikt nie patrzy w moją stronę, choć nikt nigdy nie był na tyle szczery, by poruszyć ten temat. Nie cierpię pełnych samozadowolenia rozmów o ocenach, wynikach, egzaminach wstępnych. Towarzyszy im zwykle nonszalanckie machnięcie ręką mające oznaczać: „Naturalnie wiemy, że to strasznie nudne dla kogoś, kto nie jest obarczony (tak to określają) dziećmi”. Zwykle potem ktoś wzdycha, jak dobrze byłoby pospać w niedzielę do południa albo w spokoju przeczytać gazetę.

Nieraz mam ochotę obnażyć ten fałsz, spytać: „Naprawdę chcielibyście się z nami zamienić?”. Oczywiście nikt by tego nie chciał, wszyscy siedzą nadzwyczaj z siebie zadowoleni, ich organy rozrodcze buzują zdrową werwą, a gospodyni (przerażona, że mój problem zwarzy nastrój przyjęcia) zmienia temat, pytając, komu nałożyć jeszcze jeden stek. Ja tymczasem ze złością rozważam alternatywy. Kolejny awans nie jest rozwiązaniem. Awansowałam przez dziesięć lat; pieniądze i stanowisko już mnie nie nęca, nie zadowalają. Robi mi się niedobrze, gdy siedzę wśród tych ludzi, którym dobre wychowanie nie pozwala zadać pytania: „Które z was jest bezpłodne, ty czy on?”. Moja skóra przypomina w dotyku papier, krew już jej nie odżywia. Jestem spłowiała i sucha, a moje kości pewnie zaczynają się obracać w proch.

Kiedy lekarz zasugerował zapłodnienie in vitro, wiedziałam, że przyjdzie mi najpierw pokonać opór Jamesa, jego mocno zakorzenioną nieufność do wszystkich działań nadmiernie inwazyjnych lub ofensywnych. Mam wrażenie, że wynika ona z niechęci do komplikowania spraw; z przekonania, że najlepiej i najkorzystniej będzie je pozostawić własnemu biegowi.

James nie jest wierzący, opisałabym go wszakże jako człowieka żyjącego wedle etyki chrześcijańskiej.

Zapewne została mu wpojona w anglikańskiej szkole dla chłopców, a przyjęcie jej norm jest z pewnością łatwiejsze niż samodzielne ustalanie zasad. Stanowisko Jamesa wobec naszego problemu — przynajmniej do tej pory — mieściło się w kręgu zakreślonym przez pastora w czasie ceremonii ślubnej: „I obdarz tę niewiastę potomstwem...”. Musiałam znaleźć sposób, aby go przekonać, iż Bóg dopuszcza różne alternatywy.

W Boże Narodzenie siedzieliśmy w kościele, słuchając, jak inny duchowny stara się unaocznić dzieciom cudowność betlejemskiej historii. Pomiedzy kolędami wygłosił kazanie na temat znaczenia każdego z atrybutów Narodzenia Pańskiego, poczynawszy od siana w żłobie. Nie pominął żadnego z obecnych w stajence zwierząt. Było to potwornie nużące. Pocziwiec najwyraźniej nie rozumiał, że dzieci z wytęsknieniem czekają, aż skończy, żeby mogły zapalić świece i zebrać słodczyce z ołtarza. Gapiły się na niego tępo z otwartymi ustami, a jemu się zdawało, że są tak zasłuchane. Kilkakrotnie powtarzał kluczowe słowa tonem pełnym zdumienia, zachwytu i radości (osioł, **OSIOŁ!!**), a ja w duchu zżymałam się na jego niekompetencję. Z wiekiem coraz trudniej przychodzi mi tolerować ludzką nieporadność, zwłaszcza gdy podważa moje cnoty obywatelskie.

Przewodniczący rady parafialnej wstał, by odczytać ustęp z Ewangelii Świętego Jana, i wtedy właśnie — wśród pokasływań, posmarkiwań, przed oblażący-mi z farby figurami szopki — dostąpiłam objawienia (choć nie towarzyszyła mu nadziemską jasność ani szum anielskich skrzydeł). Mowa była o tych, którzy nie z krwi ani żądy ciała, ani z woli, lecz z miłości się narodzili. Z w o l i , pomyślałam, czymże innym jest zapłodnienie in vitro, jeśli nie aktem woli? Wróciliśmy do domu, trzymając się pod rękę; po drodze układałam słowa, którymi przekonam Jamesa. Wiedziałam,

że jeśli ja nie zdołam, święty Jan Ewangelista na pewno go przekona.

Urabiałam go przez całe święta. Ściągnęłam artykuły z sieci, poprosiłam listownie o ulotki ze szpitali. James zgodził się nadszpiekowanie łatwo, prosił tylko, żebym nie parła do efektu za wszelką cenę, bo nie wszystko ode mnie zależy. Jakbym o tym nie wiedziała! Na każdym kroku krew mnie zalewa, że moja macica obija się po miednicy jak pusty garnek.

W klinice poszło łatwo. Doktor Holland wyjaśnił, na czym polega zabieg, i wyposażył mnie w schludną tackę zapieczętowanych strzykawek, których zawartość miałam sobie codziennie aplikować. Brałam w dwa palce skórę na udzie i energicznie wbijałam pod nią igłę, gotowa mężnie znieść wszystko, co mogło sprowokować moje jajniki do działania. Wróciliśmy do kliniki na jajczkobranie. James musiał oddać nasienie; nieszczęśliwy i upokorzony wziął wręczone mu pisemko porno i powłókł się do toalety. Omal nie huknęłam na niego: „Spróbowałbyś jak ja leżeć rozkraczony, czując, że niedługo wziernik sięgnie ci do gardła!”.

Patrząc wstecz, myślę, że porażka byłaby może mniej zaskakująca, mniej bolesna, gdyby nie wszechobecne zdjęcia owiniętych w kocyki noworodków, które przyszły na świat dzięki tej cudownej metodzie. Człowiek podświadomie nabierał wrażenia, że przy zachowaniu reguł sztuki wynik jest pewny. Pomarszczone twarzyczki na zdjęciach jakby już zapraszały do krainy wózków, pieluszek i jarzynowych papek. Tym trudniej było za każdą kolejną wizytą znów słuchać o komplikacjach, o kolejnej zaprzepaszczonej nadziei.

Pomimo kilkumiesięcznej hiperstymulacji moje jajniki nie podjęły gry. Miałam ochotę nimi potrząsnąć niczym świnką skarbonką, w której powinna być zaoszczędzona dawno temu moneta, i wrzasnąć: „No dajcie wreszcie coś z siebie, stać was chyba na jedno porząd-

ne jajeczko!". Widziałam w życiu więcej obrazów USG własnej macicy, niżbym chciała. W okresie poronień obserwowałam na ekranie strzępy tkanek snujące się jak proporce na wietrze, ciemną mokrą zapowiedź bliskiego krwotoku. Dwa tygodnie po zabiegu wyznaczono kontrolne badanie, czy zarodek się przyjął. Końcówka ultrasonografu do znudzenia krążyła mi po brzuchu, a obraz na ekranie przypominał powierzchnię Księżyca. Nie było na nim małego ciemnego epicentrum tętniącego życiem. James, sztywny i spięty, siedział obok, trzymając mnie za rękę. Miałam ochotę odepchnąć jego, odepchnąć technika, odtrącić te wszystkie ręce. Nienawidziłam ich za to, że ukazali mi moją jałowość w jaskrawych czarno-białych barwach. Odwróciłam twarz od ekranu, żeby opanować chęć roztrzaskania go na kawałki.

Po dwóch latach doktor Holland stwierdził:

— To się nie uda. W dwudziestu pięciu cyklach nie zdołaliśmy uzyskać dostatecznej liczby zdolnych do życia jajeczek. Przykro mi; nie jesteśmy w stanie pani pomóc urodzić dziecka, które byłoby pani biologicznym potomkiem. Pani jajniki po prostu przestały działać.

Przestały działać. Jak sprzęt AGD, który oddaje się do sklepu, bo zawiódł. Moje geny, moja własna mała podwójna helisa gdzieś tam jest, ale nie da się jej wydobyć. Nie sprawdziła się. Trudno było mi się z tym pogodzić; mnie, zawsze tak skoncentrowanej na osiągnięciu wytkniętych celów. Lekarz mówił dalej, że pozostają nam dwie opcje — czułam się doprawdy, jakby podsunął nam katalog sprzedaży wysyłkowej.

Pierwszą oczywiście była adopcja. Przynależenie małego Brytyjczyka lub obcokrajowca. Odrzuciłam ją natychmiast, nie patrząc nawet na Jamesa i nie dopuszczając go do głosu. Oświadczyłam, że emocjonalnie nie czuję się na siłach wychowywać dziecko, które nie byłoby ze mną od urodzenia. W rzeczywistości motyw,

które mną kierowały, były bardziej pragmatyczne. To już nie te czasy, gdy dziewczęta z porządnych domów wpadają w kłopoty i rodzą nieślubne dzieci. Dzisiejszy rynek adopcyjny to praktycznie w stu procentach dzieci z rodzin patologicznych, pula genowa zanieczyszczona bardziej niż woda w kałuży. Na samą wzmiankę o adopcji zobaczyłam kapłanki Płodności wychodzące z kliniki położniczej z trzecim lub piątym dzieckiem kolejnego z szeregu ojców, narkomana lub alkoholika.

Wypróbowałam najpierw kursy dla rodziców, później nadzór kuratorski, służby socjalne w końcu odbierają im te niechciane, zaniedbane dzieci. Myją je, strzygą i pożywnie karmią. Niestety, żadna ilość zmiksowanych warzyw nie zetrze im z twarzy piętna marginesu. Nie wierzę we wrodzone skłonności przestępcze. Wierzę jednak, że niektórzy rodzą się po prostu tępi. Widać to w głupawo rozdziawionych ustach, w oczach pozbawionych choćby jednej iskierki rozumu. Dziewczęta już w okresie dojrzewania stają się tłuste i nalane. Potem robią sobie we włosach pasemka najtańszą farbą, czarne kreski wokół oczu (wyglądają z nimi jak pandy) i wystają na przystankach autobusowych, epatując przechodniów brzuchami wylewającymi się z nad pasków dzinsów opiętych do granic wytrzymałości. Papieros w dłoni o paznokciach ogryzionych, ale pomalowanych na krwistą czerwień, zęby już popsute lub zgoła niekompletne. Dziękuję, postoję. Macierzyństwo nie jest dla mnie misją ratunkową, gestem poświęcenia w imię szczytnych społecznych ideałów. Już słyszę te szczebioty opiekunek społecznych: „Jakie to szczęście, kiedy dziecko dostaje życiową szansę!”.

Adopcja z zagranicy? Schludna Chinceczka o wychudzonej buzi skazana na wygnanie przez swoją płęć albo krępy mały Rumun, który przez ostatni rok walił głową o szczeble kojca? Też odpada, przynajmniej w moim

poukładanym życiu. Przy każdej rozmowie trzeba by wyjaśniać, skąd wziął się skośnooki berbec, tak wyraźnie różniący się od nas biologicznie. „Mamy ją z Chin, biurokracja jest wprost niebywała, a pierwsze dziecko, które nam zaproponowano, było ciężko chore na nerki”. Bla, bla, bla. Ludzie w supermarketach, przygodni wakacyjni znajomi, sąsiedzi spotkani na ulicy — udający, że słuchają ze współczująco przekrzywioną głową, a w rzeczywistości dokonujący w duchu wiwisekcji mojej życiowej klęski. Przysposobione dziecko obce etnicznie byłoby niczym świecący neonowy billboard głoszący prawdę o moich niesprawnych jajnikach. Pierwszy rzut oka upewniałby każdego, że nie jest moje.

Nie należę do kobiet, które kolekcjonują po całym świecie różnokolorowe dzieci, kreując się na wszech-matkę Gaję. Wakacyjna wyprawa nad morze wygląda jak klip reklamowy. Widzowie czynią ckliwe banalne uwagi o przewadze więzów lojalności i miłości nad więzami krwi. Sąsiedzi spodziewają się etnicznych festynów przy każdym egzotycznym święcie. Radosne doniesienia: „Tak, dziś świętujemy Nowy Rok, zrobiliśmy z papieru kolorowe smoki”. Albo: „Tak, dziś jest Divali, istne morze świec, piękne, prawda, jakie śliczne?”. Czy tylko ja jedna uważam, że świat ginie w zalewie taniego, banalnego, powierzchownego sentymentalizmu? Robi mi się od tego wszystkiego niedobrze. Pragnę mieć normalną rodzinę. Chcę mieć dzieci, które będą takie jak my.

— Druga opcja — ciągną! doktor Holland — to pobranie jajeczka od innej kobiety. W grę wchodzi albo anonimowa dawczyni, albo osoba, którą pani zna i która zechce panią obdarować.

Jak na Wielkanoc, pomyślałam. Tym razem nie czekoladowe, a prawdziwe.

Wszczepienie jajeczka osoby zupełnie obcej odrzuciłam z miejsca. Pierwsze co przyszło mi na myśl, to

kukułcze jajo zagnieżdżone w moim ciele, żądające opieki i wsparcia, zanim się przekonam, czym jest.

Żadna znajoma dawczyni z początku nie przyszła mi na myśl. Dopiero wracając taksówką na dworzec, pomyślałam o Evelyn.

Evelyn. Ni to Cyganka, ni to hipiska, która siedząc po turecku na podłodze, wyszywa narzuty w serca i guziki. Evelyn, która nie ukończyła studiów — niczego w życiu nie udało jej się doprowadzić do końca — ale której nie brakuje inteligencji, brakuje natomiast motywacji i wytrwałości. Z pewnością nie jest głupia, tylko umysłowo zacofana. W pociągu zaczęłam na nią patrzeć innymi oczami. Evelyn mogłaby mi ułatwić osiągnięcie tego, czego pragnę. Jej DNA jest bardzo blisko spokrewnione z moim. Evelyn to moja jedyna krewna w wieku rozrodczym. Na dodatek dała już niezbity dowód, że jest idealnie, bezmyślnie, niezawodnie płodna.

Wyszłam na spacer z psem, lustrując w myśli ostatnie kilka pokoleń mojej rodziny. Odnalazłam ich ślady w internecie i miałam je świeżo w pamięci. Dwa pokolenia szewców wytwarzających zapinane na guziczki skórzane trzewiki o schludnie obszywanych cholewkach. Dalej krojczy, specjalista od tweedowych męskich kamizelek. Rolnik na czterdziestu akrach ziemi. Rzeź-nik, który miał sklep przy High Street. Służąca promowana z kredensowej na kucharkę. Po obu stronach znalazłam solidne wytrwałe parcie w górę. Pokolenia dorabiania się, kształcenia, stopniowego awansu. Wyobrażałam sobie emaliowane puszki pełne drobnych monet oszczędzanych na następny krok; szeleszczące banknoty składane płasko pod materacem albo zaszywane w gorsetach. Lektury przy ogarku świecy. Gazety kupowane, żeby wiedzieć, co się dzieje w świecie. Twarze i ciała szorowane do czysta w wodzie nalewanej do miski z fajansowego dzbanka w kwiaty, dokładnie dopraną odzież. Czerwone od pracy ręce splecione

na kolanach podczas niedzielnego nabożeństwa. Proste posiłki z gotowanego mięsa i jarzyn, pałaszowane z zasłużonym apetytem. Cała ta szacowność mogła być nie zostawić na Evelyn żadnego widocznego śladu, pozwalała jednak logicznie domniemywać, że nie przepadła, jest przemyślnie ukryta w jej niepokornych genach.

I znów musiałam pokonać opór Jamesa. Czułam, że uzna to za niestosowne, będzie się wzdragał przed sugestią fizycznego związku, który miałby go zdalnie połączyć z Evelyn. Prawie nigdy o niej nie rozmawiamy. James jest wyznawcą szkoły „jeśli nie możesz powiedzieć o kimś niczego miłego, lepiej milcz”; zresztą zawsze koncentrował się na tym, żeby to mnie wciągnąć do własnej rodziny. Kiedy moi rodzice zmarli, odniosłam wrażenie, że odczuł coś na kształt tajonej ulgi, będąc zwolnionym z obowiązku traktowania ich z równym szacunkiem jak własnych — a w szczególności ze świątecznych obiadów celebrowanych co drugi rok w ich ciasnej brzydkiej jadalni (tato z uporem godnym lepszej sprawy kupował zawsze cointreau, bo mu się wydawało, że to szczyt luksusu).

James traktował Evelyn jak moje ekscentryczne hobby. Kiedy ją odwiedzałam, pytał później o jej zdrowie i na tym poprzestawał. Któregoś razu napomknęłam, że Evelyn odrzuciła mój projekt zapisania jej na jakiś kurs. James powiedział tylko: „Nie możesz oczekiwać, że każdy jest tak ambitny jak ty” — jak gdybym od dzieciństwa starała się ciągnąć ją w górę!

Genetyczne dziecko z Evelyn — do tego się to sprowadzało i James natychmiast się usztywnił. Staralam się osłodzić mu tę pigułkę, tłumacząc, że brutalna prawda zostanie zatarta fizyczną rzeczywistością ciąży. Kiedy zacznie mi rosnać brzuch, kiedy poczuje pierwsze ruchy dziecka, łatwo będzie zapomnieć, że w połowie dała mu życie moja siostra. Dla nas będzie nasze

i tylko nasze, a utwierdzą nas w tym poczuciu inni, którzy nie będą znali prawdy.

— Jeśli się o czymś nie mówi — powiedziałam do Jamesa — łatwo zapomnieć, że to się zdarzyło. I tak prawie się nie spotykamy z Evelyn. Nie odegra żadnej roli w wychowaniu dziecka. — Czułam, że w moim głosie zaczynają się pojawiać błagalne nutki. — Jeśli oprócz „dziękuję” dostanie drobną sumkę, wyprowadzi się z dziećmi do jakiegoś ciepłego kraju. A nawet jeśli nie, będę najszcześniejsza, w ogóle jej nie widując. Zresztą skąd bym miała na to czas? Będę zajęta dzieckiem, a potem dzieckiem i pracą. Ten jej żaloszny koczowniczy żywot aż tak bardzo mnie nie obchodzi.

Jako dziecko potrafiłam godzinami się bawić w kocia kołyskę. Przewlekałam włóczkę między palcami, tworząc symetryczne napięte struktury. Tym razem było tak samo, tylko rolę przędzy odgrywały słowa. Splatałam je i zapętlelałam wokół Jamesa, aż cały projekt okrzepł, nabrał atrakcyjnych kształtów, a początkowe zastrzeżenia zbladły. James tkwił w sieci moich logicznych argumentów przesłaniających myśl o poniekąd intymnej relacji z Evelyn.

— Genetycznie jest mi tak bliska, że to prawie ja — mówiłam, tuląc się do niego w łóżku i starając się zamaskować żelazną determinację nonszalanckim, wręcz leniwym językiem ciała. — To dla nas najlepsze wyjście, żeby się doczekać dziecka. Przecież ja je donoszę i ja je urodzę. Przez całe życie chciałam urodzić twoje dziecko.

Usta mi zadrżały i zobaczyłam, że znów odniosłam zwycięstwo.

— Nie ma mowy o jakichkolwiek osobistych relacjach — dodałam. — Pójdę z Evelyn do kliniki i pobiorą jej jajeczko, a ty dzień lub dwa dni później oddasz próbkę jak zwykle. W przypadku dwóch komórek na szalce Petriego trudno raczej mówić o intymności.

James popatrzył na mnie z dobrocią i miłością, a ja zrozumiałam, że ponad wszystko pragnie mojego szczęścia.

— Wiesz, że nawet jeśli nie będziemy mieć dzieci, to dla mnie niczego nie zmieni — odparł.

Wyszłam z łóżka i mocno otuliłam się szlafrokiem.

Jedna przeszkoda padła. Teraz musiałam tylko uzmysłwić Evelyn, że jej moralnym obowiązkiem jest mi pomóc.

Pojechałam do niej w piękny letni wieczór. Zastałam ją w ogrodzie obok wyjścia z kuchni, w cieniu wybujałego różanego krzewu. Pusia chlapała wodą z zielonkawej konewki na grządkę czarnoookich pozło-tek. Obie były boso, strumyczki wody opływały im stopy. Evelyn śmiała się cicho i podkurczała palce u nóg, chroniąc paznokcie pomalowane na jaskrawoniebieski kolor. Odruchowo ściągnęłam brwi z dezaprobatą, ale nakazałam sobie spokój. Nie byłby to dobry początek rozmowy. Przez całą drogę w samochodzie zastanawiałam się nad tym, jak ją przeprowadzić. Jak prosić, gdy zawsze dotąd ganiłam i pouczałam.

Felix siedział na schodkach, obdłubując scyzorykiem jakiś patyk. Na stole stał marokański lampion, w nim aromatyzowana świeca pachnąca tymiankiem i miętą. Obok miska kuskusu i pieczonych warzyw, które najwyraźniej jedli na kolację.

Było już po ósmej, Pusia dawno powinna leżeć w łóżku. Tymczasem mokre i ubłocone dziecko płaśało po ogrodzie ubrane jedynie w biały fartuszek z wyhaftowanym słonecznikiem.

— Muszę z tobą pomówić — oznajmiłam autorytatywnym tonem, którym zawsze zwracałam się do Evelyn, niezawodnie skutecznym od czasów, gdy obie byłyśmy dziećmi. Poprosiła Felixa, żeby zabrał małą do kąpieli. Pusia pobiegła za nim w podskokach do domu, a później na piętro.

— Możemy usiąść tutaj. — Evelyn wskazała krzesła ogrodowe. — Wieczór jest taki piękny; łatwo stracić poczucie czasu.

Wieczór rzeczywiście był zachwycający. Siadając, usłyszałam, że pszczoły wciąż brzęczą nad rabatami; śpiewały także ptaki, bo było jeszcze zupełnie jasno. Dwa duże motyle goniły się wokół wisterii. Cały ten obraz był wręcz symbolicznym przedstawieniem letniego rozkwitu. Nagle poczułam gniew, że będę musiała się zwierzyć Evelyn ze swoich kłopotów, mówić o własnej bezpłodności w obliczu rozbuchanej płodności przyrody. Było to kolejne upokorzenie, które nie zostało mi oszczędzone.

Nie byłam pewna, jakich słów użyć. Nie lubię określenia „jałowa”, zanadto mi trąci Starym Testamentem. Stawia mnie w roli kobiety pięćdziesięcioletniej, którą anioł nawiedza na dziedzińcu, by obwieścić, że Bóg da jej dziecko. Kobieta płacze; siwe włosy spadają jej na twarz, tym dobitniej świadcząc, że takie zdarzenie istotnie byłoby cudem. Nie! W tym słowie jest za duża dawka predestynacji. Przenosi ono decyzję do całkiem innej instancji. Zaprzecza mojej wierze, że sami wykuwamy swoje przeznaczenie, uparcie dążąc do celu. Jest suche i puste, podczas gdy moja historia to ciąg krwawych powodzi.

Powiedziałam po prostu:

— Od dziesięciu lat bezskutecznie próbuję urodzić dziecko.

Wciąż mam w pamięci tę rozmowę. Evelyn skubie koniec świecy, ugniata wosk w kulkę, którą turla między kciukiem i palcem wskazującym.

Opowiedziałam jej o sześciu poronieniach, pięciu latach starań, żeby znów zająć w ciążę, i dwóch latach bezskutecznych prób zapłodnienia in vitro. I o tym, że zdaniem lekarza dalsze usiłowania nie mają sensu.

Napomknęłam, że zastanawialiśmy się nad adopcją, ale dzieci do wzięcia wcale nie ma zbyt wiele, zresztą zanim przebrniemy przez długotrwałe procedury, będę już zwyczajnie za stara. (Zataiłam przed nią prawdziwe motywy, które odstręczają mnie od adopcji, bo wiedziałam, że ich nie zrozumie).

— Po prostu moje jajniki odmówiły posłuszeństwa

— powiedziałam, odrywając wzrok od stołu i przenosząc go na kraniec ogrodu, gdzie rósł biały bez. Za płotem jakaś stara kobieta siedziała na leżaku z nogami okrytymi lekkim pledem. Palcami wybijała na kolanach nerwowy, gniewny rytm. Na twarzy miała grymas i wydawała się skłócona z otaczającym ją światem. Nieopodal mężczyzna gracował grządke z warzywami.

W całym swoim życiu nigdy nie okazałam przed Evelyn niczego choćby trochę zbliżonego do słabości. Sądzę, że widziane z jej perspektywy moje życie zawsze biegło tak, jak ja sobie życzyłam. Nieomal słyszałam, jak to złudne mniemanie właśnie wali się w gruzy, wielkie płyty tynku odpadają z fasady. Mój status osoby, przed którą nie ma przeszkód, rozpląnął się jak woda z dziecięcej konewki. Urwałam, chcąc sprawdzić, jaki efekt wywołały moje słowa.

Evelyn wyciągnęła rękę i lekko, szybko dotknęła grzbietu mojej dłoni, a potem spuściła wzrok na kolana.

— Tak mi przykro... — szepnęła i pokręciła głową.

— Nie przypuszczałam, że masz takie kłopoty. Gdybyś mi powiedziała, próbowałabym ci jakoś pomóc. Nawet nie sądziłam, że w ogóle chcesz mieć dzieci. Byłaś zaprzątnięta pracą, karierą... — Urwała.

Milczałam przez chwilę, chcąc dać jej czas, żeby wykrystalizowało się w niej współczucie. Nigdy, zwłaszcza w tego rodzaju sytuacjach, nie lekceważę wagi zaskoczenia.

— Teraz możesz mi pomóc — powiedziałam spokojnie, starając się, żeby w moim głosie nie było nacisku. - Problem nie leży w macicy ani jej wyściółce, po prostu nie wytwarzam zdrowych jajeczek. Lekarz mówi, że w moim konkretnym przypadku duże szanse miałyby wszczępienie jajeczka pobranego od innej osoby.

Znów umilkłam, czekając, aż dotrze do niej sens moich słów. Jej palce przez cały czas turlały kulkę wosku tam i z powrotem po drewnianym blacie.

— Lekarze rekomendują zwłaszcza pobranie jajeczka od osoby spokrewnionej, o zbliżonym genotypie. Zachowuje się wówczas nawet rodzinne podobieństwo.

Przez chwilę myślałam, że wciąż nie rozumie i zamierza mi zadać jakieś głupie pytanie, na przykład kogo zamierzam poprosić. Potem ją oświeciło, uniosła dłoń do piersi i słowo: „Ja?” omal nie wyrwało jej się z ust. Powstrzymała się jednak, przełknęła ślinę i powiedziała:

— Czy dobrze mi się wydaje, o co zamierzasz mnie poprosić?

— Tak — odparłam. — Czułabym się prawie tak, jakby jajeczko było moje. Jesteś moją siostrą. Nie mam nikogo, kto genetycznie byłby mi bliższy.

— Ale... nasienie będzie Jamesa? — wyjąkała i po jej twarzy przemknęło coś jakby obrzydzenie. Nigdy nie zadałam sobie trudu, żeby spytać, co Evelyn sądzi

o Jamesie. Chyba wychodziłam z założenia, że musi go podziwiać. Jej życie byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby udało jej się wyjść za kogoś takiego jak on.

Pusia wybiegła z domu, żeby dać matce buzi na dobranoc, nadal boso, w nocnej koszulce, która nawet wyglądała na czystą. Evelyn wzięła małą na ręce

i przez moment miałam wrażenie, że stanowią jedno ciało. Ucałowała córeczkę i odgarnęła jej włoski z czoła, a potem kazała biec do łóżka, obiecując, że wkrótce

przyjdzie ją utulić. Felix czekał na nią za drzwiami, na uszach miał słuchawki, byłam więc pewna, że nie słyszy, o czym mówimy.

— Patrzę na ciebie, kiedy jesteś z dziećmi — podjęłam — i serce pęka mi ze wzruszenia. Proszę, pomóż mi. Pomóż mi zakosztować tego, co tobie dało tyle szczęścia, bo przecież widzę...

Urwałam dla większego efektu dramatycznego, wiedząc, że nie będzie jej łatwo zlekceważyć tak silnego uczucia. Potem wstałam powoli i dotknęłam jej dłoni.

— Nagadałam się dość jak na jeden wieczór. To wszystko pewnie jest dla ciebie zaskoczeniem, a dla mnie znajomym, aż za dobrze znanym koszmarem. Pójdę już. Zadzwoń do ciebie jutro, powiesz mi, co o tym myślisz.

Pochyliłam się i cmoknęłam ją w policzek — przyznaję, dość zdawkowo. Podniosła na mnie oczy, które już zaczynały się napełniać łzami. Mimo woli pomyślałam, jaka to nieadekwatna, jałowa, bezproduktywna reakcja — i jaka dla niej typowa. Przyjdzie mi przerobić w praktyce stary dylemat, czy człowieka kształtuje natura czy wychowanie, powiedziałam sobie, wsiadając do samochodu. Jeśli dziecko będzie zbyt do niej podobne, będę musiała włożyć trochę pracy, by wykorzenić z niego te febliki.

Nazajutrz zadzwoniłam. Kiedy zdała sobie sprawę, że to ja, w jej głosie pojawiło się wahanie. Omówiłam kilka szczegółów i zaproponowałam datę wstępnej wizyty w klinice. Zabieg jest bezbolesny i prosty, powiedziałam. Przechodziłam go tyle razy, że sama chyba potrafiłabym go przeprowadzić.

— Nie naciskaj jej tak bardzo, kochanie — mruknął James z kuchni.

Odrobinę mnie zirytował. Nie namawiałam przecież mojej siostry na coś, co przekraczałoby jej możliwości!

Na koniec zgodziła się pójść ze mną do doktora Hollanda. Odłożyłam słuchawkę, czując, że fragmenty układanki trafiają na swoje miejsce. To czego brak moim jajnikom, nadrabiam wolą. Evelyn mi się nie sprzeciwi, byłam tego coraz bardziej pewna. Nie da się nagle zanegować tylu lat dominacji.

Rano w dniu wizyty pojechaliśmy razem pociągiem do Londynu. Uznałam, że nie ma sensu silić się na rozmowę, a Evelyn przez całą drogę zamyślona patrzyła w okno. Przybyliśmy do kliniki i usiadliśmy obok siebie w poczekalni. (To śmieszne, nie ma ani jednej fizycznej cechy, która by wskazywała na to, że łączą nas więzy krwi). Siedziałyśmy otoczone zdjęciami niemowląt, a Evelyn wciąż milczała, jej szczupłe zwinne palce bawiły się tandetną bransoletką, którą miała na rękę. Potem weszliśmy do gabinetu, gdzie przedstawiłam ją pełnym imieniem.

— Evie — wpadła mi w słowo i w jej głosie zabrzmiała nutka uporu. Pochyliła się i zajrzała do formularza, gdzie wpisałam imię w prawidłowej formie. — Mam na imię Evie, nie Evelyn — powtórzyła tym razem gniewniej, bardziej zdecydowanie, a potem nieoczekiwanie nastąpił kataklizm. Wyprostowała się jak struna i oznajmiła: — Jest mi strasznie przykro, że rozbudziłam twoje nadzieje, ale ja po prostu nie mogę tego zrobić.

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać. Jak gdyby to ona miała powód do łez!

Doktor Holland zapytał ją łagodnie, czy boi się samego zabiegu albo tego, że będzie miał wpływ na jej stan zdrowia, bo jest gotów rozproszyć wszelkie obawy.

— Nie, nie... — powiedziała z zaczerwienioną twarzą, głosem zdławionym przez szloch.

Czułam, że lekarzowi jest jej żal. Nie wiem, jak ona to robi. Ludziom zawsze się wydaje, że Evelyn jest biedna, malutka i wymaga opieki.

— Po prostu... — chlipnęła. — To zbyt osobiste. Nie będę umiała myśleć o tym dziecku tak, jakby nie było moje. Nie mogę go tak po prostu oddać. Nawet siostrze. Przepraszam! Nawet siostrze...

Zwłaszcza siostrze, przemknęło mi przez myśl. Czułam, jak wzbiera mi w gardle gorąca, pienista wściekłość. Byłam świadkiem zwycięstwa biernego oporu, choć ja widziałam w nim raczej bierną agresję. Evelyn zwyciężała zawsze, od najmłodszych lat. Ilekroć skarżyłam się mamie, w odpowiedzi słyszałam: „Przecież Evie nie zrobiła nic złego”. Biedna mała Evie, jak ktokolwiek mógłby ją winić? Przecież nie zrobiła nic złego. Tylko zniszczyła moje szanse tak bezlitośnie i skutecznie jak zimna stalowa torpeda.

Doktor Holland zamknął moją kartotekę i odsunął ją od siebie spokojnym, ostatecznym gestem.

— Nie jestem pewien, czy w tej sytuacji można cokolwiek zrobić — powiedział do mnie. — Być może zechce się pani jeszcze zastanowić i ewentualnie umówić na wizytę w późniejszym terminie.

Położył teczkę na stosiku po lewej stronie, a ja znalazłam się nagle na świńskim targu. Płodne na prawo, bezpłodne na lewo. Zdrowe i chore. Proszę pokazać język. Biała chustka na patyku wepchnięta przemocą między zęby, żeby ustalić, kto się nadaje, a kto nie.

Później, kiedy bez dłuższych ceremonii wyszliśmy z powrotem na ruchliwą ulicę, pierwszym moim odczuciem było zdumienie. Trzydzieści sekund, trzydzieści koszmarnych sekund w gabinecie i niespodziewana klęska. Mogła przynajmniej oszczędzić mi upokorzenia i powiedzieć mi to w pociągu, zamiast siedzieć i gapić się w okno jak kretyńka. Albo to: „Mam na imię Evie”. Przez trzydzieści trzy lata nie protestowała, gdy mówiłam do niej: Evelyn. Dobłą porę wybrała sobie na bunt!

Drugim uczuciem, które przedarło się z wolna przez huczący mi w uszach ryk pędzących samochodów, była

furia. Zimna, ostra jak brzeg lodowej tafli furia. Ta chuda idiotka o płaskich piersiach pod naciągniętą trykotową koszulką, ustrojona w jarmarczne brzęczące bransoletki, odmawia mi tego, czego sama za darmo ma w nadmiarze. Ona, której jajniki co miesiąc produkują krzepkie, płodne jajeczka...

To był odruch, impuls, który przedostał się błyskawicznie z mózgu do rąk. Evelyn się potknęła, jej stopa zjechała z nierównego krawężnika. Zobaczyłam jej zaskoczony wzrok i auto, które pojawiło się znikąd, i oto znów jesteśmy w szpitalu — innym, w którym nie ma miejsca dla złudnych, beznadziejnych rojeń o macierzyństwie.

Nie ma tu zdjęć dzieci na ścianach, nie ma kobiet obejmujących puste brzuchy z nadzieją, desperacją i rozpaczą. Jest tylko Evelyn w śpiączce, sinobiałozie-lonkawa jak ryba, podłączona masą przewodów i rurek do popiskujących maszyn i ekranów, na których widać płaskie bierne linie. Przez separatkę przewija się nieustający korowód lekarzy i pielęgniarek, wszyscy wypatrują znaku, że tli się w niej jeszcze życie.

Samochód wyrzucił ją w powietrze jak małą szmacianą lalkę. Bransoletki rozdzwoniły się głośno, zapamiętałam ten dźwięk. Na twarzy, gdy upadła na jezdnię, był żal widoczny w szeroko rozwartych oczach.

Zachowałam się rozsądnie. Opanowałam nerwy i wciąż je opanowuję. Nie ma ryzyka, że emocje sprowokują mnie do nieprzemyślanych czynów.

Jestem dobra w tej roli. Konferuję z medykami tonem, który jest zarazem ciepły i rzeczowy. Zapamiętuję fachowe terminy i sprawnie posługuję się nimi w rozmowie. Siedzę tu od tygodnia, przyjechałam wraz z Evelyn karetką. Dwa razy spalam w jej pokoju na wąskiej, nieprzyjemnie pachnącej kozetce. James przyjeżdża codziennie, dostarcza mi świeżą odzież, żebym wyglądała schludnie i spokojnie. Odprasowana biała

bluzka i droga biżuteria potrafią zdziałać cuda w szpitalu publicznej służby zdrowia.

Felix stanął przy nieruchomym ciele matki i łopatki zaczęły mu się trząść, lekko, prawie niezauważalnie. Patrzyłam, jak dotyka zasinionego nadgarstka, który wcześniej zdobiły srebrne bransoletki. Trzymałam Pu-się na kolanach, pozwoliłam jej ciągnąć za koc i wołać „Mamusi!” (uczesalam ją i przypięłam grzywkę spinką. Lepiej będzie wyglądać, kiedy włoski podrosną i dadzą się zebrać w schludną palemkę). Mała chyba sądzi, że Evelyn śpi, może zresztą w pewnym sensie tak jest. Któż może wiedzieć, jak funkcjonuje mózg w śpiączce, może właśnie w tej chwili odtwarza jakieś sceny z przeszłości, spotkanie z Milem albo chwile, gdy wręczano jej nowo narodzone dzieci, a może tę, kiedy siedząc w gabinecie doktora Hollanda, postanowiła, że mi nie pomoże.

Bo widzicie, gdyby ktoś mnie spytał — gdyby w tym wszystkim ktoś choć raz spytał mnie o zdanie — powiedziałabym, że to, czego chcę, nie jest wcale takie znów wyjątkowe. Owszem, dawanie życia to cud, lecz cud powszedni. Łatwo uznać, że ma się do niego prawo. Codziennie na całym świecie matki wychodzą z porodówek, niosąc w ramionach lub samochodowych fotelikach nowo narodzone dzieci. Tylko tego pragnęłam. Przyznaję, chciałam podyktować warunki, ale któż w życiu tego nie chce?

Dzieci niestrudzenie wpatrują się w nieruchomą bladą twarz. Wiele godzin spędziły przy jej łóżku. Felix milczy jak zakłęty. Skądinąd nigdy nie był rozmowny. Nazwałabym go wręcz ponurym, choć może to taki wiek i z czasem chłopiec się zmieni.

Gdy przyglądałam się Evelyn, zwłaszcza gdy po południu przez okna wpada więcej światła, widzę, jak jej twarz się zmienia. To już nie ona, znikła miękkość rysów, żywa mimika. Jej twarz stężała, wygląda teraz jak

ulepiona z żółtawej gliny. Evelyn umiera, widzę to. Jej ciało leży bezwładnie nieczułe na to, co być może nakazuje mu dusza. Stoję przy łóżku, trzymając dzieci za ręce. Felix zwija dłoń w pięść. Wierzę, że z czasem się do mnie przekona.

Pusia nie sypia dobrze, budzi się w nocy z płaczem. Uprzedziłam Jamesa, że naważniejsza jest konsekwencja: mała przestanie kapryścić, kiedy się przekona, że nikt nie reaguje. Pracownica społeczna sugerowała, że zważywszy ostatnie wydarzenia, dobrze byłoby ją często przytulać, lecz ja uśmiechnęłam się mile i spytałam, czy ma dzieci. Odparła, że nie.

— Proszę mi wierzyć — podjęłam — to najgorsze, co mogłabym zrobić. Dzieci już są rozpuszczone i będę musiała to naprawić.

Od czasu do czasu Felix łypie na mnie z miną, której nie sposób zaaprobować. Powtarzam sobie, że to tylko dziecko, w końcu zrozumie, że chodzi mi o ich dobro.

Myślę o tej chwili sprzed tygodnia. Chodnik przed kliniką, zimne ostrze furii, chude, nieprzygotowane ciało Evelyn. Wszystko stało się tak szybko, właściwie bez złych zamiarów, a już na pewno bez uświadomienia sobie, jak się może skończyć. Była to raczej dziecinna manifestacja złości i rozzalenia; nagły objaw urazy, że Evelyn pogrzebała moje plany. Nigdy nie miałyśmy wspólnych sekretów, nawet jako dzieci. Teraz Evelyn zabierze ze sobą mój sekret, pierwszy i zapewne ostatni. To zaskoczenie, gdy spadała z rozpostartymi w powietrzu ramionami... Zdumienie, że moja furia przerosła jej oczekiwania.

Czasem bywa i tak, nawet między siostrami. Ni stąd, ni zowąd bójka na placu zabaw, na chodniku. Cichy dziecięcy głosik, który krzyczy głęboko w moim jałowym ciele: „Miałaś swoją szansę i nie wykorzystałaś jej. Teraz kolej na mnie!”.

Otwarła się przede mną zupełnie nowa szansa. Właściwie już jestem *in loco parentis*. To zabawne, jak mogą się zmieniać perspektywy, jak życie podsuwa nowe rozwiązania, czasem nawet premie lub rekompensaty — a czyni to bez uprzedzenia, nagle. Coraz częściej przychodzi mi na myśl, że teraz będę miała dzieci, od razu dwoje, bez trudu. Zapiszę oboje do porządnych szkół, Felix przestanie się garbić, nauczy się wiązać krawat i nosić marynarkę. Będzie chodził z Jamesem na korty, a Madeleine mogłaby zacząć lekcje tańca. Urządzą im stosownie do wieku pokoje w dwóch wolnych sypialniach. Felix mógłby mieć to modne piętrowe łóżko, pod którym jest zabudowane biurko. W ogrodzie można wstawić bramki futbolowe, kupić konsolę do gier i terenowy rower z resorami w przednim i tylnym kole. A także foremki w różnych kształtach i książkę kucharską dla małych dzieci, żeby pokazać Madeleine, jak się piecze ciastka i zdekoruje je lśniącem różowym lukrem. Wygospodaruję czas na codzienne głośne czytanie i sprawdzanie szkolnych dyktand. W samochodzie będę miała rozkład zajęć. Zamocuję rząd haczyków na wszelakie stroje gimnastyczne, każdy opisany, żeby się nie myliły. Można pomyśleć o lekcjach gry na pianinie albo na skrzypcach oraz o aktywnym wypoczynku w ramach szkolnych obozów wakacyjnych. Bezmyślne struganie patyka nie wchodzi w rachubę. Przyczepię na lodówce kartkę z obrazkową instrukcją, jak należy jeść niektóre owoce i warzywa. Oboje zostaną ochrzczeni, a na rodziców chrzestnych poproszę solidnych, przyzwoitych ludzi, na których można polegać, którzy czytają Ewangelię w kościele i grają w golfa. Pozostawię dzieciom nazwisko (takie samo zresztą jak moje panięskie), dodając jako drugi człon Mulholland. Wychowam oboje na mądrych zdrowych ludzi, niwelując wpływ, jaki miała na nich matka.

Czasem w ostatecznym rozrachunku nie środki są ważne. Zawsze można wygrać, jeśli się nie rezygnuje i nie traci z oczu celu. Na razie będę siedzieć tu, przy mojej siostrze, póki sprawa sama się nie rozwiąże. Evelyn jest już pokonana, przegrana. Ja czuję, jak wstępuje we mnie życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Felix

Mija trzeci dzień od wypadku. Od trzech dni stoję obok łóżka, próbując zmusić ją telepatycznie, żeby się poruszyła, otworzyła oczy, samodzielnie wciągnęła do płuc powietrze. Telepatia nie działa. Mama leży na łóżku zupełnie nieruchomo, jak rzeźba.

Jakby zmaląła. To niesamowite. Nigdy nie miałem wrażenia, że jest mała, przeciwnie. Pusia jest mała. Mała jest szafka pod schodami. Ale mama...? Dopiero teraz, kiedy się nie rusza, wydaje mi się strasznie drobna. Ma cienkie ręce i nogi. Tylko usta są dawnej wielkości, szerokie i pełne. W kąciку widać mały ciemny siniec; wygląda, jakby jadła borówki.

Najgorszy jest ten bezruch. Zdałem sobie z tego sprawę wczoraj, kiedy stałem nad nią przez całą wizytę, powtarzając w myślach: „Rusz się, proszę, rusz się”, jak mantrę, jedną z tych, które się stosuje przy medytacji w jodze. Samym umysłem — nie chciałem, żeby ruch warg zmącił przekaz. Nigdy dotąd nie widywałem jej w bezruchu. Wygląda, jakby spała na dnie oceanu. Zwykle wciąż coś robi. Nie pozwala sobie na sen, przynajmniej wtedy, kiedy ja nie śpię. Nie pamiętam, kiedy widziałem ją śpiącą.

Rano, gdy na palcach wchodzę do jej sypialni, wygląda tak, jakby chwilę wcześniej otworzyła oczy. Musi

mieć niesamowicie czuły słuch. Choćbym stąpał zupełnie bezgłośnie, mama już przeciąga się jak kot, prostując ramiona wyplątane spod licznych kołder i koców, którymi się okrywa. Jeśli to jest weekendowy ranek w zimie, najczęściej idzie na dół zrobić coś ciepłego do picia, a potem piętzymy poduszki w obu końcach łóżka i siadamy, stykając się stopami, tak że zgięte w kolanach nogi tworzą wielką literę „M”. Ja piję kakao, a mama zieloną herbatę. Nie cierpi zielonej herbaty, ale parzy ją sobie, bo ponoć jest zdrowa. Zawsze marszczy nos, gdy ją przełyka. Kiedy znoszę naczynia na dół, jej kubek z reguły jest prawie pełny.

W dni powszednie wstaje zawsze wcześniej ode mnie. Wyłączam budzik i schodzę; mama zwykle stoi przy kuchni obrócona do mnie plecami, miesza owsiankę albo gotuje jajka. Chleb już jest w tosterze, obok przygotowany nóż, żeby pokroić grzanki. Koło kuchenki leży rozłożona gazeta, a jeśli mamę zaciekawi jakiś artykuł, jajka są na twardo. Stoi przy kuchence na jednej nodze, przyciskając uniesioną stopę do kolana drugiej nogi, i przypomina wtedy flaminga, którego widziałem kiedyś w zoo, albo jedną z tych asymetrycznych figur na lekcji matematyki, którym trzeba obliczać kąty i powierzchnie.

Teraz mama wygląda jak przedmiot poddawany dziwacznym eksperymentom. Wystaje z niej mnóstwo drutów i rurek, na ekranach widać wciąż te same wzory, robią na mnie wrażenie alfabetu Morse'a albo Braille'a — kodu, którego nie potrafię odczytać. Lekarze i pielęgniarki wchodzą, patrzą na ekrany, zerkają na kartę wiszącą w nogach łóżka. Nie kładą mamie ręki na głowie, żeby sprawdzić, czy ma gorączkę, nie robią żadnej z tych rzeczy, które robiła mama, kiedy byłem chory, a które należą do procedury zwyczajnego zdrowienia.

Jej skóra ma dziwny kolor. Nawet ja to widzę. Choć wcale nie chcę tego dostrzec, choć próbuję sam sie-

bie przekonać, że uda jej się wciągnąć ekstragłęboki oddech i potężny zastrzyk tlenu zaróżowi jej policzki, sprawi, że ręce przestaną wyglądać jak kawałki drewna wyrzucone przez morze.

Byłem w szkole, kiedy to się stało. Wezwali mnie do gabinetu dyrektora. Zaniepokoiłem się; wiedziałem, że nie chodzi o mnie. Nie zrobiłem nic złego ani nic nadzwyczaj dobrego, a zatem coś musiało się stać. Wychowawczyni przywiozła mnie tutaj. W samochodzie właściwie się nie odzywałem, patrzyłem, jak wycieraczki usiłują zetrzeć z szyb padający deszcz. Deszcz wydawał się tłusty, zostawiał smugi, przez które trudniej było cokolwiek dojrzeć niż przez świeże krople. Wychowawczyni próbowała mnie pocieszyć; teraz to rozumiem. Mówiła te wszystkie rzeczy, które mówią dorośli, kiedy sprawa wygląda naprawdę fatalnie. Starają się szukać pozytywów — na przykład że współczesna medycyna może zdziałać cuda i że lekarze są świetni w swoim fachu. Wszystko, byle nie powiedzieć, jak mama rozpaczliwie źle wygląda. Zupełnie nie tak, jak powinna. I wciąż leży nieprzytomna w tej koszmarnie cuchnącej szpitalnej sali.

Na kocu nadrukowana jest dużymi niebieskimi literami nazwa szpitala. Nie wiem, czy chodzi o to, żeby nikt go nie ukradł, czy żeby nie wymieszał się w pralni z własnością innych szpitali. Wołałbym jej przynieść z domu nasze koce i kołdry i otulić ją nimi. Wtedy mógłbym patrzeć na drobne równe ściegi, które wyszły spod jej ręki, na wzory i kolory, a nie na nazwę szpitala, która zaczyna się na jej ramieniu i biegnie przez pierś.

Boję się jej dotknąć. To mnie bardzo martwi. Chciałbym usiąść na łóżku i wziąć ją za rękę albo położyć się obok z głową na jej ramieniu. Kiedy byłem mały, często tak sypiałem z policzkiem wtulonym w jej obojczyk i kolanami na jej brzuchu, objęty jej prawym ramie-

niem. Teraz boję się, że coś pogorszę, jeszcze bardziej ją uszkodzę.

Na koniec wizyty jedna z pielęgniarek zawsze kładzie mi rękę na ramieniu i steruje mną w stronę drzwi. Czuję się płaski, dwuwymiarowy, jak kawałek kartonu. Nie cierpię jej zostawiać. Nie chcę, żeby coś się jej stało pod moją nieobecność. Przez całą noc pod półprzy-mkniętymi powiekami przemykają mi zielone i pomarańczowe linie z monitorów.

Za każdym razem gdy tu jestem, Margaret siedzi na krześle po drugiej stronie łóżka. Ta kobieta potrafi siedzieć na baczność. W plisowanej spódnicy wygląda jak szkocki żołnierz postawiony na warcie. Nie potrafię odczytać z jej twarzy, o czym myśli. Nie wygląda na spiętą ani zmartwioną. Przyjrzałem jej się dobrze i nie spostrzegłem smutku. Wygląda po prostu fachowo — to słowo w ogóle najlepiej ją opisuje. Jest zaradna i energiczna, podczas gdy moja mama sprawia wrażenie, jakby ktoś usunął jej z ciała wszystkie kości. Wygląda, jakby można ją zwinąć w rulonik niczym ręcznik lub serwetkę, poskładać tak, żeby zajmowała jak najmniej miejsca.

Margaret przypomina mi Gorgonę albo jedną z tych inkaskich rzeźb — grubonogich, krępych i masywnych, zwieńczonych jastrzębią głową z drapieżnym dziobem. Strażnik piramidy — tyle że nie strzeże przed złem, a tylko się rządzi.

Najwyraźniej pasuje jej rola dorosłego, z którym rozmawiają lekarze. Mówi do nich szczególnym tonem, z jednej strony ugrzecznonym, z drugiej nieco nagłym. Kopiuje słowa, których używają, i posługuje się nimi w rozmowie, dumna, że je zapamiętała. Wszystko co mówi i robi, wydaje się za głośne w tym małym pokoju.

Pusia jest niespokojna i wciąż się wierci — niczego nie rozumie, czuje tylko, że dzieje się coś złego. Woła mamę i wyciąga do niej łapki. Margaret znosi to nawet dość spokojnie; próbuje ograniczyć ruchliwość mojej siostry i raz po raz sadza ją sobie na kolanach, żeby nie wyciągnęła którejś rurki. Chyba najchętniej przypali-kowałaby ją do ziemi. Poza tym bez przerwy przygląda jej włosy. Wczoraj kupiła w szpitalnym kiosku paczkę spinek i spięła Pusi grzywkę, żeby nie spadała na oczy.

Kiedy Margaret wychodzi do ubikacji albo po kanapkę, przykazuje mi stanowczo, żebym uważał na Pu-się, nie pozwolił jej niczego ruszać ani dotykać mamy. Pozwalam jej za to włązić pod łóżko, szuka tam swojej dawnej mamusi. Chyba rzadko tu zamiatają, dziś rano Pusia wyszła cała w festonach szarego kurzu zwisających z ubrania i włosów. Pościagałem to z niej i zapakowałem w ligninę; zanim Margaret wróciła, nie było śladu. Czasem Margaret patrzy na nas tak, jakby wołała, żebyśmy byli... nie wiem, czystszy albo po prostu inni. Wyszorowani i wypolerowani do połysku. Spinki dla Pusi, ciekawe, co przewiduje dla mnie. Obchodzi mnie na razie dookoła, ale jestem pewien, że już coś zaplanowała.

Chciałbym ją wypytać, jak doszło do wypadku. Powiedziała nam tylko, że była z mamą w Londynie i że mama się potknęła, upadła na jezdnię i potrącił ją samochód. (Pielęgniarki szeptały, że samochód wyrzucił ją w powietrze, a potem jeszcze przejechał, kiedy upadła).

Chciałbym o to spytać Margaret, wątpię jednak, czy odpowie. Mama zawsze bardzo uważała na ulicy. Dopiero niedawno przestała mnie prowadzić za rękę. Kiedy byłem mniejszy, przy ruchliwych ulicach trzymała mnie tak mocno, że czasami wołałem: „Połamiesz mi palce!”. Zawsze powtarzała, że nie wolno iść blisko krawężnika. Krawężnik może być nierówny, mówiła.

Brzegiem jedni poruszają się motocyliści i rowerzyści, któryś może zahaczyć o ramię pieszego albo niesioną przez niego torbę. Tak samo kiedy chodziliśmy na spacery nad rzekę albo nad kanał. Szliśmy dokładnie środkiem ścieżki flisackiej — nawet kiedy byłem już dość duży, żeby biec przodem, musiałem jej to obiecać.

— Dokładnie środkiem — mówiła. — Wówczas kiedy się potkniesz, upadniesz na ziemię, a nie do wody. Jesteś moim największym skarbem. Zrób to dla mnie i nie zbliżaj się do krawędzi.

Zgoda, każdy może się potknąć i przewrócić, ale nie tuż przy krawężniku! Nie rozumiem, dlaczego mama złamała własne zasady. Margaret powiedziała, że to się stało w jednej chwili, właściwie nawet nie wie jak i kiedy. Tylko że mama nigdy nie chodziła brzegiem chodnika. Powinienem to powiedzieć Margaret. Mama nigdy nie zbliżała się do krawężnika. Z pewnością usłyszałbym w odpowiedzi, że bez dzieci dorośli zachowują się inaczej.

Zawsze byłem kolekcjonerem. Zbieram rozmaite rzeczy. Karty z obrazkami, plastikowych żołnierzy, kamienie, muszle, zagraniczne monety, szklane buteleczki. Trzymam to wszystko pod łóżkiem w słojach, pudłach i kubekach po lodach. Lubię mieć czegoś dużo.

Teraz kolekcjonuję współczujące twarze. Zebraliśmy z Pusią mnóstwo współczujących min i smutnych spojrzeń, choć jest to coś, czego żadne z nas nie zamierzało kolekcjonować. Lekarze, pielęgniarki, pani, która roznosi kanapki, wicedyrektor szkoły, który przyjechał wczoraj po południu i powiedział do mnie (jak gdybym w ogóle o tym myślał): „Nie martw się o lekcje, nadgonisz później”. Każda dorosła osoba, która na mnie patrzy, nadaje się do kolekcji. Na ogół trudno im znaleźć słowa, więc tylko patrzą mi w oczy, aż w końcu spuszczam wzrok, wbijam go w trampki, ręce albo

niewidzialny punkt na ścianie. Nie jestem pewien, czy oczekują, że coś odpowiem, i nie wiem, co spodziewają się dojrzeć w mojej twarzy.

Jeden z lekarzy, zdaje się, że neurochirurg, przychodzi codziennie zbadać mamę. Czasem ma ze sobą małą bardzo mocną latarkę, którą świeci mamie do oczu, podniósłszy najpierw delikatnie powiekę kciukiem i palcem wskazującym. Stoję obok i namawiam ją telepatycznie, żeby zamrugła albo odwróciła głowę, bo światło jest bardzo jasne, ale mama nie reaguje. W końcu klika wyłącznik i lekarz chowa latarkę do kieszeni fartucha. Część mnie, ta dawna, beztroska, miałaby ochotę ją obejrzeć — przypomina trochę latarkę, którą dostałem od mamy w zeszłym roku na urodziny. Rozbiliśmy z moim przyjacielem Johnnym namiot w ogrodzie i promieniem światła kreśliłem wzory na tropiku.

Schowawszy latarkę, lekarz kładzie mi obie ręce na ramionach, tak że dłonie sięgają aż na łopatki. Widać po nim, że boleje wraz ze mną i chyba nie wie, jak to wyrazić słowami. Przypuszczalnie potrafi doskonale komunikować się z pacjentami, z tym że ja nie jestem pacjentem, więc ma problem. Patrzy mi na czoło — konkretnie w miejsce tuż ponad zbiegiem brwi — a potem odwraca się i wychodzi.

Pielęgniarka, która przychodzi umyć mamę, wydaje się skoncentrowana na tym zajęciu, widzę jednak, że kątem oka zerka na mnie. Wyciera mamie myjką twarz, czoło, szyję pod brodą, podnosi ramiona i myje je całe, a przy tym non stop mówi. Na przykład: „Tak, kochana, będziesz się teraz czuć świeżo i czysto” albo: „Mam nadzieję, że woda nie jest za chłodna?”, albo: „Dzień dobry, skarbie, i jak się miewamy po nocy?”.

Nie lubię się temu przyglądać. Patrzę pod nogi. To mama jest osobą, która dba o innych, opiekuje się nimi.

Nie jest dzieckiem. W każdym razie nie była nim do tej pory.

— Kto wie, może coś słyszy? — powiedziała do mnie pielęgniarka pierwszego dnia. — Miałam pacjentów w śpiączce, którzy nie reagowali całymi tygodniami, a potem nagle mówili: „Zimno...” i wracali do przytomności.

Margaret wydeła usta, a później słyszałem, jak besztła tę kobietę, że nie powinna rozbudzać w dziecku nadziei.

Dziś po myciu pielęgniarka odłożyła plastikową miskę, gąbkę i niewielki ręcznik z niebieskim nadrukiem i obróciła się do mnie, pytając:

— A jak tam twoja buzia i szyja, młody człowieku? Dobrze umyta?

Starala się, żeby to zabrzmiało ciepło i żartobliwie, ale na twarzy miała kolejną smutną, współczującą minę do mojej kolekcji. Przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała mnie objąć i przytulić. Ma duży biust i drugi podbródek, który trzęsie się jak budyń. Szybko cofnąłem się o krok — nie żebym był niewdzięczny, tylko bałem się, że się rozplaczę. Poryczałbym się jak dziecko, usmarkałbym jej fartuch, szlochał i bełkotał. A mama mogłaby to usłyszeć. Jeśli to prawda, że głosy z zewnątrz mogą dotrzeć do świadomości człowieka w śpiączce, to ostatnią rzeczą, jaką mama powinna usłyszeć, jest mój bezradny płacz. Zamiast tego więc, kiedy nie ma pielęgniarki, a Margaret jest zajęta szarogęszeniem się, szepczę mamie do ucha coś, co na pewno rozpozna.

W naszym prawdziwym życiu, tym w domu, a nie tym szpitalnym, mama przychodzi pocałować mnie na dobranoc. To cały rytuał, zawsze taki sam. Pierwsza osoba mówi: „Dobranoc, kocham cię”, a druga odpowiada: „Dobranoc. Ja cię kocham bardziej”. Wtedy ta pierwsza mówi: „Nie ma takiej możliwości” i obo-

Je śmiejemy się cicho, chociaż to właściwie nie jest śmieszne. Podoba mi się myśl, że zawsze można kochać bardziej, najbardziej, i że mówimy to na zmianę, raz jedno, a następnym razem drugie. Kiedy więc szepczę do mamy — szepczę prosto do ucha, nie patrząc na jej twarz, która nie pachnie jak zwykle miętą i mleczkiem, trochę pudrem, a czasem limonką jak jej perfumy — mówię: „Ja cię kocham najbardziej” i powtarzam to raz po raz w nadziei, że jej pełne blade usta z blednącym już fioletowym sińcem poruszą się nagle i odpowiedzą: „Nie ma takiej możliwości” i już będę wiedział, że wróciła.

Mama wygląda gorzej. Nikt nie mówi tego na głos, ale wiem, co myślą. Przed tym wszystkim pewnie nie umiałbym nawet określić, co znaczy „gorzej”, gdy człowiek leży w śpiączce, nie mówi, nie słyszy, nie widzi się, nie rusza i w ogóle nic, a na ekranach przesuwają się ugrzecznione stale jednakowe wykresy. Jej twarz się zmienia. Chyba wiotczejaje mięśnie; może dlatego, że od tygodnia nimi nie porusza. Twarz zaczyna wyglądać jak maska, jakby to, z czego jest zbudowana, zapadało się gdzieś w głąb, wymywane spod skóry jak rzeczny piasek. Poza tym nie jest już tylko blada, nabrała żółtawego odcienia. Próbowałem sobie wmawiać, że to złudzenie optyczne, wina tych okropnych jarzeniówek. Dziś, kiedy nikogo nie było, zgasilem lampy i nic to nie zmieniło. Żółtawe zabarwienie tuż pod kośćmi policzkowymi.

Zaczynam wpadać w panikę. Dotąd czułem smutek — taki smutek, który osiada na piersi i nie pozwala złapać głębszego oddechu — ale dziś serce mi wali, w ustach całkiem wyschło. Mam ochotę krzyknąć i nic mnie nie obchodzi, że chorzy śpią, niech się zbudzą, niech wiedzą:

— Mamo, nie odchodź, nie wyciągaj nas jeszcze z piekarnika!

Pusia lubi piec ciasta. Pomaga mamie robić biszkopt, który potem przekładają marmoladą i polewają białym lukrem, a Pusia wtyka w lukier żelki i kolorowe czekoladowe pastylki M&M's. Najbardziej lubi właśnie lukrowanie i trzeba jej pilnować, bo rwie się do piekarnika, żeby wyjąć niedopieczone jeszcze ciasto. Kiedy w tym roku skończyłem dwanaście lat, mama powiedziała: „Nie do wiary! Za sześć lat wkroczysz w dorosłe życie. Jesteś już w dwóch trzecich dopieczony”. Muszę ją obudzić, powiedzieć, że powinienem się jeszcze długo piec, Pusia znacznie dłużej, a jeśli mama od nas odejdzie, będę jak ciasto Pusi, zapadnięty w środku, smutny i zakalcowaty.

Jest za dużo rzeczy, które dopiero mamy zrobić. Planów, których nie zdążyliśmy zrealizować. Wybieramy się pociągiem do Indii. Na ryby do Afryki. No i mama miała mnie zabrać do Muzeum Techniki Kosmicznej w Leicester.

A to wszystko, co miałem zrobić, gdy dorosnę? Znaleźć dobrą pracę i kupić jej domek, podobny do tego, w którym mieszkamy, tylko bez zacieków, ze szczelnymi oknami, które nie klekoczą, kiedy wieje wiatr, i z bojlerem z pompą, dzięki której woda dociera do kranów szybciej i jest gorętsza.

Przyglądałem się nieraz, jak ślęczy nad tym swoim notesikiem, w którym zapisuje przychody i rozchody i sumuje je na moim szkolnym kalkulatorze. Nieraz gryzie koniec ołówka, twarz jej się trochę zasepia; czasem wpycha notes z powrotem do szafki i mówi: „W przyszłym miesiącu będzie lepiej”. A ja myślę wówczas o chwili, kiedy dam jej gruby szeleszczący zwitek gładkich banknotów i nie będzie już musiała prowadzić tych rachunków.

Albo samochód. Wycieraczki wciąż się psują i czasem mama zatrzymuje się na światłach, opuszcza okno, wychyla się i wyciera przednią szybę rękawem.

Muszę też jechać do Paryża i przywieźć jej makaroniki Laduree. Byliśmy w Paryżu pociągiem linii Eurostar (na tanie bilety z gazetowej promocji), mama zabrała nas na wieżę Eiffla, a potem obejrzelśmy Notre Dame i obok katedry znaleźliśmy ten sklepik. Kupiliśmy sobie po jednym makaroniku. Każdy wybrał inny smak, mama cytrynowy, ja karmelowy, a Pusia porzeczkowy. Mama powiedziała, że to najlepsza rzecz, jaką w życiu jadła. Postanowiłem, że kiedyś kupię olbrzymie pudło tylko dla niej.

Tak więc moje spanikowane serce jest pełne powodów. Mógłbym sporządzić długą listę wszystkich rzeczy, które musimy zrobić razem, wszystkich, które ja muszę zrobić dla mamy — wszystkich powodów, dla których nie wolno jej jeszcze odchodzić.

Nie potrafię wymówić słowa „umrzeć”. Takie zwykle proste słowo, a zaczynam dygotać, jak o nim pomyślę. Kiedy stoję przy łóżku mamy, od samego niemyślenia tego słowa miękną mi kolana. Spoglądam w dół i mam wrażenie, że moje sznurówki się poruszają. Robi mi się niedobrze w całym ciele. Margaret siedzi obok i z pewnością potrafi wypowiedzieć to słowo równie łatwo, jak mówi „masło” lub „spódnica”. Przylepić je mamie jak naklejkę akcji charytatywnej. Kiedy wychodzi z pokoju, mam ochotę szepnąć do mamy: „Ona jest straszna, jeszcze straszniejsza, niż myśleliśmy”. Milczę, bo nie chcę jej martwić. Wiem, że mama wolałaby się sama myć, niż być skazana na budyniową pielęgniarkę. Wiem, że gdyby mogła usiąść, przetrzeć oczy, przeciągnąć się i powiedzieć: „Spadamy do domu”, na pewno by to zrobiła. Jestem pewien, że bardzo się o to stara wewnątrz swojego nieprzytomnego połamanego ciała.

Przez ostatnie cztery dni nocowaliśmy u Margaret. Twierdzi, że tak jest jej łatwiej, „zważywszy, ile ma na głowie”, pojechała więc do nas do domu, wzięła tro-

chę ciuchów i wetknęła je do torby podróżnej, która nie wygląda na moją i w ogóle bym takiej nie chciał. Jest w granatowo-zieloną szkocką kratę i ma ręczki, które wyglądają jak z drewna.

Jej dom jest makabryczny. Nie podobało mi się tam już wcześniej, kiedy raz na rok bywaliśmy u niej z wizytą i musieliśmy słuchać niekończących się kazań, które serwowała mamie. Do Pusi wciąż zwracała się „Madeleine” tonem nieznoszącym sprzeciwu. Oczywiście Pusi nawet przez myśl nie przeszło, że to do niej, a Margaret syczała pod nosem, starając się nie wyglądać na mocno wkurzoną. Pamiętam, gdy ostatnio wracaliśmy do domu, naśladowałem ją w samochodzie, popiskując: „Madeleine, Madeleine”, Pusia gryzła sobie spokojnie pestki dyni i słonecznika, wypluwając twardsze kawałki, a wyglądała przy tym jak dziaduś, który pluje przezutym tytoniem. Mama próbowała się nie śmiać, ale było widać, że jest ubawiona. Powiedziałem do niej: „Evelyn!”, takim tonem, jakim mówi to Margaret (jakby chciała wydmuchnąć z nosa brzydki zapach), a mama fuknęła: „Ty paskudniku! Wszystko słyszysz, co?”, uśmiechała się jednak i wiedziałem, że nie ma do mnie o to pretensji.

Dałbym wszystko, żeby mieć ją wczoraj przy sobie w domu Margaret, żeby siedziała naprzeciw na tej pasiastej sofie, gładkiej w dotyku i na tyle śliskiej, że choć nogi swobodnie sięgają podłogi, człowiek ma wrażenie, że zaraz zjedzie, więc na wszelki wypadek siada na samym brzeżku. Nawet mama przybiera na niej nienaturalną pozę, chociaż widać, że ma ochotę podwinąć nogi albo usiąść po turecku. W niektórych domach trudno się poruszać tak, jak człowiek lubi.

Mąż Margaret, James, obdarzył nas kolejną współczującą miną do kolekcji i ta była rekordowa, jeśli chodzi o pracę brwi. Jego współzucie zaczynało się nad jednym okiem i pęzło w stronę drugiego; trudno mi się

było skupić na czymkolwiek innym oprócz tych płynnie falujących brwi. James położył mi rękę na ramieniu — tak mocno, że musiałem zablokować kolano, żeby nie zwałił mnie na podłogę. Potem obrócił się do Pusi, która nie zwróciła na niego uwagi, bo była akurat zajęta chodzeniem w kółko.

W nocy Pusia płacze. Wrywa mnie ze snu jej głośny ryk, tak rozpaczliwy, że najchętniej bym się przyłączył. Przywodzi na myśl małego wilczka z bajki, który zgubił się w lesie i żałośnie wyje do księżyca. W książeczkach, które czytaliśmy jej z mamą — tej o dzieciach sowy i o króliku, i o małpce — mamusia zawsze wraca, niosąc coś dobrego do jedzenia albo coś miękkiego do wyścielenia gniazda. Kiedy zwierzątko już słabnie od płaczu, okazuje się, że mama jest tuż-tuż. Nie bardzo wiem, jak uświadomić Pusi, że to nie jest reguła. Nie jestem pewien, co z tego wszystkiego rozumie i jakie myśli chodzą po tym małym łebku. Może myśli, że mamusia wróci rano do domu, wniesie jajka albo owsiankę, albo będzie pachnieć cukrem i cytryną, bo robiła naleśniki.

W domu, kiedy Pusia budziła się w nocy, mama brała ją do siebie, a ostatnio Pusia sama nauczyła się trafiać po ciemku do jej pokoju. Rano często spała zwinięta w kłębuszek i mocno wtulona w bok mamy. Pierwszej nocy Margaret poszła do jej pokoju i najspokojniej w świecie oznajmiła, że ma natychmiast przestać. Nazajutrz słyszałem, jak mówiła do jakiejś kobiety w szpitalu, że to najlepszy sposób postępowania. Podejrzewam, że Pusia ma na ten temat inne zdanie. Nadal płacze co noc, tylko ciszej, a ja już wiem, co robić.

Gdy tylko słyszę, że się obudziła, idę i kładę się obok niej. Pusia wie, że nie jestem mamą, ale lepiej jej ze mną niż samej. Chyba zwykle bawiła się złotym łańcuszkiem, który mama nosi na szyi, bo wkłada mi łapkę w zagłębienie między obojczykami, jakby czegoś

szukała, a potem łapie mnie za włosy, nawija na palec i wydaje się zdziwiona, kiedy włosy się kończą. Wybiera następne pasemko, później chyba dociera do niej, że mam krótsze włosy niż mama. W końcu zasypia przyciśnięta do mnie jak jedna łyżeczka do drugiej. Ja też zasypiam, lekkim czujnym snem — takim, jakim się śpi, kiedy człowiek wie, że nie może się spóźnić na wycieczkę szkolną albo inny wyjazd. Dzięki temu słyszę już pierwszy sygnał budzika Jamesa i szybko biegnę przez korytarzyk do własnego łóżka. Nie potrafię się poruszać całkiem bezszelestnie, lecz dla nich to wystarczy. Dziś rano przy śniadaniu Margaret powiedziała do Jamesa tym swoim wszyszkowiedzącym tonem:

— Widzisz? Tak jak mówiłam, stanowczość i dyscyplina to jedyna skuteczna droga w tak trudnej sytuacji. Śpi i nie płacze. Zrozumiała, że takie zachowanie jest nierozsądne.

Podczas gdy Margaret upaja się własnym głosem, Pusia je kaszkę. Nabiera ją łyżeczką i stara się jak może, żeby nie oblać siebie ani stołu. Ale nie dla Margaret, tylko dlatego, że mamusia ją tak uczyła.

Zeszłego lata jechaliśmy sobie samochodem wiejską drogą, lizaliśmy Chuppa Chupy, a z radia leciał Crocodile Rock, i to na cały regulator. Pusia oznajmiła, że jest jej bardzo dobrze, ja stwierdziłem, że mi też, na co mama odpowiedziała, że nie zawsze do szczęścia wystarczy nam tak niewiele. Jakaś nutka w jej głosie nasunęła mi myśl, że dorosłym jest chyba trudniej tak po prostu i zwyczajnie być szczęśliwym w danej konkretnej chwili, bo zawsze noszą ze sobą bagaż całego życia. A w nim wspomnienia, także tego, co im się nie udało. Może właśnie dlatego, kiedy szczęście jest tuż przed nimi, nie potrafią w nie wskoczyć obiema nogami, z rozbiegu, jak do skalnego zagłębienia przy brzegu

morza — muszą najpierw odłożyć te swoje walizy i nawet pływając, kątem oka widzą je na plaży.

Powiedziawszy to wówczas, mama przechyliła się szybko i pocałowała mnie w głowę takim samym szybkim ruchem, jakim wacha mi włosy, jakby chciała mną odetchnąć.

— Nic nie szkodzi — odparłem. — Później będziemy sobie urządzać bardziej pracowite przyjemności.

Mama zaśmiała się na to i powiedziała:

— Mam nadzieję. Pracowite przyjemności zapowiadają się równie interesująco.

Teraz martwię się, że to przepadło. Ze wspomnienia, które dotąd zgromadziłem, pozostaną jedynymi. Mam trochę fotografii w pudełkach po butach. Niewiele, bo aparat dostałem dopiero na dziewiąte urodziny, a zresztą nie wszystkie zdjęcia drukuję. Niektóre są nieudane, brakuje na nich kawałka twarzy, a z rogów wystają meble, ale zawsze widziałem w tych pudełkach zaczątek mojego albumu, do którego będę stopniowo dodawał kolejne zdjęcia — będę na nich już wyższy od mamy, w nowych ochraniaczach, które obiecała mi zamówić w przyszłym roku, albo z trzynastoletnią na przykład Pusią wyglądającą jak nastolatka. Boję się, strasznie się boję, że to wszystko będę musiał sobie wyobrazić, że lizaki i inne rzeczy poślizgną w pamięci jak stare gazety, a wszystkie moje wspomnienia złożone w stosik wydadzą mi się nagle zbyt cienkie, zbyt kruche, bo mam dziś dopiero dwanaście lat, Pusia dwa, a tymczasem mamy może zabraknąć.

Nasz poprzedni dom stał na skraju łąki, przez którą płynęła rzeka. Pewnego roku w marcu tak mocno padało, że woda wystąpiła z brzegów i zalała pola. Wszyscy się bali, że będzie dalej się podnosić i zaleje domy. Musieliśmy przenieść rzeczy na piętro, a rada wioski dostarczyła worki z piaskiem. Któregoś ranka wstaliśmy

i zobaczyliśmy, że cała łąka, aż do płotu naszego małego ogródka, zmieniała się w jezioro. Gładka błyszcząca tafla wyglądała zupełnie inaczej od wielkiej połaci porośniętej kępami wilgotnej kosmatej trawy, po której na co dzień przechadzały się statecznie tłuste owce. Mieliśmy uczucie, że w ciągu nocy ktoś uniósł nasz dom i postawił go w innym miejscu. Jedną z naszych sąsiadek była zapaloną wioślarką. Zaproponowała mamie, że pożyczycy jej duży kajak, żeby mogła przewieźć mnie po zalanej łące. Powiedziała, że nic nam nie grozi,

O ile tylko będziemy się trzymać z dala od koryta rzeki. Mama bardzo się ucieszyła, podwinęliśmy spodnie

i pobrodziliśmy do sąsiadki. Pamiętam, że najpierw musieliśmy wspiąć się na plot i dopiero z tego płotu wsiadaliśmy do kajaka. Oboje dostaliśmy wiosła. Mama posadziła mnie na przedzie, żeby nie zasłaniać mi widoku.

Było fantastycznie. Woda nie była głęboka, mogła mieć najwyżej czterdzieści centymetrów. Czasem dno kajaka podskakiwało lekko na krecim kopczyku albo na kamieniu. Jezioro było jasnoszare, niebo miało dokładnie taki sam odcień i czułem się tak, jakbyśmy się unosili w jakiejś czarodziejskiej przestrzeni, gdzie niebo i ziemia zlały się w jedno, połykając horyzont. Jeśli się spojrzęło w dół, w rozcinaną wiosłem wodę, widać było szmaragdowozielone źdźbła traw. Wciąż myślałem o tym, że przecież normalnie gram w piłkę pod tą gładką srebrzystą taflą. Drzewa rosnące na skraju łąki stały po pas w wodzie jak doktor Foster z tego starego wierszyka. Mama i ja pokazywaliśmy sobie różne rzeczy — spaniela, który aportował, rozchlapując wodę na przeciwległym skraju łąki, albo kaczkę płynącą z zadowoleniem przez sam jej środek (dla niej także musiała to być egzotyczna wycieczka). Wkrótce jednak przestaliśmy rozmawiać i tylko wiosłowaliśmy równomiernie, zataczając szeroki łuk wokół całej wielkiej łąki. Było

cicho, słyszeliśmy tylko leciutki szczeł wioseł ocierających się o burzę i delikatny syk wody, po której się ślizgaliśmy.

Było cudownie. To chyba najlepsza rzecz, jaką w życiu robiłem, a teraz się boję, że będzie jak fotografia w pudełku, zakończona i należąca tylko do przeszłości, ponieważ już nigdy nie powtórzę tego z mamą, choćby nawet rzeka znów wylała i znaleźlibyśmy się znów w tamtym miejscu.

Wcześniej chodziłem do paru innych szkół, bo często się przeprowadzaliśmy. Pamiętam pierwszą, wiejską szkołę w dawnym budynku kościoła, gdzie okna umieszczono tak wysoko, że trudno było przez nie wyrzeć, chyba że człowiek cofnął się pod przeciwległą ścianę i stanął na palcach. Mój wieszak znajdował się w idealnym miejscu, toteż na zakończenie lekcji, kiedy mogliśmy się spakować, schować obuwie zamienne do worków i włożyć buty, widziałem przez okno grupkę matek czekających na boisku, aż rozlegnie się dzwonek.

Mama z początku stawała trochę z boku i bardzo się martwiłem, bo wyglądało to trochę tak, jakby pozostałe wykluczyły ją ze swojego grona. Nosila kurtkę z oślej skóry, w której czasem wyglądała na zmarzniętą. Wyciągała wtedy ręce z kieszeni i chuchała na palce (bezgłośnie, nie tak jak wtedy, kiedy się udaje sowę). Martwiłem się, że nie jest podobna do innych dorosłych i czy oni ją będą traktować poważnie, czy będą wiedzieć, że jest dobrą matką. Bo była. Jest. Mama jest bardzo dobrą matką.

Dziś Margaret uznała, że potrzeba nam więcej rzeczy, a że —jak się wyraziła— „system ich przechowywania nie jest dla niej zupełnie jasny”, pozwoliła nam jechać z sobą.

Nosi w torebce klucze do naszego domu — klucze mamy, z breloczkiem z wygładzonego kamyka. Nie po-

doba mi się, że ich używa, wkurzam się za każdym razem, kiedy trzyma je w ręku.

W domu dziwnie pachnie. Kurzem i duchotą, bo od tygodnia okna nie były otwierane. Na parapecie w kuchni walają się zdechłe muchy, a stojący w zlewie kubek po kawie pokrył się pleśnią. Mama nie zdążyła go umyć i wytrzeć, tylko naląła do niego wody — pewnie spieszyła się na pociąg.

Próbowałem na nim dojrzeć jej odciski palców. W całym domu muszą ich być miliony.

Usiadłem na krześle w kuchni. Nogi miałem ciężkie jak z ołowiu. Czuję się tak, jakby minęły całe wieki od czasu, gdy ostatni raz tu byłem. Moje życie zmieniło się nie do poznania, już nie wygląda jak moje.

Margaret otworzyła kuchenne drzwi i powiedziała, że idzie wyrzucić śmieci do kubła na zewnątrz, bo zaczynają śmierdzieć w tym upale. Nasz dom rozgrzewa się w ciągu dnia i stygnie nocą, nabiera różnych zapachów, a nas tu nie ma.

Począpiałem za nią do ogrodu; chciałem sprawdzić, czy wszystko jest OK. Nick stał przy furtce — pewnie usłyszał samochód albo zobaczył nas na ścieżce. Ruszyłem w jego stronę, ale Margaret wyciągnęła rękę, zagrządzając mi drogę.

— Nie czas na pogaduszki, Feliksie — powiedziała. — Proszę, idź do domu i spakuj swoje rzeczy. Mamy dziś wiele do zrobienia, a twoja siostra już powinna być w łóżku.

Złapała mnie za ramiona, obróciła i lekko pchnęła w stronę domu, a sama szybko wyrzuciła śmieci i ruszyła za mną. Nick zrobił krok naprzód, usłyszał, co mówi Margaret, więc się zatrzymał.

Poszedłem do swojego pokoju i wepchnąłem kilka par dżinsów i koszulek do tej okropnej kraciastej torby. Słyszałem, jak Pusia szarpie się z Margaret, wyciągając z walizki rzeczy, które Margaret do niej wkładała. Wyjrzałem przez okno. Nick wciąż był w ogrodzie.

Zbiegłem na dół, cichutko, żeby Margaret, która wciąż handryczyła się z Pusią, nie słyszała. Odryglowałem z powrotem drzwi kuchenne i wyszedłem na zewnątrz. Miałem ochotę podbiec do Nicka, lecz nakazałem sobie spokój. Podszedłem powoli. Minę miał sen-sowniejszą od wszystkich pozostałych w mojej kolekcji i przynajmniej znalazł mamę, podczas gdy w szpitalu każdy mówił tylko to, co wypada w takiej sytuacji mówić.

— Musimy wierzyć, że twoja mama wciąż walczy

— mruknął. — Jeśli tylko jest sposób, żeby wróciła do zdrowia, ona na pewno go znajdzie. Jest dzielna i silna, przecież wiesz.

Kiwnąłem głową, bo nagle poczułem, że nie zdołałem wydusić ani słowa. Czułem się tak, jakbym miał w gardle olbrzymi kłęb smutku. Łzy tłoczyły mi się w oczach

— nie wzbierały, jak piszą w książkach, pchały się jedna przez drugą, żeby wyskoczyć spod powiek. Miałem ochotę odwrócić się i uciec, żeby tego nie widział, bo to jednak krepujące. Wtedy Nick zawołał mnie łagodnie, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że wyciąga do mnie rękę. Podniósł mnie do góry (a jest ze trzy razy większy ode mnie) i nagle zorientowałem się, że płaczę. Ryczę, szlocham i smarkam jak dziecko — właśnie tak, jak nie chciałem płakać przy budyniowatej pielęgniarce. Zmoczyłem mu cały kołnierz koszuli, którego brzeg odcisnął mi się na czole, a on dźwiga! mnie na rękach, podtrzymując mi głowę, która cała mieściła się w jego dłoni, aż w końcu zabrakło mi łez, tylko klatka piersiowa nadal pracowała jak pompa. Wtedy posłyszałem, że Margaret chrząka znacząco gdzieś w tle. Nick postawił mnie z powrotem, a kiedy moje stopy znalazły się na ziemi, pochylił się tak, że patrzył mi prosto w oczy z tego samego poziomu, i powiedział:

— Będziemy w kontakcie, Feliksie. W razie jakichkolwiek problemów daj mi znać.

W samochodzie Margaret powiedziała do mnie:

— Uważam, że takie popisy przed sąsiadami są niepotrzebne.

Milczałem. Trzymałem rękę na brzegu fotelika Pusi i pozwalałem jej bawić się moimi palcami, zginać je i prostować. Pomimo natłoku innych uczuć uderzyła mnie myśl, że tak musi się pewnie czuć człowiek, gdy jest smutny i przytuli go tato. Prawdziwy tato nie ochroni człowieka przed wszystkim — nie przed pędzącym samochodem i innymi prawdziwymi nieszczęściami, daje jednak poczucie bezpieczeństwa, jest silny i ma dłonie dostatecznie duże, żeby objąć nimi całą głowę.

Chyba gdzieś czytałem, że kiedy przytrafi ci się już najgorsze, przestajesz się bać — bo czego tu się jeszcze bać, gdy najgorsze się stało. Moim zdaniem to nieprawda. To najgorsze mości się, rozpiera w sercu i zaczyna ci przesłaniać wszystko inne.

Mama dziś umarła. To zdanie wypowiem tylko dzisiaj. Potem będę mówił: „mama umarła wczoraj”, „umarła tydzień temu”, „umarła zeszłego lata”, aż w końcu powiem: „Moja mama umarła, kiedy miałem dwanaście lat”. Kształt tego zdania zakorzeni mi się w ustach jak dodatkowy ząb. Pozostanie w nich na zawsze i do końca życia będę sobie ranił o nie język. Zawsze będę starał się wyjaśnić, dlaczego jej przy mnie nie ma. „Moja mama umarła, kiedy miałem dwanaście lat”. Wyobrażam sobie, że jestem dorosłym mężczyzną i mówię to na przykład dziewczynie, którą chcę poślubić. Nie wierzę, żebym zdołał to kiedykolwiek powiedzieć albo choćby pomyśleć bez wielkiego, przesywającego na wylot bólu, takiego, że chce ci się wyć. Dziś bołą oczy, język, nawet łokcie. Ciało mam wypełnione żyłkami i świadomością, że mamy już nie ma.

Kiedy rano przyjechaliśmy do szpitala, szedłem przodem, przed Margaret i Pusią. Pusia miała ochotę biegać po ruchomych schodach, więc Margaret złapała

ją za rękę, wskutek czego Pusia stanowczo usiadła na podłodze i zostały sporo w tyle za mną. Drzwi pokoju mamy były otwarte, ludzie wbiegali i wybiegali, mieli jakiś wielki aparat na wózku, przyczepiali właśnie końcówki przewodów do piersi mamy i ktoś mówił: „Zatrzymanie akcji serca” dokładnie takim samym tonem jak w filmach. Wszyscy tłoczyli się wokół mamy, potem ktoś sięgnął do przełącznika aparatu i elektryczny impuls nieomal uniósł mamę z łóżka. Jej ciało wykonało upiorny konwulsyjny podskok i znów zamarło. Próbowali dalej, ugniatając je i tłukąc. Nałożyli jej jakąś inną maskę, wszyscy mówili naraz, gorączkowo przerzucali się słowami, aż w końcu ten główny lekarz powiedział coś cicho — nie wiem, jak go usłyszeli w tym zamieszaniu — i nagle znieruchomieli. Pielęgniarka odłączyła przewody i wywiozła ten duży aparat na korytarz, a tamci zaczęli zdejmować wszystkie kable i rurki, tak że w końcu zostało tylko ciało mamy w szpitalnej koszuli. Pomarańczowe i zielone linie na ekranach zgasły, została jedynie maleńka biała kropka w samym środku, niczym odległa gwiazda.

Nie byłem w stanie wyjąć rąk z kieszeni. Nogi miałem jak przyklejone do podłogi. Gdyby moje zdrętwiałe wargi były zdolne do ruchu, może zapytałbym, co się stało, choć wcale nie musiałem pytać. Wiedziałem, że byłem właśnie świadkiem śmierci mamy. I nie była to lekka śmierć. Powinienem był siedzieć koło niej na łóżku, trzymać ją za rękę, tulić — wcale bym jej nie zaszkodził, skoro i tak miała umrzeć. Zamiast tego umierała w hałasie, bieganinie i tych koszmarnych skurczach. Najpierw samochód, potem elektrowstrząsy — ile musiało znieść to jej drobne ciało!

Kiedy Margaret zbliżyła się do drzwi, pielęgniarka szybko odprowadziła ją na bok. O mnie chyba wszyscy zapomnieli; stałem tak cicho i nieruchomo, że nie rzucałem się w oczy na tle zasłony okiennej. Mama miała

na ciele czerwone ślady po przylepcu mocującym wcześniej przewody i rurki. Siniec w kąciku ust zobaczyłem, dopiero kiedy wychyliłem się w lewo. W zgięciu przedramienia, z którego wyjęto igłę, pozostała mała plamka krwi.

Położyłem się obok mamy. Zdaje się, że budynio-wata pielęgniarka mnie spostrzegła i prędko odwróciła wzrok. Wtuliłem twarz w szyję mamy za uchem. Chciałem znaleźć jakiś kawałek skóry, który wciąż pachniałby nią, nie szpitalem, lekami czy środkami odkażającymi, lecz jej prawdziwy zapach dawno został zmyty. Ręka wydawała się pusta bez srebrnych bransoletek. Ich pobrzękiwanie było jednym z moich najwcześniejszych wspomnień, podobnie jak dźwięk tybetańskich dzwonek, kiedy mama ćwiczyła asany. Aparatura była wyłączona i bez jej popiskiwania w pokoju panowała głucha cisza.

Nie wiem, dokąd odeszła i jak mam sobie wyobrażać miejsce, w którym teraz jest. Nigdy dobrze nie rozumiałem, na czym polega niebo. Zastanawiam się, czy życie mamy dobiegło końca, kiedy uderzył ją samochód w Londynie, czy wysączyło się z niej, atom po atomie, w tej szpitalnej sali (przez osmozę, o której uczyłem się na biologii). Miała w sobie mnóstwo życia, wiem o tym doskonale, a teraz go nie ma, znikło. To tak jakbyś usiłował utrzymać wodę w splecionych dłoniach — po chwili już jej nie ma, a palce nie są nawet bardzo mokre.

Potem weszły Margaret i Pusia. Pusia od razu rzuciła się do łóżka, bo zobaczyła, że ja w nim leżę. Była z nimi jakaś ciemnowłosa kobieta. Usiadłem i zobaczyłem, że poduszka jest całkiem mokra. Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, że płaczę. Nie wiem nawet, jak długo to trwało.

— Mam na imię Sara — powiedziała ciemnowłosa kobieta. — Jestem szpitalnym psychologiem. Ogromnie ci współczuję z powodu mamy.

A ja pomyślałem: „Teraz będę musiał na dodatek znieść ich litość”.

Jedyne co jej powiedziałem — ostatecznie dlaczego miałbym cokolwiek mówić obcej osobie? — to że chcę tej nocy spać w naszym domu. Wymusiła na Margaret zgodę, chyba wzięła ją przez zaskoczenie. Pusia i ja spaliśmy w łóżku mamy, które wciąż trochę nią pachniało, a jeszcze rozłożyłem na poduszce jej piżamę. Kiedy posłyszałem, że Margaret już chrapie (nocowała u mnie i pod moją kołdrą wyglądała jak wielka łódź zacumowana na zimę), zapaliłem jedną ze świeczek mamy, tak zrozpaczony, że nie mogłem nawet płakać, bo to niewątpliwie była najgorsza noc w moim życiu. Nakryłem siebie i Pusię z głową, tak że znaleźliśmy się w jaskini z kołder i narzut uszytych przez mamę i (choć wiedziałem, że jutro nie będę już mógł udawać, rzeczywistość mnie zmusi, bym spojrzał jej prosto w oczy) przez jedną króciutką chwilę miałem uczucie, że wciąż jesteśmy we troje, mama zeszła tylko na dół po coś do picia, a nie odeszła na zawsze.

Pogrzeb będzie za trzy dni. Jeszcze wcześniej musimy się z kimś spotkać, bo — jak mówi Margaret — trzeba podjąć pewne decyzje. Porzuciła ugrzeczniiony ton, którego używała w szpitalu; teraz przemawia do mnie tak, jakby czytała mi instrukcje. Jest bardzo zaaferowana. Powiesiła na lodówce listę spraw do załatwienia.

Znów jesteśmy u niej; twierdzi, że pobyt w naszym domu to dla niej męka i że musi być u siebie, by wszystko przyzwoicie zorganizować. Chce, żeby pogrzeb był „tradycyjny”, i już rozmawiała na ten temat z proboszczem. Znalazłem w torebce mamy jej telefon komórkowy i zadzwoniłem do Zoe i Phoebe. Powiedziałem im, że muszą się skontaktować z Margaret i urządzić pogrzeb tak, jak chciałaby mama. Nie znam się na po-

grzebach, nigdy na żadnym nie byłem, ale skoro mama i Margaret mają tak odmienny gust w kwestii mebli, to założę się, że różni się on także co do pogrzebów. Przyjaciółki mamy lepiej ode mnie będą wiedziały, jak powinien wyglądać. Kiedy rozmawiałem z Zoe, spytała: „Trzymasz się, kocie?“, a ja miałem ochotę odpowiedzieć „Z trudem“, tylko że takich rzeczy na ogół nie mówi się ludziom. Byłoby jej przykro, gdyby usłyszała, że jestem w rozpaczliwej czarnej jamie i nie wiem, czy kiedykolwiek z niej wyjdę. Pusia bez przerwy pyta o mamę. Brakuje mi już konceptu, jak jej to wytłumaczyć.

Dziwnie się czułem z telefonem mamy w ręku. Dzwoniłem na jej numer z telefonu Margaret, żeby posłuchać nagrania poczty głosowej. „Cześć, tu Evie, zostaw wiadomość“. Nie wiem, co mam zrobić z tym telefonem. Pewnie wkrótce wygaśnie abonament albo Margaret wypowie umowę i tak się to skończy. Na razie dzwonię, żeby posłuchać głosu mamy, i wyobrażam sobie, że jest gdzieś, gdzie mógłbym z nią porozmawiać. „Zostaw wiadomość“. Kusi mnie, żeby to zrobić, ale milczę.

Spotkanie ma się odbyć w dużym urzędzie w centrum miasta. Margaret kazała mi włożyć zapinaną koszulę, a James wypastował nam buty. Rzadko noszę skórzane buty, no chyba że do szkoły, więc już to jest nienormalne. Szybko zdaję sobie sprawę, że budynek należy do jakichś służb socjalnych — są tu strzałki wskazujące drogę bezrobotnym i tym, którzy pobierają zasiłki. W recepcji ziewa kobieta, od której bierze się niebieską kartę parkingową uprawniającą do pozostawienia samochodu w jednej z zatoczek pod pasażem handlowym. Idziemy za strzałkami z napisem „Centrum Pomocy Rodzinie“ i dwadzieścia minut później siedzę z Jamesem i Margaret w biurze młodej kobiety o imieniu Vicky. Pusia dostała klocki i bawi się nimi

na podłodze. Podejrzewam, że musi tu być razem z nami, żeby Vicky mogła się jej przyjrzeć, bo chyba nie każą jej robić nic szczególnego. Zastanawiam się, czego oczekują ode mnie.

Vicky wygląda na lekko skrepowaną. Raz po raz zakłada za uszy długie proste brązowe włosy. Nie potrafię powiedzieć, czy jest zaziębiona, czy odchrząkuje z nerwów. Margaret ma na sobie to ubranie, w którym chodzi do pracy, a w ręku cienką skórzaną aktówkę pełną jakichś formularzy. Rano czytała książeczkę do nabożeństwa i w samochodzie nuciła hymny. Siedzi na brzeżku krzesła wyprostowana, jakby połknęła kij. Gdyby premiowano gotowość do skoku, jak nic zajęłaby pierwsze miejsce. Może Vicky to wyczuwa; siedzi odchyłona w tył i wyraźnie się garbi.

Vicky zwraca się najpierw do mnie, co mnie o tyle dziwi, że wciąż czuję się niewidzialny. Oczy mam jak ze szkła, tyle się napłakałem w nocy — a na dodatek nic w nich nie wygląda tak, jak powinno, w każdym razie dla mnie. Obracam głowę, żeby spojrzeć na Vicky, ona chrząka raz, potem drugi i mówi:

— Przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia, Feliksie. Spotkaliśmy się dzisiaj, żeby omówić kwestie dotyczące waszej przyszłości. Rozumiesz, że to konieczne?

Nagle dociera do mnie, że to prawda. Dotąd jakoś o tym nie myślałem. Nieoczekiwanie widzę w sobie postać z powieści Dickensa. Wychodzi na to, że jestem sierotą. Mam dość rozumu, by wiedzieć, że mój tato nie przybędzie po mnie w podskokach, a ojciec Pusi to w ogóle jedna wielka tajemnica — tylko mama wiedziała, kim był. Teraz nikt się już tego nie dowie. W praktyce zatem oboje jesteśmy sierotami. Ta myśl jest nowa i na tyle szokująca, że przestaję uważnie słuchać, co mówi Vicky. Myślę sobie, że gdyby to były czasy wiktoriańskie (pisałem o nich referat w zeszłym roku),

trafilibyśmy z Pusią do przytułku, gdzie musielibyśmy pracować — na przykład rozplatać konopne liny albo coś w tym rodzaju — i jedlibyśmy tylko kaszę. Jeszcze niedawno taki scenariusz byłby tylko zabawnym ćwiczeniem wyobraźni, teraz płynące z niego ostrzeżenie sprawia, że nerwowo poprawiam się na krześle. Jestem zły na siebie, bo myślę o linach i kaszy, kiedy powinienem się skoncentrować. W głowie mam rozbełtaną sieczkę, a mózg może mi być potrzebny. Vicky mówi:

— Próbowaliśmy odnaleźć twojego biologicznego ojca, ale nie udało się ustalić jego adresu ani żadnych danych kontaktowych. Wedle tego co mówią znajomi twojej mamy, przed pięcioma lub sześcioma laty wyjechał z Wielkiej Brytanii. Czy orientujesz się, gdzie może przebywać?

Odpowiadam, że kontakt z moim ojcem urwał się, kiedy miałem rok, i że nigdy nie starał się ze mną spotkać. Nie wiem także, kto może być ojcem Pusi. Nie odwiedzał nas nawet wtedy, kiedy mama była w ciąży. (Gdy to mówię, Margaret robi taką minę jak te kamienne ryby w fontannie. Przez chwilę wygląda, jakby miała zwymiotować coś niedobrego, cienkiego i owalnego o smaku zgniłych liści).

— Wedle moich informacji — wtrąca, trzymając przed sobą arkusz papieru jak rapier — wedle moich informacji, jeśli drugi rodzic jest nieosiągalny, opieka nad dziećmi przypada najbliższym krewnym. Przysposobienie, tak się to chyba nazywa?

Mija chwila, nim pojmuję, o co chodzi Margaret. Przywykłem o niej myśleć jako o siostrze mamy, a nie o naszej ciotce, czyli kimś, kto jest z nami spokrewniony.

— Nie od razu — odpowiada Vicky. — Ustawa przewiduje najpierw status czasowego opiekuna lub rodziny zastępczej. Krótko mówiąc, musi minąć okres próbny, zanim może dojść do formalnej adopcji.

Patrzę na swoje wypolerowane buty (trzeba przyznać, że James odwalił kawał dobrej roboty, można się w nich praktycznie przejrzeć). Poruszam stopą z lewa na prawo i widzę własne zniekształcone przez krzywiznę odbicie. Widzę nawet czerwoną szafę, która stoi za mną, może zresztą tylko ją sobie wyobrażam. Słowo „adopcja” pada nagle na środek pokoju niczym grom z jasnego nieba.

Jestem przerażony. Najpierw tylko przerażony, a już w następnej chwili wściekły na siebie. Dlaczego tego nie przewidziałem? Pograżony w żalu po mamie nie dosłyszałem, że za moimi plecami skrzypią drzwi, które zaraz się zatrzasną. A zadowolona z siebie Margaret już wkłada klucz do zamka.

Moim pierwszym odruchem było zerwać się z miejsca, złapać Pusię i nawiać, wrzeszcząc „Nieee!!!!”, ale to nie byłby dobry pomysł. W mojej sytuacji każdą gwałtowniejszą reakcją opatrzą etykietą nadmiernie emocjonalnej, bo w końcu całkiem niedawno straciłem matkę. Drugim odruchem było powiedzenie: „Przecież ona nas nie lubi”, bo taka jest prawda, tyle że to też by nic nie dało. Margaret potrafi czarować słowami; widziałem w szpitalu, jak prędko przeciąga ludzi na swoją stronę.

Wybrałem trzecią opcję. Siedziałem bez słowa porażony odkryciem, że najgorsze nie chroni przed jeszcze gorszym. W obliczu tej wiedzy zachciało mi się płakać. Zrozumiałem, że jesteśmy z Pusią całkiem bezbronni. Kto inny zechciałby nas przygarnąć?

Zaczynam płakać, choć wiem, że to żalosne i bezużyteczne. Muszę się zatroszczyć o to, co się z nami stanie, a łzy w niczym mi nie pomogą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nick siedzi w ogrodowej szopie na przewróconej do góry dnem skrzynce po jabłkach. Rozstawił stopy, łokcie oparł na kolanach. Kątem oka widzi na skrzynce wybitą czarnymi literami nazwę plantacji. Jego dłonie zwieszają się beczynnie. Przyszedł tu pod pretekstem przesadzenia bulw dalii, ale ręce spoczywają w bezruchu niczym blade meduzy wyrzucone na plażę.

Jakże łatwo dostrzec w tym pewien gorzki symbol. Wiedział, jeszcze przed tym wypadkiem wiedział, że okazje, gdy można własnymi rękami coś uratować, czemuś zapobiec, trafiają się w życiu bardzo rzadko. Zdarza się, że ktoś wyciągnie tonącego z rzeki albo gorączkowo odgarniając gruz, wydobędzie ofiarę z ruin budynku. Widywał takie sceny w telewizyjnych wiadomościach: energicznie wyciągnięta dłoń narusza granicę między życiem a śmiercią. W większości przypadków jednak do tragedii dochodzi gdzie indziej; ty w tym czasie używasz rąk, by pogłościć iPoda, nastawić zegarek albo włączyć kierunkowskaz przed skrętem w lewo.

Wypadek i śmierć Evie uświadomiły mu, że jest bezsilny. Butne męskie plany, że będzie ją chronił, że będzie się opiekował całą trójką — na cóż się zdały? Jaki pożytek z sentymentalnych rojeń, skoro i tak nic nie był w stanie zrobić?

Wielkie okrągłe Izy kapią na koszulę, na skrzynkę po jabłkach, pieką pod powiekami. Nick płacze po Evie — łagodnej Evie o szczupłutkiej zwinnej postaci i sarkastycznym uśmiechu. Płacze nad Felixem, szarżującym na krykietową bramkę niczym mały ciemny byczek, i nad Pusią o bosych stopkach i rozwichrzonych włoskach. Z palącym skrywanym wstydem płacze także nad sobą, jakby i on miał udział w ich tragedii.

To wszystko, cała ta plątanina uczuć rodzi w nim poczucie, że w którymś momencie życia zszedł z właściwej drogi, skręcił w złym kierunku. Czuje się jak w komorze sprężania; tlen jest gęsty i ciężko nim oddychać, a powierzchnie gałek ocznych wydają się widoczne, nałożone na postrzegany obraz. Szczęście — teraz to rozumie — może się niedostrzegalnie ulotnić; to co zostaje, jest płaskie, zwiedłe i krzywe. Chciałby podzielić się z Jane tym, co czuje, i nie może; słowa tkwią mu w gardle jak ciernie, a co gorsza pod nimi, tuż nad splotem słonecznym, wije się mały, lecz dokuczliwy robak: wyrzut sumienia.

Zataił przed Jane jeszcze coś, co dziś ma znacznie większą wagę i teraz nie może już tego wyjawić, wywindować na powierzchnię jak wraku z dna morza i od niechcienia zaprezentować przy kolacji: „Byłem pewien, że ci o tym wspomniałem... Musiało mi wylecieć z głowy”. To pierwszy w życiu sekret, jaki ma przed żoną. Ten sekret go niepokoi po części dlatego, że może się stać precedensem. Ponadto Nick uświadamia sobie, że zgrzeszył bezowocnie, nie wykorzystał tego, co uczynił, dla jakiegokolwiek pożytecznego celu. Robak w splocie słonecznym oskarża go podwójnie — o nieszczerłość i o nieudolność.

Wieczorem tego dnia, kiedy Felix rozpląkał się w jego objęciach, Nick pojechał do szpitala odwiedzić Evie. Myśl, żeby to zrobić, nie dawała mu spokoju, gdy wracał z pracy, i sam nie wiedząc kiedy zjechał

z obwodnicy, kierując się znakami. Właściwie zrobił to wcześniej, nim podjął świadomą decyzję. Wyłączył komórkę (ta przezorność przysparzała mu dziś szczególnych wyrzutów sumienia). Kiedy wysiadał na parkingu przed szpitalem, zobaczył Margaret pakującą Felixa i Pusię do samochodu. Cofnął się odruchowo, żeby go nie zauważyli.

W recepcji określił się jako „sąsiad” i „dobry znajomy”, choć te słowa wydały mu się puste, pozbawione treści, podobnie jak „kolega” albo „życzliwy”. Chciał przekazać tej kobiecie, że obchodzi go los Evie, choćby się to miało wydać niestosowne. Po namyśle uznał, że to oczywiście — w przeciwnym wypadku by go tu nie było.

W malutkiej separacie duszne powietrze stoi; Evie jest tak samo jak ono nieruchoma. Nick słyszy stłumiony łoskot bezradnego wentylatora, nieustające popiskiwanie aparatury, widzi migotanie diod na panelach. Ciało Evie wygląda na uszkodzone — nawet jego zarys pod kocem zdradza jakby pewną asymetrię. Przez moment Nick widzi je na macie w ogrodzie, lekkie i sprawne, giętkie, sprężyste i mocne. Przypomina sobie ją, jak zebrawszy w rękach spódnice, Evie przeskoczyła przez pochyłą furtkę do jego ogrodu; na jej bosych opalonych stopach widać było białawe „v” w miejscach, gdzie biegną paski japoniek. Widzi ją z tamtego pierwszego dnia, na szczycie drabiny, z wyciągniętym w bok ramieniem i ciałem wygiętym tak, że wyglądała jak mały biały łabędź. Dłonie w za wielkich rękawicach, śmiech, lecące w dół garście liści.

Ma siniec pod dolną wargą. Nick myśli o wszystkich tych chwilach, gdy zagryzała ją w zadumie. Dziś tamte gesty skupiły się w jednym krwawym wykwiecie tuż pod linią ust.

Nick chrząka. Gdyby ktoś go usłyszał, mógłby to odebrać jako wyraz frustracji lub zniecierpliwienia. Nick jest zły na siebie, czuje to teraz bardzo wyraźnie, ponieważ jego naiwne i zapewne także aroganckie zamiary, by chronić Evie, nie wytrzymały próby czasu i okoliczności. Nie odegrał żadnej roli w jej życiu, w życiu jej rodziny. Nick wini się za to, że osadził sam siebie w wymyślonym rycerskim romansie — w roli, do której nie dorósł, której nie mógł wypełnić. Pozostała mu świadomość, że z zupełnie egoistycznych przyczyn wplątał się w cudze nieszczęście.

Wchodzi pielęgniarzka, mierzy Evie temperaturę i tętno. Podnosi rękę chorej jak widelec ze stołu, myśli Nick. Mimo woli oczekuje, że kobieta powie coś pocieszającego albo filozoficznego, pielęgniarzka jednak milczy. Później Nick zrozumie, że nie chciała mu przeszkadzać, zakłócać jego milczącego sam na sam z chorą. Wtedy w szpitalu uznaje, że po prostu jest zajęta, zmęczona, marzy już o końcu zmiany. W domu czeka rodzina, trzeba zrobić kolację, sprawdzić, czy dzieci odrobiły lekcje i pomyły zęby, potem włożyć pranie do automatu i zrobić przelew za prąd. Dlaczegoż by ta kobieta miała się dzielić swoimi przemyśleniami z milczącym, dobrze ubranym mężczyzną w średnim wieku, który stoi z bezradną i zmieszaną miną, jakby sam był winny tego, co się stało? Dlaczego, myśli Nick, wiedza o bolesnych wielorakich aspektach przypadkowej tragedii, która odbiera matkę dwojgu dzieciom, miałaby w ogóle zrodzić słowa mogące ukoić żal i zgrozę? Stojąc przy łóżku Evie, Nick pojmuje, że takie kataklizmy, takie chwile przygniatającego, zjadliwego, nieskończonego bólu nie dają się uśmierzyć, bo zbyt wiele w nich przeciwieństw. Ranią jak ostre odłamki szkła, tamują ruchy i duszą jak zamykające się nad głową bagno, są zarazem zimne i ciężkie jak stal, i gorące jak płomień lampy lutowniczej. Są wszystkim

naraz, nie istnieje żaden myślowy konstrukt, którym można by się przed tym obronić. Nick pamięta chwilę, gdy jako dziecko dowiedział się o specyficznej budowie płatka śniegu, o wielorakich relacjach całości i części. Tak samo jest z bólem, pomyślał. To zarazem i jedno, i drugie, nie da się go ogarnąć i pokonać. Znowu przyszła mu na myśl gra w nożyczki, papier i kamień — przejrzystsza, bardziej wiarygodna w swojej prostej hierarchii efektywnych działań.

Wychodząc, pielęgniarka przypomina mu, że za pięć minut kończy się czas wizyty. Nick robi dwa kroki do przodu i siada na brzegu łóżka; Evie jest tak szczupła, że zostaje sporo miejsca. Po raz pierwszy znalazł się z nią sam na sam, tak blisko. Czuje przez koc twardą kość biodrową, z rozcięcia szpitalnej koszuli wychyla się obojczyk. Nick bierze w ręce dłonie Evie i opanowuje impuls, by obrysować ją opuszką palca.

Chciałby jej coś obiecać, choć nie wie co. Czując się jak krety, czeka na jakiś znak, wiadomość, co mógłby dla niej zrobić.

W myślach wraca do rozmowy, jednej z ostatnich. Miała miejsce nazajutrz po wizycie tej kobiety, która jak się okazało, była siostrą Evie. Zaszedł do nich pod pretekstem reperacji kija do krykieta. Zrobili to w kuchni, Felix trzymał kij, a Nick owijał końcówkę taśmą izolacyjną. Kątem oka widział Evie nad zlewem; bez słowa metodycznie zmywała naczynia. Zdał sobie sprawę, że pali go pytanie, co zaszło ubiegłego wieczoru w ogrodzie. Nie może go zadać, byłoby bezczelne i wścibskie; zachowałby się jak zazdrosny mąż. Pytanie jednak nie przestaje go dręczyć. Oddając Felixowi kij, wciąż ma je na końcu języka.

Felix wychodzi z kuchni, idzie odnieść kij do swojego pokoju. Nick przestępuje niezgrabnie z nogi na nogę świadom, że musi albo rozpocząć rozmowę, albo wyjść. Evie wyciera rondel, a gdy odkłada pokrywę,

ta dzwoni o blat. Nie znajdując wygodnego pretekstu, Nick zagaja wprost, myśląc: „Jestem idiotą”. Sztucznie nonszalancki ton jego samego razi.

— Widziałem wczoraj w ogrodzie nową twarz — mówi.

— To moja siostra — odpowiada szybko Evie.

— Nie jesteśmy do siebie podobne — dodaje, jak gdyby Nick choć słowem zatracił o kwestię podobieństwa.

— Siostra? — Nick analizuje w duchu masywną energiczną postać, „rozsądne” buty noszone przez panie w średnim wieku, roztaczaną wokół aureę wyższości. — Jesteście ze sobą blisko? — pyta, ponieważ to pytanie wydaje się niewinne i ponieważ, jak uzmysławia sobie chwilę później, Evie nadal wyciera ten sam garnek, co może świadczyć, że jest wytracona z równowagi i myśli o wiele więcej, niż mówi.

— Nie, nie jesteśmy blisko. Prawie się nie widzimy. Bardzo się od siebie różnimy i ona nie potrafi się z tym pogodzić. To nadaje naszym stosunkom posmak konkurencji. Poza tym męczą mnie jej pogadanki.

Nick jest zaskoczony tak obszerną odpowiedzią. Evie nigdy dotąd nie mówiła mu o sobie.

— Nie bardzo rozumiem — bąka, bo rzeczywiście nie rozumie, a równocześnie czuje, że to nie wszystko.

Evie odstawia garnek, już nie tylko wytarty, a wręcz wypolerowany. Macha ręką, jakby odganiała niewidzialną muchę.

— Och, wiesz — mówi — Margaret zawsze wie lepiej ode mnie, jak powinnam żyć. Jak lepiej zorganizować swoje sprawy, więcej osiągnąć. W istocie chciałaby mnie upodobnić do siebie.

— A chciałabyś być bardziej do niej podobna?

— pyta Nick z uśmiechem.

Evie wzdryga się lekko, też się śmieje.

— Nie — mówi stanowczo. — Absolutnie nie. Raz w roku bywamy u niej z wizytą i czuję się tam jak na wywiadówce u bardzo wymagającej nauczycielki.

— Z czym przyszła tym razem? — Nick zdaje sobie sprawę, że posunął się za daleko. Pytanie, które zadał, jest zbyt bezpośrednie, nie zostawia jej żadnej swobody manewru. Evie jest zmieszana, rumieni się nieco i jej ręce zaczynają się krzątać nerwowo wokół zlewu.

— Ach... Tym razem chce, żebym jej coś dała. Coś bardzo osobistego, zbyt osobistego. Coś, czego nie będę już mogła odzyskać. I to coś znajdzie się przez to tam, gdzie za nic nie chciałabym, żeby było. — Evie milknie, przeczesuje dłonią włosy.

Nick patrzy na nią bezradnie. Otrzymał odpowiedź, której nie jest w stanie rozszyfrować.

— Nie mogłabym tego zrobić — ciągnie Evie, jakby mówiła do siebie — skoro nie chciałabym nawet, żeby Felix i Pusia spędzili choć jedną noc pod jej dachem. — Urywa nagle i dodaje innym tonem: — Wybacz. Zalałam cię nadmiarem informacji, zamiast po prostu odpowiedzieć na pytanie, kto był u mnie wczoraj.

Wyżyma myjkę, którą ścierała blat. Jej ręce poruszają się pewnie, są już spokojne. Nick widzi, że rozmowa dobiegła końca. Nadmiar informacji? Śmiechu warte. Jego mózg pracuje na najwyższych obrotach, usiłując odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi. Chce jeszcze coś powiedzieć, ale Evie omija go zręcznie, podchodzi do drzwi kuchni i woła do Pusi, że pora się kąpać. Sposobny moment mija.

— Myślę, że powinnaś zaufać własnemu instynktowi — mówi Nick łagodnie. — Jeśli nie chcesz jej tego dać... cokolwiek by to było, to nie dawaj i już. — Wzrusza ramionami (potem się martwi, że zanadto wszystko spłaszczył i uprościł).

Evie się uśmiecha, lecz pod tym uśmiechem jest spięta, czujna.

— Łatwo powiedzieć — mruczy i porywa na ręce Pusię, która właśnie wbiegła do kuchni.

Stojąc obok szpitalnego łóżka, Nick rozważa raz jeszcze słowo po słowie. Evie była z Margaret w Londynie, kiedy zdarzył się wypadek. Było to mniej więcej tydzień po tamtej rozmowie, a przecież Evie mówiła, że prawie się nie widują. Czy ta wspólna wyprawa miała coś wspólnego z żądaniem Margaret? Już się tego nie dowie, musiałby spytać Margaret, tego zaś zrobić nie może. Gryzie go poczucie, że gdzieś musi być klucz do tajemnicy. Evie mu go nie da, a Margaret z pewnością dać nie zechce. Nikt inny nie wchodzi w grę. Nick patrzy na sufit pokryty szarymi panelami z polistyrenu. W fugach nagromadził się brud. Przez moment się cieszy, że Evie ma zamknięte oczy.

Patrzy na nią znowu, czuje ciężar w sercu i zamęt w głowie. Przychodzi mu na myśl *commedia delFar-te*, w której głupi bohater nie domyśla się tego, co widzi wyraźnie cała publiczność.

Pielęgniarka zagląda przez otwarte drzwi i mówi:

— Przykro mi, czas wizyty się skończył.

Nick pochyla się nad leżącą. Postanawia, że nie pocałuje jej w czoło. Czyniąc tak, potraktowałby ją jak dziecko — albo miałby wrażenie, że udziela jej nاپuszonego, teatralnego błogosławieństwa. Zamiast tego lekko całuje ją w usta. Prawie nie czuje się zażenowany. Ten pocałunek to znak przyjaźni, smutku, rozstania i świadectwo swego rodzaju przymierza. Składa go na wargach Evie, bo nie jest pewien, co jeszcze mógłby zrobić.

Są zaskakująco miękkie i pełne. Nick podnosi się, przelotnie dotykając policzkiem nieruchomych rzęs.

W drodze do domu wścieka się na własną bezsilność. Wchodząc, bąka półgębkiem, że spotkanie się przedłu-

żyło i że musi naładować komórkę. Siadając do kolacji (która wyschła na wiór w piekarniku, acz żadne z nich tego nie komentuje), uświadamia sobie, że ręce wciąż śmierdzą mu antyseptycznym mydłem, którym umył je przed wejściem na oddział (boją się zakażeń gronkow-cem metycylinoodpornym, wyjaśniła mu pielęgniarka). Speszony podaje Jane wino i zastanawia się, czy ona czuje ten przenikliwy zapach na jego skórze. Myśli

O kolegach, którzy wracają do domów, śmierdząc alkoholem, perfumami innych kobiet czy słonym jak morze seksem. Na pozór sumienie powinien mieć czyste, a jednak pod mostkiem zaczyna się wiercić mały robak niepokoju. Właściwie nawet nie okłamał żony, tyle że nie powiedział jej prawdy. Pocałował inną kobietę, lecz w sposób jego zdaniem zupełnie platoniczny. Nie zdradził Jane uczynkiem ani słowem. W milczeniu towarzyszył Evie na krótkim, bardzo krótkim odcinku końcowego etapu jej drogi. Czy powinien się o to obwiniać?

Słucha o tym, jak nieznośna była tego dnia Vera, a w rzeczywistości myśli o Margaret, o jej narzucającym się poczuciu wyższości i zadowoleniu z siebie, które spowijają jej pierś jak twardy pancerz.

Teraz siedzi w szopie. Dacie leżą nietknięte w korytku, w którym spędziły zimę. Pogrzeb Evie odbył się w zeszłym tygodniu, w czerwcowy dzień tak piękny, że zdawał się negować możliwość istnienia świata, w którym śmierć i ból miałyby rację bytu. Nieskazitelnie czyste niebo rozpinało się nad głowami jak błękitna markiza, a rano, kiedy Nick wyszedł do ogrodu, powitał go śpiew ptaków i aromat róż unoszący się już w ciepłym wietrze.

Przyjaciółki Evie udekorowały kaplicę kwiatami i masą zielonego listowia. Nick czuł się jak w palmiarni, nie w kościele. Słoneczne światło wlewające się przez

okna zdawało się zabarwione miękką gładką zielenią, a kiedy modląc się, przymknął oczy, zdało mu się, że ma przed sobą migoczącą toń morza.

Koło ołtarza umieszczono dwa duże zdjęcia. Jedno pochodziło z Maroka: Evie na osle, uniesioną ręką przytrzymuje na głowie duży słomkowy kapelusz i ze śmiechem mówi coś do osoby, która trzyma aparat. Bose stopy przyciska do grubej derki służącej za siodło. Osioł wywinął wargi, pokazując długie, rzadko rozstawione zęby. W tle obłożona mozaiką fontanna i niskie drzewko granatu. Na drugim zdjęciu Evie z Felixem i Pusią siedzą razem na łące nad rzeką — Pusia na kolanach matki, Felix tuż obok, z głową lekko opartą o jej ramię. Platanina kończyn, wyłożona letnim słońcem grupa Laokoona. Dopiero na drugi rzut oka widać, że trzymają się za ręce i wszyscy spokojnie patrzą w obiektyw. Wyglądają na nierozzerwalnie ze sobą zrośniętych, myśli Nick w czasie pierwszego hymnu i z trudem odwraca głowę, żeby spojrzeć na dzieci siedzące sztywno z ciotką w pierwszej ławce.

Wystrojona nie do poznania Pusia ma na sobie granatową sukienkę z okrągłym białym kołnierzykiem i biegnącym przez przodzik elastycznym haftem z zielonych wisienek. Wioski spięte spinką z emaliowaną biedronką. Na nogach patentowe buciki z szerokim zaokrąglonym noskiem, zapinane miast klamerki na skórzany guziczek. Kiedy Pusia nie skubie haftu, bawi się tym guziczkiem. Nick przypomina sobie bosc stopki tkwiące teraz w śnieżnobiałych skarpetkach. Margaret próbuje uspokoić dziewczynkę, raz po raz układa jej ręce na kolanach.

Felix ma na sobie koszulę, krawat i granatowy blezer. Nie dotyka ubrania. Siedzi zupełnie nieruchomo ze wzrokiem wbitym przed siebie. Nick widzi, że spojrzenie chłopca przesuwają się po zdjęciach, mała żyłka pulsuje intensywnie tuż nad żuchwą, jakby musiał mocno

zaciskać szczęki, żeby się nie rozpłakać, nie pozwolić nawet, by zadrżały mu usta. Nick odwraca wzrok.

Program mszy zatytułowany jest po prostu „Posługa dla Evie” i Nick czuje swoistą ulgę. Brak słowa „pogrzeb” w jakiś sposób utrzymuje dystans między Evie a śmiercią. Z kolei często używane pochodne „dziękczynienia” sugerowałyby, że życie Evie zostało przeżyte w całości, zakończone, gotowe, by podziękować za nie Istocie Wyższej. W zielonym świetle, wśród tkliwych ciepłych słów padających z ust przyjaciół i znajomych Evie łatwo sobie wyobrazić, że ona sama wciąż tu jest, że nie została wyrwana ze świata uderzeniem zderzaka.

Nick boi się, że zacznie płakać. Jane stoi obok, poważna, trochę spięta — na czas pogrzebu zostawiła Verę pod opieką pielęgniarki środowiskowej. Nie spodziewa się po nim łez; Nick nie jest — a właściwie dotąd nie był — do nich skłonny. Jane będzie zaskoczona, zacznie się zastanawiać. Siadają i Nick nagle czuje się znużony. Czuje ciężar mnóstwa nagromadzonych spraw, odczuwanych, a nie wypowiedzianych. Zagradzają mu drogę — ułożone na ziemi misterne mozaikowe mandale, które trzeba ostrożnie obchodzić. Próbuje sobie przypomnieć, kiedy to się zaczęło, wraca myślami do Very, do chwili, kiedy Evie wprowadziła się do sąsiedniego domu, przebiega w pamięci minioną wiosnę. Uświadamia sobie naraz, że przestał być pewien swoich myśli i sądów.

Margaret niecierpliwie rzuca głową. Pasowałaby do uzdy, myśli Nick. Wyczuwa jej zniecierpliwienie, kiedy słucha wiersza odczytywanego przez jedną ze znajomych Evie. Na twarzy Margaret maluje się wyraz, który śmiało można nazwać pogardą. Na koniec nabożeństwa, kiedy w ślad za trumną wychodzą na cmentarz, chwyta dzieci za ręce i zmusza je, żeby szły w tym samym miarowym rytmie. Felix zerka na nią raz, spod oka, z taką miną, jakby chciał ją ugryźć.

Kiedy po pogrzebie idą w stronę domu, Jane mówi: — Nie ma sposobu, żeby zaakceptować nagłą śmierć, nadać jej strawną formę. Nigdy nie przychodzi na myśl odpoczynku, jak naturalny koniec dobrze przeżytego życia. Raczej kanciasty nagrobek, którego nie mają się porosty i zawsze wystaje z tła. — Potem nieoczekiwanie dodaje: — Siostra jest zupełnie do niej niepodobna. Apodyktyczna, zdecydowanie apodyktyczna. To zabawne, jak niektóre kobiety niosą przed sobą swoje ego niczym tacę zastawioną filiżankami.

Nick się uśmiecha. Zawsze cenił jej zdolność dotarcia do samego sedna rzeczy. Całuje żonę w policzek. Wciąż tak samo ją kocha. Jego problem polega na czym innym.

Zmienia krawat i jedzie do pracy. Na M25 stoi korku i bębni palcami po kierownicy, na przemian włączając i wyłączając radio, i zmieniając listy odtwarzania na iPodzie, bo nie może znaleźć muzyki, której miałby ochotę słuchać. Jest smutny, rozbity, zły na siebie, czuje bowiem, że powinien mieć jakiś plan, a tymczasem się miota; złożył obietnicę pozbawioną treści, lecz dotąd gromadzi tylko sekrety, gładkie i zamknięte w sobie jak garść kamyków.

Tydzień później, kiedy zły humor przechodzi w stan chroniczny jak zgaga, odbiera wiadomość tekstową z telefonu o nieznanym mu numerze. Jest na zebraniu w pracy, zebranie jest ważne, opiera się więc pokusie, by bez zwłoki odczytać SMS. Najpierw konkluzje, wytyczne, uprzejmości i mniej lub bardziej zawołowane wyrazy samozadowolenia, które — jak zauważa — w coraz większym stopniu dominują jego zawodowe dialogi. Wreszcie pracownica pionu gospodarczego wchodzi do sali i w milczeniu sprząta kubki po kawie, zużyte serwetki i resztki niedojedzonego sushi. Nick wyjmuje telefon. Wiadomość nadał Felix, jest krótka

i niemal boleśnie lakoniczna, choć chłopak długo się musiał gryźć, nim ją wysłał.

Ona chce nas adoptować. Proszę, pomóż. Nie znam nikogo innego.

Nick chowa telefon i siada, obejmując rękami głowę.

Idee, myśli później, rodzą się na poziomie cielesnym, biologicznym. Z drobnego fizycznego impulsu, który zaczyna się głęboko w szpiku kostnym albo trzewiach. Z popędu w kierunku dobra wzbierającego stopniowo niczym przyływ. Nick wraca do swojego gabinetu, nie po to, żeby napisać opinię o celowości uruchomienia ogólnoeuropejskiej kampanii reklamowej omawianego wcześniej produktu. Szpera w Google'u, usiłując znaleźć drogę w labiryncie miejscowego Ośrodka Pomocy Społecznej.

Vera nie lubi środka nocy. Nie lubiła tej pory w młodości, kiedy żal i złość często nie dawały jej zasnąć, i nie lubi jej teraz, gdy nie zawsze jest pewna, czy śpi, czy jest przytomna. Wspomnienia, majaki i rzeczywistość zderzają się ze sobą, zazębiają i przenikają, a jej umysł miota się pomiędzy nimi, tracąc resztki orientacji. Środek nocy na zawsze zachował cechę, jaką miał w dzieciństwie Very, kiedy czuła się bardzo samotna, wydana na pastwę cieni.

Minęło dziesięć dni od pogrzebu Evie, o którym Vera nie wie. Ma tylko mglistą świadomość, że któregoś niesprecyzowanego dnia, niedawno, wizytująca pielęgniarka siedziała u niej znacznie dłużej niż zwykle. Przy tej okazji Vera po raz pierwszy spostrzegła, że kobieta ma wąsik, a jeden długi włos sterczy jej z wargi po lewej stronie. Myślała o nim później, twarz kobiety krążyła pod jej zamkniętymi powiekami, a włos rósł i pęczniał, aż zaczął wyglądać jak nadliczbowy ząb. Vera bawi się myślą, że przy następnej wizycie wskaże

włos, dziabnie tamtą w twarz kościstym palcem i powie: „Niechże pani weźmie pęsetę i wyrwie to świństwo!”.

Powtarza to sobie w duchu jeszcze raz, dla pamięci, kiedy atmosfera w pokoju nagle się zmienia. Zaczyna się od fali upału, gęstego i włóknistego jak pasma wełny, tak że każdy wdech staje się niepewny i trudny do wykonania, kłębi się i klei w tchawicy, zaczepiając o jej występy i krzywizny. Powietrze, które udaje jej się wciągnąć, jest gorące i szorstkie, jakby nawiane znad rozgrzanej piaszczystej pustyni. To czerwone powietrze, czerwone powietrze, które parzy płuca. Coś, co przypomina gigantyczną dłoń, uciska pierś Very; tłuste nabrzmiałe palce wciskają się między żebra. Chciałaby zawołać — może być pewna, że Jane przybiegnie natychmiast, boso, naciągając w pośpiechu szlafrok — ale słowa nie chcą się wydostać na zewnątrz. Obrzmiały język leży nieruchomo w ustach, połyskujący i martwy jak ogon wołowy na ladzie u rzeźnika. Vera próbuje jeszcze raz i znów nic się nie dzieje, nie wydaje głosu, tylko ciche mlaśnięcie, kiedy koniec języka uderza o zęby. Straciła mowę; w zamian za to słyszy swój wysilony oddech, głośnie chrzęszczące hausty powietrza, które usiłuje pochwycić w wyschnięte usta i pełną piasku krtań. Kątem oka widzi własne ramiona i ręce. Jedna wyciąga się w górę, druga orze piersi na wysokości mostka, jakby chciała wydrapać dodatkowy otwór, przez który do płuc wpłynie powietrze. W przeciwległym końcu łóżka Vera widzi jedną ze swoich stóp. Jest upiornie biała, góruje nad kołdrą jak wyblakły szpon kruczy. Stopa wierzga i kołdra zsuwa się na podłogę. Teraz Vera widzi brzuch, uda, koszulę zadartą po pępek. Przelotnie uświadamia sobie, że nie ma w głowie ani jednej myśli; całą jaźń pochłonęło kurczowe spazmatyczne rzeżenie. Mózg obija się bezsilnie o ściany czaszki. Grdyka zdaje się wielkim obranym jajkiem. Serce nagle łomocze, rzuca się, wzdryga i dzwoni, rezonans tej walki rozchodzi

się wzdłuż tętnic i żył. Vera jeszcze raz usiłuje wołać. Gdybyż tylko mogła się podnieść, zrzucić ten ciężar z piersi. Wzrok ją zawodzi. Pokój pstrzą coraz gęstsze plamy czerni. Próbuje usiąść. Jej ciało się osuwa, stopa uderza głucho o podłogę.

Jane budzi się ze zdumieniem. Nie do wiary: chyba tym razem zbudziła się sama, nic nie wyrwało jej ze snu. Od miesiący co rano ściągało ją z łóżka wołanie matki. Obok śpi Nick; przez zasłony wpada smuga słonecznego światła, rysując jasną linię na dywanie. Na dworze z całego serca śpiewa ptak. Pewnie kos, myśli Jane, choć nie dałaby za to głowy. Siada i spuszcza nogi z łóżka. Unosi wysoko ręce, mając prześmieszne wrażenie, że jej pachy otwierają się szeroko na przyjęcie poranka. Porusza stopami, przyglądając się niebieskawym żyłkom biegnącym wzdłuż ich wysklepienia. Ziewa. Własne usta wydają się jej pełne i wypoczęte. Jane myśli z rozbawieniem, że gdyby mogła je teraz zobaczyć, byłyby pewnie w środku różowe jak koci pyszczek. Zrobi sobie dziś owocowe śniadanie, może przetnie na pół grejpfruta i zje go w ogrodzie. Ale najpierw kawa; kawa w ulubionym kubku w grochy. Jane sięga po przerzucony w nogach łóżka seledynowy sweterek (jego barwa niezmiennie przywodzi jej na myśl widziane kiedyś jaja kaczki krzyżówki), wsuwa ręce w rękawy, rozkoszując się ich miękkością, i wychodzi z pokoju. Stąpa po schodach cicho, ostrożnie, żeby nie obudzić matki. Śniadanie w ogrodzie to rzadka przyjemność. Potem zajmie się Verą i poda jej owsiankę.

Drzwi do pokoju Very są uchylone, jak zwykle. Jane wyciąga szyję, żeby zajrzeć przez szparę. Spodziewa się usłyszeć chrapanie, zobaczyć unoszącą się i opadającą pod kołdrą pierś. Widzi sztywne ciało zwisające z łóżka, otwarte usta i dłoń zaciśniętą na koszuli pod szyją.

Pierwszy odruch: zawołać Nicka. Jej głos jest tak nagły, tak przenikliwy, że Nick budzi się natychmiast i nim jeszcze dobrze otworzył oczy, już jest w połowie schodów. Znajduje Jane obok łóżka Very, obok martwego ciała, które jest zimne i już zaczyna sztywnieć. Otwarte oczy patrzą na sufit, jakby starały się go przeniknąć albo szukały w nim natchnienia. Nick dotyka delikatnie ramienia Jane.

— Zadzwonię po lekarza. Wiem, że już nic nie robi — dodaje cicho. — Będzie nam potrzebne świadectwo zgonu i transport do domu pogrzebowego.

W drodze do telefonu myśli, jak oczywista jest śmierć, jak butnie i jaskrawo się manifestuje w ciele teściowej. Dzwoni na pogotowie. Ciekawe, kto się tym zajmował w przypadku Evie, myśli. Czy automatycznie zadziałały szpitalne procedury, czy też Margaret siedziała przy telefonie, tonem nie znoszącym sprzeciwu podawała instrukcje dla zakładu pogrzebowego i podejmowała decyzje, jak należy przygotować ciało.

Kiedy wraca do pokoju, Jane siedzi na brzegu łóżka. Nie płacze, co go trochę dziwi. Dłonie, zupełnie nieruchome, trzyma na kolanach.

— Tak mi przykro — mówi Nick, czując, że powinien podejść, objąć żonę, nie może się jednak przemóc: martwe odrażające ciało Very jest za blisko. Pokój nagle wydaje mu się torem przeszkód pełnym załamów, kątów i czyichś kończyn. Odległość, która dzieli go od Jane, staje się ogromna, nie do przebycia. — Jak ty się czujesz? — pyta.

Pytanie jest niezgrabne, lecz przynajmniej nie śmierdzi z dala banałem. Trudno mu nie myśleć, że sytuacja w cudowny sposób sama się rozwiązała, rzecz jasna nie dla wszystkich, ale w tej sferze, która najbardziej go zajmuje.

— W porządku — odpowiada Jane i po chwili powtarza jeszcze raz: — W porządku.

Jej głos brzmi, jakby dobiegał z bardzo daleka. Ton jest inny niż zwykle, ostrzejszy, a równocześnie bardziej roztargniony. Jane nagle wstaje i zaczyna porządkować pokój: zaciąga zasłony, wyrównuje kołdrę, podnosi pusty kubek po kakao, które zrobiła matce ubiegłego wieczoru.

— Umarła — mówi. Nick wyczuwa, że nie kieruje tych słów do niego. — Nie ma jej.

Nick wciąż podświadomie czeka, aż Jane zacznie płakać, jednakże oczy jego żony są suche.

Ranek w dniu kremacji jest równie piękny jak dzień pogrzebu Evie. Ma się wrażenie, że czerwiec jest na fali, w natchnieniu tworzy jeden ideał za drugim. Ubierając się w czarny garnitur, Nick dostrzegł w owej meteorologicznej perfekcji kolejny dowód na to, że życie ma za nic nasze uczucia. Nazbyt często uczłowiczamy świat fizyczny, przypisując mu wrażliwość, podczas gdy w rzeczywistości trwa on sobie niezależnie od nas, nie dbając o przyzwoitość czy elementarny szacunek. Pogrzeby, myśli Nick, powinny się odbywać pod szarym ołowianym niebem, gdy nawisie chmury grożą buntem, a duchota wzmagą napięcie.

Jane wciąż jest spokojna, nieskończenie spokojna, zauważa mimochodem Nick. Jej nastrój nie uległ żadnej większej zmianie, odkąd pięć dni temu znalazła rankiem ciało Very. Nie mówiła wiele; zajęła się rzeczowo formalnościami związanymi z pogrzebem. Nick mimo woli co i raz na nią zerka, starając się nie robić tego zbyt obcesowo. Przygląda się żonie, mrużąc oczy, jak botanik, który się stara sklasyfikować rzadki kwiat.

Jane siedzi na ławce w krematorium. Po prawej stronie ma Nicka, za plecami pielęgniarkę, która przychodziła do Very, a jeszcze dalej z tyłu siedzi jakaś dawna sąsiadka, którą Jane z trudem sobie przypomina.

Wyczuwa, że oddawanie ostatnich posług jest dla tej kobiety czymś w rodzaju hobby. Sąsiadka wydaje się zaskoczona, że w kaplicy są tylko cztery osoby i że po uroczystości nie przewidziano poczęstunku.

Jane zrezygnowała z hymnów. Czuła się zażenowana na samą myśl, że będą je śpiewać trzy albo cztery glosy, popiskując fałszywie. Wybrała modlitwy oraz krótki, neutralny motyw muzyczny odtwarzany z płyty. Słucha go teraz i czuje, że ogarnia ją ulga (przyznałaby to przed całym światem, gdyby miała dość odwagi). Ulga, że nie musi już pakować jedzenia do bezkrwistych ust Very; ulga, że nie musi wycierać tłustego białego zadka. Ulga, że nie musi już na nią patrzeć. Za każdym spojrzeniem ożywały wspomnienia małościwej złośliwości, która okaleczyła jej dzieciństwo, i doprowadzonej do maestrii pogardy, która zdominowała jej dorosłe życie. Dziś Jane czuje się tak słodko jak owego beztroskiego poranka, zanim znalazła ciało. Najchętniej zatańczyłaby boso w ogrodzie z radości, z rozkoszy, że nie ciąży już nad nią siedząca w fotelu postać. Wie jednak, że o takich odczuciach nie należy mówić głośno. Gdyby miała się zwierzyć Nickowi, musiałaby mu najpierw opowiedzieć wszystko, co wcześniej przed nim zataiła. Jane widzi, że mąż spogląda na nią lekko zaintrygowany i zmieszany. Ucieka więc w krzątanie, udaje zaaferowaną. Kiedy przenosi się z miejsca na miejsce, jej twarz jest mniej widoczna, mniej narażona na obserwację.

Zeszłej nocy obudził ją sen. Stała w ogrodzie, trzymając kosz z praniem; miała na sobie krótką spódniczkę — znacznie krótszą i bardziej jaskrawą niż te, jakie zwykle nosi. Felix stał przy płocie i patrzył prosto na nią, powiedziała więc: „Bardzo ci współczuję z powodu twojej mamy. To straszne, że umarła”.

„Twoja też i ja też ci współczuję” — odpowiedział, nie spuszczać z niej wzroku.

„Niepotrzebnie — odparła. — Nie była taka miła jak twoja i wcale mi jej nie żal.”.

Po obudzeniu ten sen ją niepokoi; Jane widzi w nim dowód, że zachowuje się i rozumuje jak dziecko. Myjąc rano zęby w łazience, a potem wkładając do zmywarki naczynia po śniadaniu, wciąż czuje na sobie spojrzenie Felixa.

Kiedy trumna Very zaczyna z hałasem zjeżdżać w stronę ognia (swoją drogą czy tego upiornego zgrzytu nie dałoby się jakoś taktownie wyciszyć?), Jane łapie się na tym, że wstrzymuje oddech, wbija paznokcie w zaciśnięte dłonie, zostawiając półksiężycowate ślady. Po matce może się spodziewać nawet tego, że wyskoczy z trumny i krzyknie: „Ale cię nabrałam!”. Albo nagle się okaże, że to był tylko sen. Trumna zniknęła, a Jane poczuła, że w gardle dławi ją szloch. Koniec. Very już nie ma. Nie do wiary.

Zamówiła już firmę mającą opróżnić dom Very ze wszystkich sprzętów. Umówiła się w nim z agentką, żeby dać jej klucze, i stała przez chwilę, wodząc spojrzeniem wkoło, pewna, że nie chce już nigdy widzieć żadnej z tych rzeczy.

— Nic pani nie zabiera? — upewniła się z niedowierzaniem agentka, kiedy Jane poleciła jej pozbyć się wszystkiego i jak najszybciej wystawić dom na sprzedaż.

Nazajutrz po kremacji Jane zaczyna sprzątać własny dom, zwłaszcza pokój, który zajmowała matka. Dokładnie myje wszystkie lakierowane powierzchnie i pieczołowicie podwłada wykładzinę. Wyrzuca różowe plastikowe kwiaty i akrylowy dywanik. Staje na krześle, żeby opróżnić nadstawkę na szafie służącej matce za garderobę.

Na górnej półce znajduje puszkę, taką, w jakich dawniej sprzedawano biszkopty lub toffi. Na wieczku jest obrazek — mały domek nad morzem otoczony nie-

proporcjonalnie wielkimi krzewami róż, których jadowicie żółte kwiaty mogą przyprawić o ból zębów. Jane zdejmuje wieczko, przegląda znajdujące się wewnątrz papiery, zetłate już i kruche, zbyt kruche jak na świadectwo całego życia. Jest tam metryka urodzenia Very, akt ślubu, wycięty z gazety artykuł o emigrantach do Australii, składany i rozkładany tyle razy, że kartka rozpadła się na zgięciach. Z puszki wypada pomadka do ust Coty'ego, nieużywana, o mandarynkowym odcieniu. Jane kreśli nią linię na grzbiecie swojej dłoni; wyschnięta szminka kruszy się jak kreda. Na samym dnie leży świadectwo urodzenia Jane przecięte od brzegu do brzegu nabazgraną wielkimi literami adnotacją. Jane poznaje pajęcze pismo matki.

Czyta zapísane zdania i wyobraża sobie złośliwą radość Very na myśl o tej chwili. Jej duch krąży pod sufitem niczym sęp. Jane siada w fotelu. Długo siedzi bez ruchu. Cienie w pokoju się wydłużają, wpełzają na przeciwległą ścianę i gęstnieją w szary zmrok. Dwukrotnie dzwoni telefon, ale Jane nie wstaje, żeby go odebrać.

Ted Clay. Ted Clay. Jane usiłuje wydobyć z przeszłości jego twarz. Próbuje sobie przypomnieć jakikolwiek charakterystyczny rys postaci albo zachowania. Nie pamięta, czy to on grywał w bilard. Chyba widywała go w ogrodzie. Jak przez mgłę widzi jego dzieci o płaskich, nieciekawych twarzach, córkę i syna. Pewnie mają dziś własne rodziny, małżonków, dzieci. A zatem ma rodzeństwo, bratanków, siostrzeńców — wyobraża ich sobie na kształt rzeki rozgałęzionej wieloma dopływami, która podmywa jej dotychczasowy spokój, zagraża bezpieczeństwu u boku Nicka. Vera zrobiła to specjalnie, żeby ich życie nie mogło się już toczyć dawnym torem.

To może nawet nie być prawdą, mówi sobie Jane. Vera nie cofnęłaby się przed mistyfikacją, żeby jeszcze ostatni raz pognać córkę. Jakież to do niej podobne:

po wielu latach wykorzystać dla swoich celów dawno zapomniany romans. Jane się zastanawia, czy — jeśli to rzeczywiście prawda — Ted Clay wiedział o swojej roli. Dziś pewnie jest starcem, który drzemie w fotelu, podczas gdy jego żona wciąż rezolutnie drepcze na zakupy.

Jane czuje mimo woli, że powinna pogratulować matce przebiegłości; docenia artyzm tego ostatniego sztychu, zabójczego pod bardzo wieloma względami. Usunięcie jej gruntu spod stóp. Przekreślenie więzi z człowiekiem, którego uważała za swojego ojca. Otwarcie puszkii Pandory wypełnionej pytaniami, wstydem, szokiem. Rozszarpanie żył, w których szuka się krwi i DNA. Tak, myśli Jane, matka celnie wypuściła ostatnią strzałę. Chciała burzyć, niszczyć i mogło jej się to udać.

Kiedy Nick wraca do domu, Jane udaje, że śpi. Rano Nick musi wyjść wcześniej na spotkanie. Leżąc w łóżku, Jane myśli, jak łatwo człowiek przyzwyczaja się do sekretów, i ta myśl trochę ją martwi.

Przed południem jedzie na ulicę, przy której mieszkała jako dziecko. Jest węższa, niż ją zapamiętała, a jej bmw wygląda tu podejrzanie, zbyt luksusowo. Parkuje przy swoim dawnym domu, przygląda się jemu i jego sąsiadom. Zbudowane zostały z cegły w funkcjonalnym stylu późnych lat 50. W ostatnich latach większości wymieniono okna, dodano kryte ganki i małe szklarenki, które sterczą z fasad jak masywne bycze mordy. Niektóre podjazdy wyłożono kolorową kostką brukową. W ogródkach rosną palmy i paprocie w okrągłych, schludnie wysypanych żwirnym kępkach. Kiedy Jane zamknie oczy, przypomina sobie, jak tu było kiedyś, widzi siebie w szkolnym mundurku, grającą w klasy na chodniku albo w tenisa na jezdni; kiedy z fabryki wyjeżdżał sznur ciężarówek, dzieciarnia rozpierzchała się na boki. Jane czuje jeszcze kwaśny zapach biedronki

ściśniętej w dłoni. Widzi tłuste sinawe łydki sąsiadki, która odprowadzała swoje dzieci do przedszkola przy Jubilee Street, i dwie kobiety plotkujące przy pomalowanej na pomarańczowo bramie (jedna miała wałki na głowie, druga usta pomalowane widoczną z dala jaskraworóżową pomadką). Pamięta jarzębinę obsypaną pomarańczowymi owocami, a także inne drzewo, które wiosną okrywało się różowym kwieciami; zrywali je pełnymi garściami i obsypywali nim nauczycielkę, kiedy wracała ze szkoły. Pamięta psa, którego nigdy nie wyprowadzano na spacer; szczekał wniebogłosy, uganiając się tam i z powrotem wzdłuż płotu wąskiego ogródka przy sąsiednim domu. Przypomina sobie ustawioną przed wejściem do szkoły bramkę ze srebrnych prętów, nad którą w wieku jedenastu lat potrafiła już przeskoczyć bokiem. Pamięta niesmaczne monotonne obiady, telewizor, który rozgrzewał się długą chwilę, zanim na ekranie pojawił się obraz, i to, że kobiety zniżały głos do szeptu, kiedy mowa była o chorobach czy w ogóle o sprawach związanych z ciałem. Widzi mężczyzn w wypastowanych butach, z grzebykami w kieszeniach spodni, kobiety ciągnące ze sobą na zakupy prostopadłościennie kraciaste torby na kółkach. Pamięta, jak bawiła się w samochodzie któregoś z sąsiadów, wszystkie szyby były opuszczone, dziecięcy głosik pytał: „Dokąd dziś pojedziemy?“, a inne odpowiadały: „Do Skegness!“, „Do Tenby“ lub: „Na Księżyc!“ równie odległy jak Francja lub Hiszpania. Ojciec wracał wieczorem z fabryki z rękami czarnymi od smaru, ciągnąc za sobą wyraźny zapach gumy. Palił papierosy i zawsze przymykał jedno oko, wypuszczając kłęb dymu. Nigdy nie zapominał ucałować jej na dobranoc. Czuta się wtedy kochana, czuła się bezpieczna.

Jane przekręca kluczyk w stacyjce i ze zdziwieniem stwierdza, że przemyślała już wszystko, co należało.

Wraca do domu. Dzwoni do krematorium i informuje kierownika, że nie ma żadnych życzeń co do prochów matki, nie życzy sobie również napisu pamiątkowego. Potem dzwoni do sklepu z dywanami i prosi o przysłanie pracowników, żeby zmierzyli pokój pod nową wykładzinę i zasłony. Następnie przebiera się w stare robocze ciuchy i wchodzi do pokoju matki. Już wie, że nie może tu pozostać nawet ślad po Verze, nawet odcisk palca, nawet niewidoczna gołym okiem komórka. Zdejmuje grube lniane zasłony i składa je w harmonijkę. Potem zdiera z podłogi długie szerokie pasy sizalowej tkaniny. Znosi to wszystko na stos w kącie ogrodu, szpary wypycha zmiętymi gazetami i kominkową podpałką pozostałą od zimy. Na wierzchu ciska zawartość znalezionej puszkę. Zapala zapałkę. Płomień najpierw nieśmiało liże wykładzinę, potem nabiera mocy, strzela wysoko, huczy.

Niech cię pochłonie ogień, myśli Jane. Czuje żar na twarzy, ale się nie cofa.

Dosyć tego, myśli. Na więcej ci nie pozwolę. Moim ojcem był ten, który mnie wychował, który mnie kochał. Nie będę już tańczyć, jak mi zagrasz. Tu kończy się twoja władza.

Wróciwszy do domu, Nick zastaje Jane w ogrodzie. Wygląda, jakby spędziła tam wiele godzin. Twarz ma bladą i umazaną sadzą. Wokół ziemię zalega gruba warstwa popiołu. Słyszac kroki, Jane obraca się powoli.

— Spaliłam wszystko — mówi po prostu. — Zasłony, pościel, wykładzinę. Nie chcę po niej żadnych wspomnień. Chcę, żeby znikła.

— Jesteś pewna? — pyta Nick. Nagle spostrzega, że są sprawy, o których nigdy się nie dowie, których Jane mu nie zawierzy.

— Najzupełniej — odpowiada mu Jane. — Nie chcę o tym mówić. Daję ci słowo, że czuję się świetnie.

Później Jane spędza godzinę pod prysznicem, żeby zmyć zapach dymu z ciała i włosów. Szczotkując zęby, widzi przez okno, że resztki ogniska wciąż jeszcze się żarzą.

Próbuje zasnąć. Czuje się jak wąż, który połknął dużą mysz. Teraz musi się skoncentrować na trawieniu. Zmielone i poddane działaniu enzymów jej tajemnice przestaną istnieć. Krzepkie ciało gryzonia zostanie zredukowane do ułamka zbielełej kostki.

Kwestia ojcostwa to ostatnia pułapka zastawiona przez matkę. Jane postanawia, że nigdy nie powie o tym Nickowi. Nie nobilituje Very do takiej rangi, by Nick wiedział o tej podłości.

Czy ukrywanie czegoś musi być moralnie naganne? Skrytość nie zawsze jest przejawem zdrady, pociesza się Jane. Miłość może skłaniać nawet do kłamstwa, a kłamstwo w imię dobra niekoniecznie oznacza brak porozumienia. Zatajenie złej prawdy przeciwdziała złu, odcina mu dopływ powietrza, aż zło więdnie i marnieje wraz z korzeniem.

Dosyć tego, myśli Jane. Nikogo już więcej nie skrzywdzisz. Znikaj.

Oczyrna dusza widzi ciało matki składane do trumny, martwe ramiona, martwe palce, które nie zdołają już wetknąć kija w mrowisko. Pokrycie jej milczeniem będzie dla Jane drobnym, lecz cennym zwycięstwem. Kiedy wreszcie zasypia, po jej twarzy błąka się ledwie widoczny cień uśmiechu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nick siedzi w samochodzie zaparkowanym przed Ośrodkiem Pomocy Społecznej. Na kolanach ma plik papierów i nagle czuje lęk, że stracił właściwy osąd, zaczął postępować irracjonalnie i głupio. Gdzieś po drodze między wiadomością od Felixa a tą chwilą jego własne uczucia wykpiwały na powierzchnię i ukształtowały amorficzną początkowo chęć, by zrobić coś dobrego dla dzieci Evie. W którymś momencie — dopiero teraz to sobie uświadamia — przestało mu chodzić o powstrzymanie Margaret, a zaczęło zależeć na tym, żeby samemu zdobyć prawo do opieki nad tą dwójką.

Przeskok jest tak potężny, że Nick sam zadaje sobie pytanie, czy do reszty nie stracił rozsądku. Z jednej strony chwila jest wręcz idealna — ostatnio coraz częściej nachodziła go myśl, czym byłoby dla niego ojcostwo. Z drugiej strony wie, że rozważa wywrócenie całego swojego dotychczasowego życia do góry nogami. Co gorsza, dotąd nie miał odwagi porozmawiać o tym z Jane. Nick zdaje sobie sprawę, że po śmierci matki Jane może być zbyt rozbita, aby w ogóle dopuszczać taką możliwość. Czuje, że wytworzył się między nimi dystans, jakby ich drogi w ciągu tego lata zawiodły ich w zupełnie różne miejsca. On jest jak pływak, którego odpływ zniósł daleko od brzegu; Jane stoi samotnie

na plaży, gdzie jego głos nie dociera, wiatr znosi słowa z powrotem w morze. Wszystkie rozmowy o dzieciach Nick prowadził wyłącznie sam ze sobą.

Siedząc w samochodzie, zastanawia się, co to w rzeczywistości znaczy: być ojcem. Nie dostanie do rąk noworodka o zaczerwienionej twarzyczce ledwie widocznej z powijaków, którego z dumą prezentuje się do obiektywu. Nie, on miałby nagle i bez żadnego przygotowania zostać ojcem dwunastolatka i dwulatki. Może jest łatwiej, myśli, kiedy brak precedensu, kiedy nie ma się wcześniejszych doświadczeń? Z łatwością przywołuje na pamięć gotowy wzorzec — własnego ojca, który chodził z nim na mecze rugby, uczył go łowić ryby, wysłuchiwał w radiu relacji z rozgrywek krykieta, podnosił mu siodełko w rowerze, pokazywał, jak łątać przebite dętki. Staroświecki żywiciel rodziny, świadomy odpowiedzialności za tych, których miał pod opieką. Nick się zastanawia, czy ten model nie przeszedł do historii, może jest już niepoprawny, może bycie ojcem oznacza dziś całkiem co innego? Z drugiej strony — myśli — od zarania dziejów dzieciom potrzeba od dorosłych zawsze tego samego niezależnie od dyktatu panujących mód.

Zewsząd czyhają niewiadome. Czy zdoła sprostać oczekiwaniom, posiłkując się wyłącznie wiarą? Chce się podjąć nieznanej, całkowicie mu obcej roli, nie wiedząc w dodatku, kim właściwie powinien się stać.

Żałuje, że najpierw nie naradził się z Jane. Nagle czuje się głupio, siedząc tu bez niej. Zawsze instynktownie ze wszystkim się do niej zwracał. Być może tam, w urzędzie, będzie musiał się przyznać, że jeszcze nie omówił tej sprawy z żoną. Być może jego skrytość ma źródło w tym, iż sam nie jest ciągle do końca pewny swej decyzji. Aż trudno mu uwierzyć: przestudiował dokumenty, które teraz trzyma na kolanach, przyswoił ich terminologię, ich żargon, którym dziś już całkiem

sprawnie się posługuje, a wszystko to w tajemnicy przed własną żoną.

Nick już wie, że proces adopcyjny jest brutalny i bezlitosny. Szczegółowy wywiad, pytania o rodzinę bliższą i dalszą. Z własnych rodziców i rodzeństwa Nick jest dumny, mógłby ich postawić za wzór zdrowia psychicznego. Czuje wstyd, dziękując Bogu, że Vera nie żyje i nie może rzucić cienia na tę sprawę. On i Jane będą musieli przejść szczegółowe badania lekarskie. Lekarz także będzie pytany o opinię. Nick uświadamia sobie, jak rzadko go oboje widywali. Jane konsultowała się w sprawie Very, nigdy chyba we własnej. Nick pamięta uraz barku, którego doznał przed laty podczas gry w squasha, skierowano go wówczas na fizjoterapię. Jakies szczepienia przed wyjazdem za granicę i to już właściwie wszystko. Są wraz z Jane czymś na kształt nieza-pisanej karty. Ich bezdzietność nie była bolączką, której starali się zaradzić. Stosowanie środków antykoncepcyjnych przez Jane jasno wskazuje na świadomy wybór. Nigdy nie rozmawiali z lekarzem o rodzicielstwie, a teraz ten właśnie lekarz może mieć decydujący głos w stwierdzeniu, czy nadają się na przybranych rodziców. Kontrola ma objąć także ich dom. Nick się zastanawia, co będą sprawdzać — czystość w łazience, ilość spożywanych owoców i warzyw, odpowiednią, nie za małą i nie za dużą liczbę książek? To, ile butelek po winie łąduje w kubie na odpady do recyklingu? Jakie cechy składają się na klinicznie poprawne życie? Potrzebne będą także oceny charakterologiczne. Czy lepiej powołać na świadków kolegów z klubu sportowego, kreując obraz młodzieńczego wigoru, czy współpracowników z firmy, którzy podkreślą jego zdolność podejmowania decyzji i okraszają wizerunek większą dozą powagi? Niewiedza doprowadza Nicka do szału. Nie wie, czego się od niego oczekuje, jaką taktykę powinien obrać. Tym razem spokojne skrupulatne odhaczanie punktu po

punkcie — jego ulubiona metoda wykonywania zadań — może nie wystarczyć. Nick upomina się w duchu, że najpierw musi porozmawiać z Jane, zaś adopcja i tak może się okazać poza ich zasięgiem. A jeśli na Felixa i Pusię czeka już rodzina, której dom uzyska! najwyższe noty, drzewo genealogiczne jest poprawne w każdym calu, a znajomym i sąsiadom wręcz brak słów uznania? Więż z samymi dziećmi to za mało, myśli Nick, podobnie jak cicha obietnica złożona w szpitalu ich umierającej matce.

Wysiada, wpychając papiery do aktówki. Uśmiecha się smętnie. O ileż mniej problemów przysporzyłby mu taki kryzys wieku średniego, który przejawia się w zamiłowaniu do zbyt szybkich samochodów i wysadzanych ćwiekami skórzanych kurtek.

Wchodzi do budynku, przerzucając w myśli słowa, jakie od teraz będą go dotyczyć. Ocena. Weryfikacja. Kontrola. Wiwisekcja. Gra już się zaczęła. Skąd w nim tyle wiary, że Jane poprze ten projekt? Nick prostuje ramiona i głęboko wciąga powietrze.

Od lat nie miał do czynienia z pomocą społeczną. Pamięta jak przez mgłę, że rejestrował się w biurze pracy po maturze, a przed rozpoczęciem studiów; siedział na pomarańczowym plastikowym krześle i wypełnia! niezbędne formularze przy pomocy osoby siedzącej za zmętniałą pleksiglasową przegrodą. Wówczas w budynku można było palić; sufit był żółty od dymu i wszędzie stały popielniczki pełne niedopałków. Mężczyzna przy sąsiednim okienku walił płaską dłonią w szybę i wrzeszczał na urzędniczkę, nazywając ją wredną tłustą krową.

Wiele się tu zmieniło, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Podłogi nakryto kobaltową filcową wykładziną. Rozwieszono niewielkie tabliczki, taktownie ostrzegające przed następstwami słownej lub czynnej napaści na pracowników ośrodka. Duże tablice ogłoszeń

O asymetrycznych kształtach pełne są drukowanych z komputera zachęt do nabywania nowych kwalifikacji

I korzystania z nowych możliwości. Jedna z nich, napisana po polsku, ściągnęła sporą grupkę zainteresowanych. Ogłasza się doradztwo prawne i psychologiczne, kursy zawodowe, przebranżowienia. Nick przypomina sobie górników, hutników i mechaników z czasów swej młodości, którzy na rynku pracy mieli do zaoferowania tylko dwoje rąk; zastanawia się, jak by sobie poradzili w tym kobaltowo wyłożonym świecie.

— Cieszę się, że się pan z nami skontaktował — mówi do niego młoda kobieta o imieniu Vicky, siadając za zabałaganionym małym biurkiem. — Felix kilkakrotnie o panu wspominał.

Podnosi kubek z białą herbatą. Na każdym palcu ma kilka cienkich pierścionków. Sprawia wrażenie osoby bardzo łagodnej i ugodowej, ale Nick podejrzewa, że to tylko pozory.

— Nie wiem, na ile się pan orientuje w przebiegu procesu adopcyjnego — ciągnie Vicky. — Każdemu dziecku przydzielony zostaje kurator, który jest jego tymczasowym opiekunem prawnym i rzecznikiem na każdym etapie postępowania. Może reprezentować dziecko na przesłuchaniach sądowych i w dyskusjach panelowych; jego celem jest jak najdoskonalsze określenie interesu i woli samego dziecka. Jedno wiemy już na pewno: Felix nie chce być adoptowany przez ciotkę. Brak nam danych, żeby w pełni to zrozumieć. Chłopiec dopiero co przeżył najgorszy z możliwych cios, a z tego co wiemy, ciotka zajęła się obojgiem serdecznie i troskliwie. Poza tym umieszczenie dziecka u krewnych ma oczywiste zalety. Zastanawiałam się, czy mógłby pan rzucić nieco światła na tę sprawę?

Nick czuje się tak, jakby zaraz miał skoczyć z wysokiego urwiska w bardzo głęboką przepaść. W którym momencie — zadaje sobie pytanie — drobne przeina-

czenia, przemilczenia wypaczą prawdę? Kiedy lekka nieścisłość staje się kłamstwem? Kiedy prawda staje się tylko środkiem do osiągnięcia celu? Nick przypomina sobie piosenkę, w której mowa jest o tym, że sprawiedliwość może być złodziejem, i przyznaje jej w duchu rację. Nie ma czegoś takiego jak rycerz na białym koniu uzbrojony do walki o czyste dobro; nie ma prostych jak strzeł dróg, nienaganych moralnie metod. Być może należałoby ostrzej zdefiniować pojęcie dobra, wyposażać je w bezwzględnie jednoznaczne kryteria. Czy próby czynienia dobra cechuje li tylko altruizm? A to co bierzemy za prawdę — czyż nie jest zawsze postrzegane przez okulary samousprawiedliwienia? Mówiąc u kresu życia: „Próbowałem być dobry”, człowiek stanie twarzą w twarz przed każdym kompromisem, każdym ustępstwem na własną rzecz, jakie próbom tym towarzyszyły.

Chrząka. Jego głos rozbrzmiewa ciszej, bardziej nieśmiało, niż planował.

— Nie wiem, czy zdołam pomóc — mówi. — Poza tym chyba muszę postawić jasno pewną kwestię. Sądzę, że moje podejście do tej sprawy się zmieniło, i nie mogę się już określać jako człowiek całkowicie obiektywny.

Vicky patrzy na niego zaintrygowana, odstawia herbatę i pochyła się nieco, przyglądając mu się uważnie. Nick opanowuje chęć, by poprawić się w krześle.

— Dysponuję strzępkami wiedzy — ciągnie, czując z ulgą, że jego głos nabiera mocy — których nie potrafię do siebie dopasować. W moich oczach nie tworzą spójnego sensu, ale może pani będzie w stanie coś z nich wywnioskować. To co powiem, może się wydać nieuzasadnione i stworzyć wrażenie, że chcę rzucić cień na ciotkę dzieci. Nie wiem. Po prostu powtórzę pani to, co usłyszałem, co zostało powiedziane w rozmowie ze mną.

Nick urywa, machinalnie skubie węzeł krawata. Jego ręce poruszają się jakby same z siebie. Kładzie je na kolanach, pokonując ich opór. Mówi dalej:

— Nie sądzę, żeby Evie bardzo lubiła siostrę. Powiedziała mi, że nie były ze sobą blisko. Opisała Margaret jako osobę krytyczną i dominującą; podobno zawsze strofowała Evie, pouczała, jak ma postępować. Tuż przed wypadkiem coś między nimi zaszło. Evie niejasno do tego nawiązała, ale chyba krępowała się rozmawiać o tym ze mną otwarcie. Jeśli dobrze zrozumiałem, siostra poprosiła ją o coś, co należało do niej i czego Evie nie mogłaby już od niej odzyskać. Nie wiem, o czym mówiła. Postaram się wiernie przytoczyć to zdanie: „Nie mogłabym tego zrobić, skoro nie chciałabym nawet, żeby Felix i Pusia spędzili choć jedną noc pod jej dachem”... — Nick nagle spostrzega, że Vicky notuje jego słowa. — Chyba najbardziej dziwi mnie fakt, że choć wedle słów Evie widywały się sporadycznie, nie częściej niż raz w roku, już tydzień później pojechały razem do Londynu. Możliwe, że było to bezpośrednio związane z prośbą Margaret.

Vicky przestała pisać i patrzy na niego.

— Czy mogę zapytać, jakiego rodzaju stosunki łączyły pana z matką dzieci? — pyta. W powietrzu zawisa przejrzysta sugestia, że stosunki te miały charakter erotyczny.

— Byliśmy sąsiadami. Znajomymi — mówi Nick. — Wprowadzili się zaledwie parę miesięcy wcześniej. Ale bardzo ich wszystkich polubiłem. Nie było w tym żadnych niedopowiedzeń czy podtekstów. Grałem z Felixem w krykieta i w tenisa. Moja żona i ja nie mamy własnych dzieci.

Nick czuje nagle, że wszystkiemu co mówi, można by przypisać mroczny podtekst. Przypomina sobie czytany ongiś artykuł o pedofilach szukających ofiar poprzez więzy przysposobienia, zdobywanie zaufania

rodziców, wciąganie do wspólnych zabaw i zajęć. Zastanawia się ze zgrozą, czy Vicky go posądza o taką perfidię. Na moment robi mu się niedobrze. Milknie. Nie powinien się bronić, to byłoby podejrzane.

Vicky nie odrywa wzroku od jego twarzy. Tak jak przypuszczał, przez jej pozorną łagodność i ugodowość błyska stalowe ostrze. Cóż, to zapewne oznacza, że jest właściwą osobą na tym stanowisku. Mówi do niego:

— Pozwoli pan, że powtórzę to, co pan powiedział. W rozmowie z panem matka dzieci stwierdziła: „Nie chciałabym, żeby Felix i Pusia spędzili choć jedną noc pod jej dachem”. To jedyna wypowiedź, jaką możemy uznać za coś zbliżonego do ostatniej woli. Czy jest pan gotów przysiąc przed sądem, że takie stwierdzenie rzeczywiście padło, nie zostało wypowiedziane w żartach ani w kontekście, który obniżyłby jego przydatność do oceny siostry zmarłej jako potencjalnej opiekunki jej dzieci?

— Jestem gotów przysiąc — odpowiada Nick sam zdziwiony tym, jak łatwo te słowa wyrwały mu się z ust.

— Jest jeszcze coś, o co muszę spytać — ciągnie Vicky. — Na początku rozmowy wspomniał pan, że pańskie stanowisko uległo zmianie i nie może pan już być uważany za osobę postronną. Jak mam to rozumieć?

— Poczuję... — Ku swemu zaskoczeniu Nick odkrywa, że nie może mówić dalej. Ponownie przetyka ślinę, wbija wzrok w blat biurka. Zaczyna jeszcze raz. — Czuję, że coraz bardziej obchodzi mnie los dzieci. Znałem je krótko, Felixa lepiej niż Pusię, ale nie mam wrażenia, że są dla mnie obce. Przeciwnie, są ważne. Moja żona i ja byliśmy aż do tej pory bezdzietni z wyboru. Do niedawna mieszkała u nas teściowa. Cierpiała na starczą demencję i żona opiekowała się nią aż do jej śmierci. Chciałbym... Muszę jeszcze przedyskuto-

wać to dokładniej z żoną, chciałbym się jednak ubiegać

O możliwość adopcji tych dzieci lub stworzenia dla nich rodziny zastępczej. Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie mają państwo co najmniej kilka rodzin, które już pomyślnie przeszły procedurę kwalifikacyjną, mogą też istnieć różne inne względy, dla których nie zechcą państwo wziąć nas pod uwagę. Moja żona przez całe dni zajmowała się matką i nie mogę udawać, że zdażyła się zżyć z dziećmi. Ja za to jestem chyba najbliższym ekwiwalentem postaci ojca, z jakim Felix kiedykolwiek miał do czynienia, a z kolei on z pewnością jest dla mnie kimś najbardziej przypominającym syna. To już coś... to może już być coś... — Nick się jąka, głos odmawia mu posłuszeństwa.

Vicky zamyka teczkę leżącą na biurku. W jej głosie pojawia się zdawkowy ton, choć Nick jest pewien, że słuchała go z uwagą. Ma jednak wrażenie, że to co powiedział, nie brzmiało przekonująco.

— Dziękuję panu za szczerłość — mówi Vicky. — Dał mi pan sporo do omówienia z członkami komisji

I pod wieloma względami nadał treść temu, o czym wiemy od Felixa. — Wstaje i wyciąga rękę, dając znak, że spotkanie dobiegło końca.

Nick ściska jej dłoń, czując pod palcem pierścionek, który Vicky nosi na kciuku.

W samochodzie siedzi przez chwilę z ramionami skrzyżowanymi na kierownicy i opartą na nich głową. „Muszę to dokładniej przedyskutować z żoną”. Dokładniej? Jak odważy się w ogóle o tym wspomnieć?

Odjeżdża, myśląc o kobietach, które — jeśli im wierzyć — budzi pewnego ranka biologiczny, płynący z głębi ciała zew macierzyństwa. Chciałby móc przypisać biologii rozrodu to, co sam czuje. W jego odczuciach wszystko jest znacznie bardziej mgliste. Ma wrażenie, że gdzieś działa niewidzialny magnes, który zręcznie wydobywa na powierzchnię życia opiłki jego myśli,

a w końcu przyciąga i jego. Nick znajduje się teraz w zupełnie innym miejscu i jest w nim potwornie sam.

Jane robi sałatkę nicejską z tuńczykiem na kolację. Precyzyjnie, staranniej niż zwykle układa składniki: długie metalicznie brązowe paski anchois, połówki jaj, oliwki. Fasolkę namoczoną w musztardzie z Dijon i soku cytrynowym. Strączki lśnią; Jane bierze jeden i zjada go, otwierając okno w kuchni, żeby wpuścić do środka zapach letniego wieczoru. Nick skosił trawnik, przyszygł również trawę w sąsiednim ogrodzie. Pograżony w ciszy domek robi teraz wrażenie schludnej dekoracji. Opuszczona połać trawnika leży przed nim jak zapomniany dywanik. Tam w rogu Felix rozgrywał swoje bitwy. Dziwne, że właśnie on się jej przyśnił. Jaki wniosek powinna wyciągnąć z tego snu?

Przychodzi jej nagle na myśl reklama lotto: wielka dłoń wskazująca dach tego jednego spośród wielu domów. Śmierć robi to samo — tu wyłowila Verę i Evie. Jane nalewa sobie wina i siada, czekając, aż Nick wróci do domu. Jest ostatnio strasznie spięty, musi się nim wreszcie zająć. Własne problemy Jane zepchnęły go na dalszy plan.

Jej dom też jest cichy. Nie ma Very, nie słycać wołania lub chwiejnych kroków z jej pokoju. Nie słycać uspokajającego „Już idę, idę!”, szczęku naczyń stawianych pospiesznie na tacy. Dom jest czysty i pusty — myśli Jane — i jakby trochę obcy. Ona sama zaczyna się czuć jak mały szary duch, zjawa, która przemyka przez pokoje, nie pozostawiając po sobie śladu. Musi wrócić do pracy. Porozmawia z Nickiem. Zadzwońi do paru osób. Raz czy drugi zaprosi znajomych na kolację. Ze zdumieniem czuje echo dawnej energii, tętno, które zaczyna reagować.

Przy obiedzie Nick jest roztargniony, jakby czymś zakłopotany. Zdjął marynarkę i podwinął rękawy ko-

szuli, lecz bez przerwy bawi się spinkami do mankietów, które wyjął i położył na stole. Jane pyta, jak minął mu dzień. Nick patrzy w okno, w stronę domku Evie.

— Byłem dziś w Ośrodku Pomocy Społecznej — mówi takim tonem, jakby stwierdzał: „Byłem w banku” albo: „Odstawiłem samochód do przeglądu”.

Jane milczy, bo po pierwsze nie wie, co odpowiedzieć, a po drugie nie wie, do czego Nick zmierza. Siłą woli zmusza się, żeby donieść do ust widelec, który zawisł w powietrzu.

— Miałem wiadomość od Felixa — mówi Nick. — Jego ciotka, pewnie pamiętasz ją z pogrzebu, chce go adoptować, to znaczy ich oboje. Felix nie chce do niej iść. Prosił mnie o pomoc.

— Nie przypuszczałabym, że zwróci się właśnie do ciebie. — Jane nie zdołała do końca pokryć zaskoczenia. Uświadamia sobie, że coś przegapiła. Była skoncentrowana na Verze i na sobie. Czuje nagłą panikę: co jeszcze jej umknęło? Przywołuje w pamięci obraz Evie i stwierdza w duchu, że była to bezsprzecznie piękna kobieta.

— Pomóż mi, proszę — mówi nagle Nick i sięga przez stół, żeby ująć ją za rękę.

Jane widzi, że jej mąż jest bliski łez. Ma wyrzuty sumienia, bo od dłuższego czasu niewiele poświęcała mu uwagi. Wszystko nagle przybiera inny wymiar. Jane czuje się tak, jakby stapała po ostrzu noża. Kręci jej się w głowie.

— Tyle mamy za sobą — mówi Nick. — Podjęliśmy w życiu tyle decyzji, dokonaliśmy tylu wyborów, być może nie zawsze przemyślanych. Wydawało nam się, że życie jest niezmienne, raz na zawsze ustalone. Teraz mamy szansę na coś innego, jeśli tylko z niej skorzystamy. Może myliliśmy się, zakładając, że wszystko jest kwestią świadomego wyboru. Tymczasem zdarzają się

rzeczy niespodziewane. Wpadasz w zasadzkę i od tej pory widzisz już świat inaczej.

— Czekaj — przerywa mu Jane. — Nic nie rozumiem. Nie rozumiem, co starasz się mi powiedzieć. Co to ma wspólnego z Felixem i jego ciotką?

— To, że może my powinniśmy spróbować — odpowiada Nick. — Chodzi mi o adopcję. Kiedyś świadomie zrezygnowaliśmy z rodzicielstwa. Może teraz powinniśmy tak samo świadomie wziąć na siebie opiekę nad tymi dziećmi.

Pierwszą rzeczą, jaka Jane przychodzi na myśl, jest łoskot zatrzasnkujących się drzwi. Mimo osłupienia ma ochotę się roześmiać. Nie do wiary! Tego samego dnia, w którym zdecydowała się wrócić do pracy, zaczęła nawet planować, jak odbuduje dawne życie, Nick nagle wyskakuje z czymś takim!

Ciężko jej zapanować nad twarzą, trudno cokolwiek odpowiedzieć, bo rozdygotany umysł przypomina w tej chwili gromadę spłoszonych wróbli. Równocześnie jakimś bystrzejszym, czujniejszym okiem głębszej jaźni widzi, że Nick bacznie się jej przygląda. Na jego twarzy maluje się niesłychane napięcie, które ją przeraża. To o co prosi, jest dla niego sprawą życia i śmierci. Nieprawdopodobne, że patrzą na świat w tak zupełnie odmienny sposób.

Najłatwiej byłoby z punktu odmówić. Wystarczyłoby przypomnieć Nickowi ostatni wielkoduszny gest — wzięcie do domu Very — i jego skutki. Jak by zareagował, gdyby odpowiedziała, że nie będzie już wykonawcą jego genialnych planów? Ciekawe, co by zrobił, gdyby podetknęła mu pod nos obie dłonie i zapytała, czy wie, ile godzin sprzątnięcia, mycia, gotowania i opieki odwaliły w ostatnim czasie, i czy choć na moment wziął pod uwagę, że Jane może nie mieć już na to ochoty.

W ustach czuje metaliczny kwaśnawy smak — zapowiedź zgorzknienia. A potem nieoczekiwanie przycho-

dzi jej na myśl matka. Inaczej niż zwykle, nie w ten sposób, który odbija się żółcią w gardle, kusi, by odpłacić jej pięknym za nadobne. Jane ze zdumieniem uświadamia sobie, że myśli o jej planach wyjazdu do Australii,

O wymiętolonym wycinku z gazety i przechowywanej w puszcze szmince. Ojciec pewnie odrzucił ten projekt natychmiast, odruchowo, wiele się nad nim nie zastanawiając. Zniszczyć czyjeś marzenia można nie tylko ze złej woli, także przez nieuwagę. Jane z wysiłkiem przełyka wszystkie słowa cisnące się na usta — szyderstwo, protest, żale, które mogłaby wylać na głowę Nicka. Mówi sobie w duchu, że opinia powzięta w pierwszym odruchu nie musi być ostateczna. Nick nadal się jej przypatruje. Jane wie, że musi wreszcie udzielić mu jakiejś odpowiedzi, a chce zyskać na czasie, bo sprawa jest zbyt poważna, żeby bez namysłu od razu się zgodzić. Bąka więc:

— Nie jesteśmy za starzy? To nie takie łatwe, istnieją przecież procedury, formalności... Nie sądzisz, że automatycznie nas odrzucą, kiedy pojawimy się tak z nagłą, znikąd?

— Nie czuję się tak, jakbym wziął się znikąd — odpowiada cicho Nick, a Jane myśli: „Jaki on jest smutny

1 zmęczony". — Mam po prostu wrażenie, że to najlepsze wyjście. Nie tylko dla dzieci, dla nas także, dla nas obojga. Jestem tego pewien, choć może ci się to wydać najbardziej irracjonalnym ze wszystkich moich pomysłów. Nie musisz mi odpowiadać, nie chcę, żebyś teraz podejmowała decyzję. Chcę tylko, żebyś o tym pomyślała jako o pewnej możliwości.

Później, w łóżku, kochają się po raz pierwszy od wielu tygodni. Grę wstępną rozpoczyna Nick, a Jane czuje w niej odrobinę poczucia winy, jakby stara! się jej coś wynagrodzić, próbował zdobyć jej przychylność. Chwilami obejmują się kurczowo, rozpaczliwie, jakby każde chciało uchronić to drugie przed utonięciem.

Chwilami znowu znajome gesty działają na Jane kojąco — zapach jego skóry, szerokość piersi, sposób, w jaki jego dłonie pieczą jej piersi i twarz, to jak wargi przesuwają się po szyi. Oboje milczą. Usta same znajdują miękką skórę partnera. Jane przyciska podeszwy stóp do łydek Nicka i oplata go udami. Zastanawia się, kto kogo bierze w tym akcie. Myśli o wielu nocach, kiedy leżeli spleceni tak jak dzisiaj. Ile razy w chwilach najściślejzego zespolenia myśli każdego z nich biegły po odrębnych, tajnych ścieżkach?

Kiedy Nick już śpi, Jane rozmyśla nad swoim życiem. Czy naprawdę zawsze reagowała tylko na impulsy generowane przez innych? Kiedy matka się nad nią znęcała, ona była w tym bierną współniczką. Potulnie pojechała z Nickiem do Pragi. Zgodziła się zaopiekować matką, co przynajmniej początkowo miało być zadaniem dla obojga, sprawiedliwie dzielonym obowiązkiem. A teraz to. Pomyśl, żeby zaadoptować dwoje dzieci, którym nawet nie zdążyła się dokładniej przyjrzeć. Jane się zastanawia, czy kiedykolwiek w życiu zajęła wyraźne stanowisko, powiedziała: „Tego chcę”, uczyniła choć krok, by osiągnąć coś w sposób aktywny. Decyzja, by pozostać bezdzietną — właściwie jej jedyna samodzielna decyzja — w rzeczywistości także nie była autonomiczna. Chodziło jej wszak o to, żeby nie stać się taka jak Vera. Wszystko co kiedykolwiek zrobiła, całe jej życie przypominało sznur wagonów podczepionych do lokomotywy — ciągniętych, biernych. Napęd zawsze wychodził skądinąd.

Rankiem Jane siedzi sama w dawnym pokoju matki. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, oparta plecami o ścianę; czubkami palców wodzi po lepkich śladach taśmy, które zostały na podłodze po zdarciu wykładziny. Przypięte pinezkami do ramy okiennej wiszą próbki tkanin i kolorów farb, których chciała użyć do odnowienia wnętrza. Harmonijna kompozycja

neutralnych barw w typowym dla niej stylu, spokojna, przewidywalna i konwencjonalna. Jane pojmuję, że jej celem było przywrócenie tego pokoju do poprzedniego stanu; że to co chciała tu osiągnąć, symbolizuje cały jej stosunek do życia. Skupiła się na tym, żeby wymazać Verę, żeby znowu było tak jak przed inwazją. Psycholog określiliby ją zapewne jako osobę skłoną do działań zamykających, kończących. Zawsze — teraz zdaje sobie z tego sprawę — niemal bezustannie oglądała się wstecz. Najpierw na rodziców, matkę, własne dzieciństwo, potem na Teda Claya, a przecież ma przed sobą możliwość wyboru jednej z wielu przyszłości, odmiennej, nowej. Widzi, że koncentrowała się na gaszeniu światła, deptaniu prochu metaforycznie strząśniętego ze stóp. Tak jak śmierć. Ona także pragnęła ostatecznych rozwiązań. Nick tymczasem szedł całkiem inną drogą, otwarty na zmianę, na możliwość wykucia nawet ze zła czegoś dobrego.

Jane dostrzega teraz, że w małżeństwie są dryfy i pływy, drobne przeciwprądy, których się nie widzi, a które znoszą partnera w inną stronę. Czas, który spędziła u nich Vera, nie pozostał bez echa, lecz jego efekt nie był wyłącznie oczywisty i przewidywalny. Poza niemożnością spokojnego zjedzenia kolacji czy radosnej zabawy w łóżku wystąpiło także inne zjawisko, bardziej chemiczne lub fizyczne — polaryzacja energii, równoczesne zamknięcie i otwarcie.

Dziwi ją własny spokój w obliczu tego, co odkryła — że Nick ma do niej niewypowiedziany, może nawet nieświadomiony żal o to, że nie mają dzieci. Jane kładzie rękę na brzuchu i czuje instynktownie, że mając czterdzieści trzy lata, jest za stara, by o tym myśleć. Ale przecież nie wszystkie aspekty rodziny opierają się na biologii, na genetyce. Wątpliwe, czy Vera kiedykolwiek określiłaby swoje uczucie do córki jako miłość. Jak w ogóle by je określiła? Więzy krwi, jak widać, nicze-

|
go nie gwarantują. Jane wspomina ojca, który biologicznie najpewniej wcale nim nie był, i widzi, że miłość i dobroć mogą się obyć bez genetyki. Z nagłym wzruszeniem myśli teraz o Evie i jej dzieciach.

Wstaje i zdejmuje próbki ze ściany. Ten pokój da się urządzić całkiem inaczej. Są inne możliwości, inne koncepcje pomiędzy neutralnym chłodem Jane a jaskrawą kakofonią Very. Jane widzi w adopcji szansę wewnętrznej przemiany, nabrania stanowczości i siły. Podejmowania decyzji na podstawie własnej hierarchii wartości zamiast biernego reagowania na coś, co zaszło poza nią. Nie tylko dzieci mogą na tym zyskać. Bardzo niewiele czynów jest czysto altruistycznych, Jane teraz wyraźnie to dostrzega. Sięga po telefon komórkowy i posyła Nickowi wiadomość, krótką i zdecydowaną: *Spróbujmy*. Potem wychodzi i wrzuca próbki do kosza na śmieci.

Nick zadzwonił do Vicky i dziś mają się z nią spotkać. Jane stoi przed szafą, nie może się zdecydować, co na siebie włożyć. Wkłada, a potem ściąga kostium, w którym kiedyś chodziła do pracy, odrzuca na bok cienki sweterek, bo jest zbyt różowy, zbyt ckliwy. Zamiast niego wybiera biały lniany żakiecik, który może spełniać także rolę bluzki. Do tego dzinsy i brązowe buty na koturnach, których nie używała od przyjazdu Very. Wsuwa na rękę grubą bransoletę i staje przed lustrem, patrząc na siebie krytycznie z ustami ściągniętymi na kształt litery O. W samochodzie mówi do Nicka:

— Ja jej po prostu powiem prawdę. Powiem, że mam większe doświadczenie w pielęgniarstwie geriatrycznym niż w opiece nad małymi dziećmi, i przyznam, że mój kontakt z Felixem ograniczał się do tego, że widziałam go w ogrodzie, kiedy wyprowadzałam matkę.

— Naturalnie. Powiedz to, co uważasz za słuszne

— godzi się Nick, równocześnie próbując uspokoić swoje łomoczące serce. Własna wystudiowana nonszalancja przywodzi mu na pamięć czasy szkolne, napuszone przechwałki przed każdym egzaminem: „Ja? W ogóle się nie uczyłem!”, gdy tymczasem mózg pocił się z wysiłku, by zachować wykuty materiał.

Zastanawia się, czy kurator Felixa powiadomił go

— czy w ogóle mógł to zrobić — że starają się o możliwość adopcji. Po rozmowie z Vicky nie pisał już do chłopca; bał się, że może to zostać uznane za działania z pominięciem procedur albo próbę wpływania na dziecko. Nick mówi sobie w duchu, że jeśli udało mu się zablokować kandydaturę Margaret, Felix i tak się o tym dowie. Odsuwa od siebie dylemat, czy tego typu rozumowanie jest całkiem uczciwe. W końcu, u licha, chodzi o to, żeby dzieciak się nie dręczył.

Nick czuje się jak ktoś, kto niesie na głowie talerz zupy. Każdy krok musi być wyważony, przemyślany, a zarazem wykonany w stosownym tempie. Nie może sobie pozwolić na żaden błąd wobec czujnej, podejrzliwej biurokracji. Musi poznać każdy szczegół, każdy niuans procedury adopcyjnej, przyswoić je na tyle, by nie wpaść w żadną pułapkę. Kiedy wchodzi do biura, trzyma Jane za rękę. Sam nie wie, czy po to, żeby dodać jej odwagi, czy żeby u niej znaleźć pokrzepienie.

Jane przygląda się Vicky i uznaje, że może być z tą kobietą szczerą. W jej sposobie bycia widzi zaangażowanie i dobre intencje. Vicky przypomina jej trochę pielęgniarkę, która odwiedzała Verę.

Mówi otwarcie, że jej kontakt z dziećmi był minimalny, albowiem większość czasu wypełniała jej opieka nad matką.

Vicky kiwa głową i stwierdza:

— Ich przypadek jest bardzo specyficzny. Straciły matkę, a de facto jedyne rodzica, bo obaj ojcowie są

nie do odnalezienia. To naprawdę rzadkość. Różnica wieku między rodzeństwem utrudnia postępowanie adopcyjne. Dla większości potencjalnych przybranych rodziców Felix jest za duży. Ludzie wolą adoptować niemowlęta lub małe dzieci. Jednakże rozdzielenie tych dwojga nie wchodzi w grę, przyrzekłam to Felixowi.

Ton Vicky świadczy, że stara się im pomóc, doradza, sugeruje. Tworzy aurę współpracy równoprawnych stron, nie zaś przesłuchania przed wszechwładnym sądem. Mówi im, że dobrym pomysłem byłoby podanie nazwiska lekarza dla potrzeb wywiadu środowiskowego— Komisja i sąd rodzinny będą patrzeć przychylnym okiem na kogoś, kto podjął się tak trudnego zadania, jakim jest stała opieka nad seniorem z demencją. — Vicky patrzy na Jane i dodaje: — Musiała ją pani bardzo kochać.

Jane nie odpowiada. Myśli: „Co za szczyt ironii!”. Wie przecież, że motorem jej decyzji nie była miłość ani troska. Chodziło o zasady, o postępowanie wedle przyjętych zasad. Poświęcenie, choć odziane w maskę dobroci, było w istocie buntem, niezgodą na odpłacenie matce złem za złó. Wyrazem własnej woli, własnego „ja”, a nie miłości do drugiego człowieka. Długotrwałym gestem mającym głosić: „Nie stworzyłaś mnie na swój obraz i podobieństwo”. A teraz, gdy ów gest przypuszczalnie wzmacnia jej kandydaturę, staje się certyfikatem moralnych zalet, Jane nie może się nadziwić, że dobro wypływające z ewidentnie złych motywów nieoczekiwanie rodzi dobre owoce.

To prawie zabawne, myśli, przypominając sobie ostatni list Very nabazgrany na świadectwie urodzenia i schowany w puszcze po karmelkach. Ostatnią wolą matki było skupić myśli Jane wokół rodzicielstwa, zerwać jej więź z ojcem i narzucić jej potencjalną więź z mężczyzną, którego twarzy Jane nie potrafiła sobie

nawet przypomnieć. Matka chciała, by Jane pozostała uwikłana w łączący je toksyczny układ, planowała ją nękać nawet z za grobu. Tymczasem właśnie ów układ, to, że Jane czuła się w obowiązku jej pomóc, owocuje dziś nowością i zmianą. Pomaga Jane skierować spojrzenie w przeciwnym kierunku, niż pragnęła Vera — ku przyszłości. Pomaga jej zostać matką

Jane trzyma na kolanach notes, który wzięła ze sobą, żeby zapisywać w nim wszystko, co może być ważne, a także trudniejsze do zapamiętania terminy prawne. Naraz widzi, że machinalnie skreśliła w nim słowa: *Me przeszłość. PRZYSZŁOŚĆ!!!* I czuje radość, tak słodką jak w chwili, kiedy powiedziała zmarłej matce: „Dosyć tego!”.

Patrzy na Nicka, który jest skupiony, spięty. Jane nagle pojmuje, jak bardzo mu na tym zależy. Czuje się z nim złączona wspólnym celem i wspólnym dążeniem do tego celu. Z trudem zachowuje powagę; ma ochotę uśmiechnąć się szeroko, roześmiać. Porywa ją nieoczekiwane podniecenie na myśl, że będzie dzielić rodzicielstwo z tym mężczyzną, którego zawsze kochała. Przyszłość zatrze dawne niedopowiedzenia, a raczej to, co być może nie dałoby się wypowiedzieć. To kolejne zwycięstwo, kolejny okrucieństwo wyrwany z zachłannych szponów Very.

Potrafię kochać, myśli Jane. Potrafię się o kogoś troszczyć. Nie pozwolę, by stosunek mojej matki do mnie zaważył na tym, jaką ja będę matką.

Margaret rozmawia z Vicky przez telefon. Kobieta prosi ją o spotkanie. Margaret jest pewna swego. — Nie musisz ze mną iść — mówi do Jamesa przy śniadaniu. — Pewnie trzeba podpisać jakieś papiery. Ta urzędniczka jest zupełnie niepozobierana.

Jedzie do ośrodka i wsiada do windy (Centrum Pomocy Rodzinie jest na piętrze). Margaret nienawidzi

tego budynku, gumy do zucia wdeptanej w wykładzinę i nawały strzałek, wywieszek i upomnień. Wszystko jest tu wyłuszczone wyraźnie do mdłości, a zarazem nic nie jest postawione ostro. Margaret nie czuje związku z ludźmi, którzy tu przychodzą, z ich problemami i życiowymi porażkami. Podczas ostatniej wizyty siedziała w poczekalni obok zapłakanej kobiety, która została wyeksmitowana z mieszkania socjalnego, i mimo najszczerzych chęci nie potrafiła wykrzesać z siebie ani krzty współczucia. Zastanowiła się wówczas przelotnie, czy nie świadczy to o jej braku wyobraźni. Być może sumienna koncentracja na obranych celach z biegiem czasu ogranicza człowiekowi pole widzenia.

Puka do drzwi i wchodzi, zdając sobie sprawę, że jej pukanie zwykle bywa oznajmujące, nie pytające. Twarz Vicky jest pozbawiona wyrazu, trudno z niej cokolwiek wyczytać. Margaret wątpi, by ta kobieta rzetelnie przygotowywała się do rozmów. Woli się zasłaniać brązowym żargonem i wydumanymi procedurami. Margaret czuje silną niechęć do Vicky i osób jej podobnych — naprawiaczy świata, tak zwanych ludzi dobrej woli, którzy wierzą, że nierówności społeczne da się wyrównać bezstronnością i dobrymi intencjami. Siada.

Vicky oznajmia bez wstępów:

— Niestety, pani starania o adopcję dzieci napotkały pewne przeszkody.

— Jak to: „przeszkody”? — Niesmak w głosie Margaret jest tak silny, jakby wdepnęła w coś paskudnego.

Vicky wyraźnie nabiera tchu i ciągnie:

— Muszę panią uprzedzić, iż są nikłe szanse, aby pani podanie o przyznanie prawa do opieki nad Felixem i Madeleine zostało zaaprobowane. Sądzę, że w interesie wszystkich będzie, jeśli je pani wycofa.

— Słucham? — cedzi Margaret. — Dlaczego u licha miałyby zostać odrzucone? Na pewno go nie wycofam.

— Istnieją dwie przeszkody — odpowiada Vicky. — Po pierwsze, Felix nie chce zostać powierzony pani pieczy. Ma ponad dziesięć lat i zgodnie z przepisami może się wypowiadać we własnej sprawie. Otóż Felix konsekwentnie i jednoznacznie sprzeciwia się pani kandydaturze.

— Felix jest dzieckiem — sarka Margaret. — Cóż on może wiedzieć? To zapewne efekt wstrząsu po śmierci matki i protest przeciwko adopcji jako takiej. Odrzuci każdą proponowaną mu rodzinę.

— Niezupełnie — kontruje Vicky. — Felix jasno określił swoje preferencje.

— Preferencje? Preferencje?! — Margaret upomina się w duchu, że nie powinna wrzeszczeć na tę kobietę. — Kaprysy dziecka mają mieć większą wagę niż uczucie rodzonej ciotki, jedynej krewnej, na jaką w ogóle może liczyć?

— Nie chodzi tylko o to — przerywa jej Vicky. — Jest jeszcze jedna sprawa.

Opiera się w krześle i zaczyna powoli przeglądać papiery. Margaret walczy z chęcią, by je wyszarpnąć z jej rąk.

Po chwili Vicky podejmuje:

— Wiemy od pani, że w dniu wypadku zmarła była z panią w klinice leczenia niepłodności jako potencjalna dawczyni jajeczka. Wedle pani słów była to całkowicie prywatna, rodzinna sprawa, której pani siostra z nikim nie omawiała. Otóż muszę pani powiedzieć...

Margaret uświadamia sobie, że kobieta patrzy jej prosto w oczy; odtąd nie będzie żadnych eufemizmów i owijania w bawełnę.

— Muszę pani powiedzieć — powtarza — że mamy w tej sprawie sprzeczne oświadczenia. Dysponujemy dowodem, że odmowna decyzja pani siostry nie była nagłą paniczną reakcją, jak ją pani przedstawiła, lecz wynikiem przemyśleń, którymi się podzieliła z zaprzy-

jaźnioną osobą. Powiedziała tej osobie, że nie mogłaby podarować pani takiej części siebie. Dalszy przebieg tej rozmowy świadczy, że zmarła nie życzyłaby sobie, aby jej dzieci zostały powierzone pani stałej opiece. Ponieważ umarła bez testamentu, zapis tej rozmowy musi nam go zastąpić.

Margaret myśli o własnym testamencie, jasno sformułowanym, podpisanym i leżącym w wiadomym miejscu w domu. Jakie to cholernie typowe dla Evie, że niczego nie dopilnowała, nie przygotowała się nawet na śmierć.

Patrzy na Vicky i czuje, że język pali ją w ustach. Najchętniej chlasnęłaby nim tamtą w policzek jak jaszczurka, tak, żeby aż echo poszło. Nie daj się sprowokować, powtarza sobie w duchu, gorączkowo analizując usłyszane przed chwilą słowa.

— Kto to pani powiedział? I jaką wartość ma świadectwo tej osoby w odniesieniu do mojego? Złożę odwołanie. Będę się odwoływać — powtarza z naciskiem. — Nie możecie odrzucić mojego podania na podstawie jakiejś niewiarygodnej plotki.

Nasycała swój głos mocą, ale słyszy w nim również piskliwą nutkę paniki, desperackie błagalne staccato. Zastanawia się, co by było, gdyby odsunęła krzesło, padła na kolana na wytartej wykładzinie i składając ręce, zaszlochała: „Błagam! Pani nie wie, przez co ja przeszłam!”.

Prawie na pewno reakcja byłaby profesjonalna, rutynowa. Dostałaby numer telefonu jakiegoś psycho-teraputy, specjalisty od załamań nerwowych. Po raz pierwszy w życiu Margaret czuje, że nie ma do dyspozycji żadnych skutecznych środków. Siedzi przed tą kobietą i nie może wyprowadzić kontrataku, nie potrafi narzucić jej swojej woli. Zamiast tego po głowie krążą jej rozmowy z lekarzami, ultrasonografy, kartoteki, tace schludnie ułożonych strzykawek i własna krew

miesięczna plamiąca jej ręce. Wszystko na darmo. Nawet ta ostatnia próba — na darmo.

— Przykro mi — mówi Vicky. — Naprawdę bardzo mi przykro. Szkoda pani czasu, pani uczuć. Sytuacja jest wyjątkowo niezręczna dla wszystkich, których dotyczy.

— Wcale nie jest pani przykro. — Margaret wstaje, ma ochotę wybiec, ledwie panuje nad sobą. — Niech pani nie kłamie. Widzę, że nie jest pani przykro.

Wychodzi z budynku, czując, że opuściła ją zwykła wola walki. Jest pokonana, znużona; w środku ma pustkę, do której nie jest przyzwyczajona i która wysysa z niej pewność siebie.

W drodze do domu zastanawia się, jak zdoła powiedzieć o wszystkim Jamesowi i nie rozplakać się przy tym. To ona zawsze była lokomotywą ich małżeństwa pracującą do przodu ze wściekłym optymizmem. Zawsze twierdziła, że płaczem niczego się nie osiągnie i nie zmieni.

Rozmawia z mężem, stojąc przy wirówce, wyskubuje uszczelkę z zatrzasku i zwija ją w małą miękką kulkę. W duchu zadaje sobie pytanie, czy tego, co zawsze uważała za właściwą Jamesowi autoafirmację, nie należałoby określić mianem pychy. Zastanawia się, czy w ogóle cokolwiek go obchodzi.

Nęka ją wspomnienie tamtej chwili na ulicy. Bliskość Evelyn, jej szczupłe opalone ramię, odruchowy unik przed rozwścieczoną Margaret — czasem to wszystko wybucha znikąd i tworzy nieusuwalny kontekst tego, co w danej chwili mówi lub robi. Teraz czuje pokusę, by powiedzieć Jamesowi prawdę, uzupełnić relację z wypadku o eufemistyczne „szturchnięcie” i patrzeć, jak ze zgrozą wytrzeszcza oczy. Powstrzymuje ją instynkt samozachowawczy. Zawsze był silny, teraz również powściąga niebezpieczny impuls. Świadomość tamtego należy tylko do niej; będzie ją trawić od wewnątrz jak żrący kwas. Margaret kończy nagle słowami:

— Chyba nie dadzą nam dzieci. James wstaje i tuli ją do siebie.

— Jesteś taka uparta — mówi. — Wiem, że bardzo tego chciałaś, ale nie wszystko da się osiągnąć silnym postanowieniem. Może tak miało być. Nie wiadomo, moglibyśmy mieć problemy z ich wychowaniem. Dwanaście lat to trudny wiek.

Margaret nie odpowiada. Chyba nigdy nie znajdzie właściwych słów.

Brakuje jej Evelyn. A właściwie nie samej Evelyn, a idei Evelyn, świadomości, że gdzieś tam jest. Mimo woli porównuje ją do słonej lizawki, czegoś, na czym przez całe życie ostrzyła sobie język. Siostra z pewnością nie wywarła żadnego wpływu na decyzje podejmowane przez Margaret, na styl jej życia, osiągnięcia, równowagę emocjonalną, lecz w jakiś sposób — Margaret dopiero teraz to dostrzega — tworzyła jej przeciwwagę, drugi biegun magnesu. Jej śmierć naruszyła ten balans, jakby odkotwiczyła Margaret i pchnęła ją na wzburzone wody. Jeden jedyny raz, w środku nocy, gdy tłumiony szloch pęczniał jej w gardle niczym śliwka, pozwoliła sobie na żal, że rozpętała całą tę historię, zamiast w spokoju ducha łącać młodszą siostrę do późnej starości.

Kilka dni później dzwoni do Centrum Pomocy Rodzinie z prośbą, żeby wycofać jej podanie. Urzędniczka pyta, czy chce pozostać zarejestrowana i ubiegać się o opiekę nad jakimś innym dzieckiem.

— Nie — odpowiada Margaret krótko. — Nie — powtarza. Milczy przez chwilę, a potem mówi: — Mam u siebie trochę rzeczy należących do dzieci. Mieszkały u mnie, gdy ich matka była w szpitalu. Ubrania, rzeczy osobiste... Komu mam je oddać?

Kobieta odpowiada, że rodzinę zastępczą z perspektywą adopcji stworzą dzieciom sąsiedzi. Śmiało można zawieźć rzeczy wprost do nich. Margaret nagle sobie

przypomina mężczyznę, którego widziała pracującego w ogrodzie za płotem, kiedy była u Evelyn na początku czerwca. Pewnie on jest tą osobą, której się zwierzała. Wyobraża sobie siostrę, jak przybiera niepewny, nieco bezradny ton, pochyla głowę, nieświadomie przygryza wargę. W Evelyn zawsze był widoczny rys nieporadności sprawiający, że mężczyźni chcieli być wobec niej rycerscy, rzucać płaszcze w kałuże, by mogła przejść suchą stopą. Margaret odkłada słuchawkę i wydyma usta. Jakież to typowe dla Evelyn, odgrywać ofiarę przed każdym mężczyzną w zasięgu wzroku. Próbuje sobie przypomnieć żonę tego człowieka, która pewnie także była na pogrzebie. Nie potrafi, czuje więc niezogniskowaną nienawiść do obojga. Umysł podąża prostą, najłatwiejszą ścieżką: to oni udaremniili jej zamiary. Łatwo zatem wyobrazić sobie, że atak na tę kobietę będzie odpowiednim zakończeniem całej sprawy.

Jane odbiera telefon i ze zdziwieniem słyszy w nim „Margaret, siostrę Evelyn”. Mija chwila, nim udaje się jej skojarzyć Evelyn z Evie. Dokładnie pamięta kobietę widzianą w kościele. Jej apodyktyczny ton doskonale pasuje do wyglądu. Jane czuje się tak, jak gdyby została wezwana na dywanik. Mdlące, obezwładniające, jakże znajome uczucie.

— Słyszałam, że dostali państwo zgodę na podjęcie opieki nad dziećmi — mówi Margaret. — Czy mieszkają już u państwa?

— Nie — odpowiada Jane. — Przyjadą za trzy tygodnie.

— Odwiedzę panią nieco wcześniej. Mam trochę ich rzeczy. Chcę je zwrócić.

Jane zwraca uwagę na dobór słów, ich oznajmują-cy tryb. Odwiedzę, chcę. Wyczuwa — wszak przez większość życia zdążyła nabrać wprawy — że ma do czynienia z osobą, dla której liczą się tylko jej własne

zyczenia. Myśl, żeby zapytać, poprosić o pozwolenie, upewnić się, czy Jane to odpowiada, jest tamtej zupełnie obca.

Dzwonek do drzwi, myśli Jane, też może brzmieć rozkazująco. Być fanfarami na wejście, nie prośbą o wpuszczenie. Wyobraża sobie, jak Margaret dźga go palcem, wyciskając z niego przeraźliwy dźwięk. Idzie do drzwi, nieoczekiwanie czując, że zaczyna jej bić serce.

Margaret stoi w drzwiach, dzierżąc brązową papierową torbę. Jest wyprostowana jak struna, na policzkach ma odrobinę pudru, a na sobie granatowy kostium, który nasuwa przypuszczenie, że wstąpiła w drodze do pracy. Jane waha się, czy zaprosić ją do środka, może zaproponować kawę lub herbatę — nie jest pewna, czy powinna ją zachęcać do zacieśniania znajomości. Wie, że podanie Margaret o adopcję dzieci zostało odrzucone. Jako rodzona ciotka z pewnością będzie mogła

1 chciała się z nimi widywać. Jane się zastanawia, czy zakres tych kontaktów obejmuje również wizyty w jej domu. Kanciasta nieustępliwa sylwetka Margaret wypełnia światło drzwi i Jane widzi, że gdy ona oddawała się rozmyśleniom, tamta i tak zdążyła już wejść. Ominęła gospodynię i ruszyła przodem, zmierzając w stronę pokoju, który ostatnio zajmowała Vera.

Margaret obraca się na pięcie, oczy jej pałają. Jane w ułamku sekundy zdaje sobie sprawę, że czekają konfrontacja z kimś, kto nie będzie marnował czasu na dyplomację, przejdzie od razu do rzeczy. Oczywiście to tamta będzie atakować, ona stanie się celem ataku. Jane podejrzewa, że Margaret nie ma żadnego doświadczenia w odbiorze cierpkich nagan i krytycznych opinii. Patrzy pod nogi, czekając, aż piekące słowa spłyną po niej i zbiorą się w kałużę u jej stóp.

— Muszę pani pogratulować — zaczyna Margaret. — Udało się pani zawłaszczyć prawo do opieki nad

dziećmi mojej siostry. Musi być pani bardzo pewna siebie, skoro sądzi, że jest w stanie stworzyć im lepsze warunki niż najbliżsi krewni. I straszliwie arogancka, przydając większą wagę własnemu roszczeniu. Nie przypominam sobie, aby siostra w ogóle o pani wspominała. Trudno mi ocenić, jakie były pani stosunki z rodzicami, lecz zapewniam panią, że moi przewracają się w grobach, widząc, że ich wnuczęta trafiły do obcych ludzi. Jest pani złodziejką, niczym więcej jak złodziejką!

Margaret obraca się i patrzy na ogród. Przez otwarte okno do pokoju wlewa się świergot ptaków. Głos Margaret zmienia zabarwienie, staje się gładki, śliski. Jane zna ten ton; to zmyłka, zwód przed dobrze wymierzonym ciosem.

— Widzę, że ptaki dobrze się u pani czują — mówi Margaret. — Nie słyszę tego, do którego najtrafniej można panią porównać: kukułki. — Obraca się, stając twarzą w twarz z Jane. — Pani jest jak kukułka, która zawłaszcza, kła cudze gniazda, przychodzi i niszczy. To właśnie pani robi.

W pierwszym odruchu Jane ma ochotę sprostować chybioną metaforę. Kukułka składa jaja w cudzych gniazdach i to jej pisklę najczęściej wyrzuca prawowitych lokatorów. Powinna wytłumaczyć tej kobiecie, że w rzeczywistości kukułka jest zbyt leniwa, by zajmować się dziećmi, woli śpiewać bez trosk przez całe lato, niż zbierać jadło w upale i wtykać je w rozwarte dziobki. Margaret jednak nie chodzi o trafność porównania, chce ją tylko zakrzyczeć, wybić jej powietrze z płuc.

Jane zdaje sobie sprawę, że jej ciało przybiera taką pozę, jaką zawsze przybierało w obecności matki. Ramiona kulą się nieco, jakby chciały osłonić piersi i brzuch przed ciosem. W tej chwili jest zarazem kobietą i dzieckiem wezwanym, aby się wytłumaczyło, zanim poniesie karę. Jej skóra tężeje, napina się, mro-

wi w oczekiwaniu. Jane usiłuje sobie wyobrazić, że słowa tamtej tracą moc, bezwładnie spadają na podłogę, gdzie rzucają się coraz słabiej jak zdychające ryby. Nagle jednak, znikąd, czuje przypływ energii. Wie, że obiema nogami stoi pewnie na ziemi. Patrzy na Margaret i dostrzega w niej brutalne chamstwo, to samo, które cechowało jej matkę. Widzi tę samą arogancję, brak względów dla innych, ten sam psychopatyczny rys, który każe — przenośnie — deptać komuś po twarzy w podkutych butach. Być może Evie też dorastała w takiej atmosferze. Margaret była stroną dominującą — tą, która osądza, krytykuje, ostrzy słowa tak, by sięgały celu, niszcząc poczucie własnej wartości młodszej siostry. Ciało Jane nabrzmiewa wchłoniętym przez lata jadem, który sączyła w nią matka. A potem słyszy własny głos, nie wahający się i drżący, lecz donośny i pewny, taki, jaki zawsze słyszała w głębi ducha, ilekroć słowa Very padały na nią niczym rozżarzone węgle. I już wie, że tym razem nie da się pokonać.

— Nie mam zamiaru rozmawiać z panią na ten temat — mówi ze spokojem. — Usiłuje pani obciążyć mnie winą za własne niepowodzenia. Proszę mi oszczędzić tych żalonych ornitologicznych metafor; naprawdę nie muszę ich słuchać. Sąd rodzinny podjął decyzję w oparciu o opinię dzieci i musi się jej pani podporządkować. To przykre, że doznała pani zawodu, ale winnych niech pani szuka gdzie indziej. Zegnam panią. Proszę wyjść.

Stojąc naprzeciw, ma wrażenie, że twarz Margaret i twarz Very zlewają się w jedno. Są nie do rozróżnienia — ciemny napastliwy kształt na tle okna. Jane podchodzi do drzwi i otwiera je szeroko, patrząc tamtej prosto w oczy. Usta Margaret otwierają się i zamykają jak rybie. Zaskoczona, nie potrafi znaleźć słów.

Wsiada do samochodu bliska łez. Widzi wyraźnie, że zachowała się w sposób nieracjonalny. Jej gniew

zrodził się z porażki. Nie tej adopcyjnej; wcześniejszej. Kwestia dzieci Evie była w tym wszystkim drugorzędna. Margaret czuje się potwornie znużona. Zastanawia się tylko, co teraz pocnie ze swoim smutkiem. Jak zdoła patrzeć na swoje życie, godząc się z nim, choć miało wyglądać zupełnie inaczej.

Jane zamyka drzwi i opiera się o nie plecami. Teraz drży na całym ciele, oddycha głęboko i nie może uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiła. Ma wrażenie, że jej reakcja nastąpiła samoistnie jak gorąca wulkaniczna erupcja zrodzona gdzieś w najgłębszym wnętrzu. Ciekawe, czy Evie kiedykolwiek sprzeciwiła się siostrze. Jane ma dziwne uczucie, że łączy ją z Evie spontaniczny bunt. Jej wybuch, zdaje sobie z tego sprawę, był skierowany w równej mierze przeciwko Margaret co przeciwko Verze. Zrzuciła z siebie wyuczone zachowania, uległość zrodzoną z wieloletniej tresury. Matka odeszła. To co w psychice Jane było odpowiedzią na jej czyny, przestało mieć rację bytu.

Równocześnie rozpoczęła myślowy dialog z Evie — nieżyjąca kobieta stała się dla niej kimś w rodzaju sprzymierzeńca, cichego współnika w jej przedsięwzięciu.

— O rany — mówi teraz do niej. — Musiało ci być ciężko dorastać pod jednym dachem z tą wściekłą krową.

Bierze torbę pozostawioną przez Margaret i zanosi ją do kuchni. Są w niej ubrania Felixa i Pusi, wszystkie pięknie wyprane i wyprasowane. Jasne i ciemne kolory oddzielnie, skrupulatnie posortowane. Jak widać, Margaret ma obsesję na punkcie porządku. Ta wypieszczona odzież budzi w Jane więcej współczucia, niż kiedykolwiek skłonna byłaby z siebie wykrzesać dla samej Margaret. Zastanawia się, co okaleczyło charakter tej kobiety, jakie niewypowiedziane urazy nosi pod skórą niczym tkankę tłuszczową. Być może w którymś

momencie osoba krzywdzona sama zaczyna krzywdzić innych. Może w świecie idealnym każdemu starczałoby czasu i sił, by znajdować w innych okruchy dobra. Jane odkłada dziecięce ubranka i myśli, że nic nie jest tak proste, jak się może zdawać.

Rozgląda się po swoim domu. Jest ciężarny, nabrzmiały oczekiwaniem na nowe życie, nowy zastrzyk energii. Jane wchodzi na piętro. Nie zdecydowała jeszcze, które pokoje zajmą dzieci. Niech same wybiorą, potem kupi się łóżka i meble. Pójdzie z nimi do domku obok, żeby mogły pozabierać sobie wszystko, co chcą zachować. Resztę starannie zapakuje w pudła i schowa na strychu. Jeśli kiedyś poczują potrzebę zanurzenia się w pamiątkach po matce, powrotu w przeszłość, do dawnego życia, wszystko będzie tam na nich czekało nienaruszone. Jane uśmiecha się w duchu. Obładowany wypchanymi pakunkami dom będzie przypominał jucznego muła. I dobrze. Już zbyt długo panował tu ład i spokój.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Felix budzi się w domu Zoe, do której przenieśli się z Pusią od Margaret. Lubi Zoe. Sporo rozmawiała z nim o Evie, a on płakał i płakał, oparłszy głowę na rękach na stole. Zoe gotuje podobnie jak jego mama — kuskus, zapiekanki z pomidorami i placki z owsianej mąki. Felix jest jej wdzięczny za niewymuszoną serdeczność, a przede wszystkim za to, że pozwoliła im uciec przed ciotką. Zoe ma troje dzieci, wszystkie młodsze od Pusi. Jej dom jest pełen zabezpieczeń — na drzwiach, kontaktach, nad schodami; drzwi szafek są zamknięte, a środki czystości schowane na najwyższych półkach. Kiedy w środku nocy Felixa budzi nagły płacz niemowlęcia, zawsze czuje się zdezorientowany, jakby trafił na pętlę czasową. Dopiero po chwili przypomina sobie, gdzie jest, i znów wraca myśl: mama umarła.

Felix ma nadzieję, że dobrze im będzie u Nicka i Jane. Kiedy się dowiedział od kuratorki, że państwo Rogersowie złożyli podanie o adopcję, pozwolił sobie na drobne drgnienie radości, bo nie chciał, żeby na zawsze przygniótł go odczuwany teraz smutek. Nie wyobraża sobie, że miałby pozostać tak strasznie nieszczęśliwy przez całe życie. Chciałby móc się szczerze roześmiać bez tej pustki, która ssie go w środku. Rozmawia w duchu z mamą i ją także chciałby czasem

rozśmieszyć — nie tylko powtarzać, jak bardzo za nią tęskni i że jego cały świat roztrzaska! się w drobne kawałki.

Dziś jest bardzo ważny dzień, dziś przenoszą się z Pusią do Jane i Nicka. Odwiedzili ich już kilka razy w towarzystwie kuratorki. Było dziwnie. Ilekroć ktoś chciał coś powiedzieć, najpierw wyraźnie nabierał tchu. Nawet głos Nicka w obecności kuratorki stawał się zupełnie inny. Miało się wrażenie, że za bardzo się stara dobrze zaprezentować, zamiast mówić jak zwykle — lekko, z polotem. Felix rozumiał jego skrepowanie. Miał ochotę powiedzieć: „Nie martw się, wyluzuj, po prostu bądź taki jak dawniej”. Jaka szkoda, że nie zawsze w życiu da się to zastosować.

Pusia nie robiła szczególnych trudności. Tylko raz odmówiła współpracy przy jedzeniu. Kiedy Jane próbowała ją zachęcić, mała ją odepchnęła i wykonała swój stary numer z wstrzymywaniem oddechu, aż posiniały jej usteczka. Felix szczerze współczuł Jane, która bardzo się wystraszyła, zaczęła nawet ogryzać paznokiec.

— To nic osobistego — uspokoiła ją kuratorka — reakcja na stres typowa dla jej wieku obejmuje także agresję.

Felix uznał za stosowne wkroczyć, dodając pojednawczo:

— Mamę też próbowała zastraszyć w ten sam sposób.

Felix odkrył w sobie talent mediacyjny. Wygląda, wyjaśnia, zapobiega konfliktom, pilnuje, żeby wszystko toczyło się bez zgrzytów. Prawdę mówiąc, poczuł, że to jego obowiązek. Przypomina sobie, jak kiedyś on i mama siadywali wieczorami w kuchni. Pusia już spała, mama zajęta była szyciem, on przeważnie siedział przy komputerze i dobrze się razem czuli. Ich milczenie było po prostu przyjacielskie. Felix się zastanawia, czy jeszcze nadejdą czasy, że będzie mógł tak z kimś

pomilczeć, nie martwiąc się, że zostanie to źle odebrane.

Podczas jednej z wizyt obejrzeli mecz piłki nożnej, a potem poszli na spacer nad rzekę. Kuratorka miała nieodpowiednie buty, toteż wszyscy dużo mówili

O biocie i ostach. Innym razem Jane i Pusia robiły pach-nidło z płatków róży namoczonych w wodzie i przetartych przez sito; Jane przelała je do małej buteleczki, którą Pusia zabrała ze sobą do Zoe i wieczorem wlały pachnidło do kąpiel. Jane upiekła duże ciasto, które przybrała masą tortową i kolorowymi pastylkami M&M's. Felix nie lubi kremów na maśle, ale nie chciał oskrobywać ciasta. Doszedł zresztą do wniosku, że uprzejmiej, a nieraz nawet korzystniej jest nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do drobnych nawyków

1 smaczków. Mama pokryłaby masą tylko połowę ciasta, a jemu dałaby do ręki słoik dżemu, żeby doprawił sobie drugą połowę wedle uznania. Felix się zastanawia, czy ten stopień wzajemnej zażyłości, wiedzy o sobie należy już do zamkniętej przeszłości. Tak czy owak zjadł duży kawał ciasta, pozwoliwszy wpierw Pusi wyjeść z niego M&M'sy.

Dom Jane i Nicka jest duży, przestronny. Dziwnie się patrzy z okna na małą chatynkę w drugim krańcu ogrodu. Czasem Felixowi trudno uwierzyć, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Czuje się tak, jakby każdy dzień wypełniała mu nauka chodzenia, stawiania jednej stopy przed drugą. Ciekawe, czy to się zmieni _ czy przyjdzie wreszcie dzień, kiedy najprostsze rzeczy nie będą go już kosztować tyle wysiłku.

Na podłodze przy łóżku widzi swoją torbę, do której pieczołowicie zapakowali wraz z Zoe wszystkie jego rzeczy. Słyszy jej głos z korytarza, kiedy pieszczotliwie budzi Pusię. Powinien wstać i pomóc jej ubrać małą. Odrzuca kołdrę i przygotowuje się do tego, żeby zrobić pierwszy krok.

Jane też się budzi. Nick jest już na dole, robi śniadanie. Nie śpiewa, jak to miał we zwyczaju dawniej — kilka miesięcy temu, choć wydaje się, że minęły lata. Powietrze w domu zdaje się naładowane elektrycznością, Jane jest tak spięta, że gdyby się wsłuchała, dosłyszałaby przez podłogę oddech Nicka. Wygląda przez okno sypialni. Jest suchy, niezbyt słoneczny sierpniowy ranek. Kwiaty na rabatach zaczynają powoli przekwitać. Jane machinalnie kładzie rękę na żołądku — ssie ją z nerwów. Robi głęboki oddech i stara się nie myśleć, jak brzemienny w skutki będzie dzisiejszy dzień.

Kiedy wchodzi do kuchni, stół jest już nakryty. Nick ugotował dwa jajka i precyzyjnie ściał im czubki, pokroił razowy chleb i ułożył cienkie kromki na talerzu. Proste, pożywne i w pewnym sensie modelowe śniadanie. Jane siada, zagłębia łyżeczkę w jajku. Żółtko występuje z brzegów, wąska strużka ścieka po skorupce. Jane nagle czuje wilczy głód, po chwili skorupka jest wyskrobana do przezroczystości, klinicznie wręcz pusta.

Nie rozmawiają wiele. Są zdenerwowani i trochę skrepowani przed sobą nawzajem. Jane myśli o zapasach, którymi są wypchane szafki. Była w Tesco, kupiła pięć rodzajów płatków, szkockie naleśniki, muffinki i bekon. Nie wie, co dzieci lubią jeść, postanowiła więc mieć pod ręką różne opcje. Na razie w domu panuje cisza i na pozór ranek mógłby się wydawać najzwyklejszy. To chyba dobrze w takiej chwili.

Krzążą się razem po kuchni świadomi swoich ruchów, uwrażliwieni na siebie, niezgrabnie mijają się między stołem a zmywarką. Oczywiście w ciągu minionego tygodnia przegadali na ten temat wiele godzin. Dziś, kiedy klamka ma zapaść, oboje czują, że pora nie jest odpowiednia na rozmowę.

Jane idzie na górę wziąć prysznic, a Nick wychodzi do ogrodu. Obrywa główki kilku przekwitłych kwiatów, zeschnięte płatki szeleszczą mu w dłoni jak pergamin. Spogląda na domek Evie, który wynajęła już nowa rodzina. Przed trzema tygodniami byli w nim z Jane, żeby pomóc dzieciom spakować rzeczy. Teraz mieszka tam młode małżeństwo z rocznym dzieckiem, dziewczyna już się spodziewa następnego. Mąż jest właśnie w ogrodzie, wyciera mały błękitny brodzik, żeby napełnić go świeżą wodą. Macha ręką do Nicka i uśmiecha się.

Nick powtarza sobie, że nie powinien widzieć w nim intruza; kogoś, kto zajął miejsce Evie, wyparł ją z przypisanej jej przestrzeni. Czas wzmocni więzy łączące go z Felixem i Pusią, lecz zawsze będzie o nich myślał jako o dzieciach Evie. I będzie żałował, że wszystko musiało się tak potoczyć.

Na ścianie wciąż widać krykietową bramkę, którą narysowali z Felixem kredą na początku lata. W garażu Nicka jest nowa składana metalowa bramka, którą da Felixowi w sposobnej porze. Nie wie jeszcze, kiedy — z punktu widzenia chłopca — będzie dobra pora na cokolwiek.

Od wielu tygodni nie spadł porządny deszcz. Ślady kredy napawają Nicka smutkiem. A kiedy będzie odpowiednia chwila, by przyznać się Jane, że odwiedził Evie w szpitalu? Sekret tkwi mu w piersi jak krótkie dodatkowe zebro. Zastanawia się nieraz, czy bez jego interwencji podanie Margaret zostałyby odrzucone. Wciąż zadaje sobie pytanie, czy powtórzył Vicky swoją rozmowę z Evie, bo powodowało nim umiłowanie prawdy, czy chciał upiec własną pieczeń, dyskredytując Margaret. Martwi się, że przekroczył subtelne granice między ścisłą relacją, ubarwieniem i obłudą. Wciąż myśli o grze, w którą grał w dzieciństwie, a potem z Felixem, tej w kamień, papier i nożyczki. „Kamień, papier, nożyczki” — powtarza w myśli te słowa jak mantrę.

Nadal nie umie się zdecydować, czy najlepszą taktyką jest kontrast czy mimikra. Czy dobro może stawać z otwartą przyłbicą przed swym przeciwieństwem, czy też musi używać przemocy, podstęp, rzucać własne cienie. Jedno jest pewne: Evie może mu zaufać, wraz z Jane dołożą wszelkich starań, by wychować dzieci najlepiej jak potrafią. Obiecuje jej to raz po raz — nie pogrążonej w śpiączce kobiecie na szpitalnym łóżku, lecz tamtej, krzątającej się po kuchni z brokatem na policzku, tamtej, która ze śmiechem schodziła z drabiny; która stała w ogrodzie w pozycji drzewa, zupełnie nieruchomo, jakby jej stopa zapuściła korzenie w ziemię.

Nick wraca do środka i czeka na przyjazd dzieci.

Jane stoi w szlafroku, wycierając ręcznikiem świeżo umyte włosy. Od dziś postara się być matką. W wyobraźni porównuje to do uruchomienia samochodu na biegu — gwałtowny start ku nowemu życiu. Dla niej jest to symbol zwycięstwa nad Verą, nad tą częścią Very, która w nią wrosła. Podczas rozmów z komisją kwalifikacyjną dużo mówiła o ojcu. Gdy pytano o matkę, była mniej wylewna, opisała ją jako kobietę o złożonym charakterze i dodała, że teraz trudno jej o niej mówić, bo choroba zupełnie ją zmieniła. Członkowie komisji wykazali się zrozumieniem i nie naciskali. Jeden z nich powiedział: „To naturalne, że trudno pani o tym mówić, strata jest wszak tak świeża”. Jane była im wdzięczna za tę furtkę i zmianę tematu.

Nie zdradziła Nickowi rewelacji związanej z Tedem Clayem i wie, że nigdy tego nie zrobi. Oszczerstwa Very nie są warte własnej przestrzeni w ich życiu. Musiała przedłożyć świadectwo urodzenia, wystarała się zatem o nowy odpis. Powiedziała, że matka je zgubiła. Pamięta wielkie ognisko w ogrodzie tamtego dnia, kwaśny odór spalenizny. Czasem się martwi, że swoje nowe życie zbudowała na kłamstwie i kiedyś może je spotkać los zamków z piasku. Pociesza się w duchu,

upewnia, że tak nie będzie. Powtarza sobie w szarym bezsennym brzasku, że musiała to zataić, by powstrzymać niszczyielski wpływ Very. Felix i Pusia to całkiem inna historia, która dopiero się zaczyna. Jane dołoży wszelkich starań, żeby być dla nich dobrą matką. Obiecuje to Evie w myślach. Na razie nie potrafi sobie jeszcze nawet wyobrazić wszystkich złożonych aspektów macierzyństwa. „Pomóż mi”, mówi do Evie i zaczyna się ubierać.

Gdy rozlega się dzwonek, wzdrygają się oboje z Nickiem. Przez okno widać Felixa, kuratorkę i Zoe, która trzyma Pusię za rączkę. Niosą bagaże, niezbyt wielkie. Jane przychodzą na myśl dzieci ewakuowane z Londynu w czasie wojny — jedyne, czego im brakuje, to kartek z nazwiskami zawieszonych na szyjach i brunatnych chlebaków z maskami gazowymi.

Jane wspomina wizytę wścieklej Margaret sprzed trzech tygodni. Wspomina wizytacje, wywiady, rozmowy, tony formularzy, które wypełniła, biedząc się nad odpowiedziami. Teraz jest gotowa. Dom też jest gotowy, wypełniony przedmiotami z ich dawnego domu, dawnego życia. Lepiej przygotowany już nie będzie.

— No to jazda — mówi Nick i idzie otworzyć drzwi.

Dziwnie to ujął, jakby stali w górnym punkcie nartostrady, lecz zarazem trafnie. Ruszają w tę trudną drogę razem.

Pusia już śpi. To pierwszy wieczór; Felix pomógł ją umyć i zapakować do łóżka, zaśpiewał ulubioną kołysankę ładnym, trochę ochryłym głosem, a Jane przeczytała bajkę. Potem siadła przy łóżku. Evie też tak musiała siedzieć, patrząc na śpiącą córeczkę; w gruncie rzeczy ta pora wciąż należy do niej. Jane rozróżnia to co można od tego, czego nie da się zmienić. Wie, że z tym drugim trzeba się po prostu pogodzić. Siedzi

z pochyloną głową i ciasno splecionymi dłońmi. Kiedy wreszcie schodzi na dół, czuje, że od lat nie przeżyła czegoś równie bliskiego modlitwy.

Jest styczeń. Mimo chłodu Jane ćwiczy w ogrodzie — weszło jej to w nawyk. Po wykąpaniu i uśpieniu Pusi wychodzi na dwór. (Pusia od września chodzi trzy razy w tygodniu do przedszkola i teraz każe się nazywać Maddie). Jane skacze przez skakankę obok pergoli, wciągając w płuca hausty zimnego powietrza. O tej porze Felix skończył już odrabiać lekcje i bierze prysznic, a kiedy schodzi na dół do kuchni, Jane też wraca. Robi mu gorące kakao, a sobie herbatę miętową i siadają razem przy stole w kuchni, gdzie zwykle zastaje ich Nick.

Podczas gimnastyki Jane układa w myśli listę rzeczy do załatwienia długą jak chiński smok — Felixowi potrzebny jest nowy ochraniacz na twarz do hokeja, trzeba podpisać zgłoszenie na szkolną wycieczkę, zabrać Maddie do szewca, by wziął miarę na nowe buciki. Od trzecich urodzin, które były jesienią, sporo urosła. Nie jest już pulchnym brzdącem, wysmukłała, nabrała wdzięku małej księżniczki. Jest podobna do matki, tak samo szczupła i zwinna. Jane widzi w tym świadectwo, że nic nie ginie, że Evie wciąż jest obecna w swoich dzieciach i będzie miała udział w ich przyszłości.

Och, ależ dziś zimno! Jane podnosi głowę; okno łazienki jest całkiem pokryte parą. To wyraźna zapowiedź mrozu, a dziś po południu pojawiły się miękkie, nabrzmiące śniegiem chmury. Jane poprawia rękawiczki i mocniej ściska rączki skakanki. Na lewo od swojej stopy zauważa kielkującą z mokrej ziemi kępkę przebiśniegów. Zielone łodyżki wyginają się w łuk pod ciężarem kulistych pąków, w których drzemią dziewczęco białe kwiaty. Szyjki mają tak kruche, że całą tę zwartą doskonałość można zniszczyć jednym palcem.

Jane skacze, powtarzając: „Maddie, Maddie”. Do tej pory często nazywa małą Pusią. Uważa jednak, że każdy ma prawo do wyboru formy własnego imienia, i gotowa jest na daleko idące ustępstwa. Tym bardziej że są dziedziny, w których musi być stanowcza. Na przykład kiedy Maddie nie chce wyjść z wanny, zjeść groszku z talerza albo włożyć płaszczka, choć na dworze panuje przenikliwe zimno. Czasem jest nieposłuszna po prostu dlatego, że górę wzięło zmęczenie albo złość. Jane uczy się perswazji i konsekwencji. Wszystko to, pociesza się w duchu, jest normalne, najzupełniej normalne. Z Felixem jest na odwrót. Jane ma nadzieję, że kiedyś w końcu chłopiec poczuje się u nich na tyle swobodnie i bezpiecznie, by przestać być tak uprzedzająco grzeczny. Jego nieustająca chęć do współpracy wypływa chyba nie tylko z wdzięczności, że nie musi mieszkać u Margaret i Jamesa, ale także z braku poczucia stabilizacji i resztek lęku. Jane chciałaby mu wytłumaczyć, że śmiało może mówić to, co myśli, a nie to, co jego zdaniem chciałaby usłyszeć. Nie musi witać jej za każdym razem, kiedy wchodzi do pokoju. Wolno mu przecież spokojnie obejrzeć telewizję i nie będzie miała do niego pretensji, jeśli w ogóle jej nie zauważy. Musi mu to powiedzieć, tylko jeszcze nie wie jak. W relacjach z Felixem czuje się tak, jakby stąpała po linie rozpiętej nad ogromnym oceanem smutku. Może z czasem chłopiec nabierze nieco więcej pewności, zacznie wreszcie reagować spontanicznie.

Jakkolwiek wciąż dręczą ją drobne zmartwienia (pakując zakupy spożywcze do bagażnika, Jane za każdym razem marszczy brwi, zastanawiając się, co mogła zrobić lepiej albo inaczej), czuje, że miłość przebojem wkracza do jej serca, sypiąc wokół mniejsze i większe okruchy.

Felix gra w hokeja. Gra na bramce i skutkiem tego wozi ze sobą mnóstwo sprzętu. Jane nie przypuszczała, że nastolatek może targać ze sobą tak ogromną torbę. Z wysiłkiem zataszczyli ją do samochodu, gdzie spoczęła obok plecaka, stroju w osobnej torbie oraz nowego kija. Z trudem ją upchnęli, przytupując zmarzniętymi nogami i śmiejąc się do rozpuku. W takiej chwili łączy poczucie wspólnego celu. Osiągnąwszy go, przybijają sobie piątkę, a Jane sięga po paczkę biszkoptów i banana (nauczyła się już, ile potrafi zjeść chłopiec w jego wieku). Felix zastanawia się w duchu, czy któregoś dnia zdoła ją uściskać bez wyrzutów sumienia.

Przy kolacji Maddie wstaje od stołu, wyciąga rączki do Jane i po raz pierwszy mówi do niej „mamusiu”. Jane zerka szybko na Felixa i pyta:

— I co my z tym zrobimy? Felix wzrusza ramionami.

— Chyba tak będzie dla niej najlepiej. Może przecież mieć dwie mamusie.

Uśmiecha się do Jane z wahaniem, a Jane myśli: „Ile ten chłopak wkłada pracy w to, żeby nam wszystko ułatwić”. Na głos mówi:

— Wiem i rozumiem, że ty nie będziesz do mnie tak mówił. Nie chcę, żebyś czuł się z tego powodu skrępowany. To oczywiste, że nie zdołam ci zastąpić twojej mamy, ale przysięgam, zrobię co w mojej mocy, żebyś czuł się kochany, szczęśliwy i bezpieczny.

Trudno jej uwierzyć, że zdołała powiedzieć to wszystko, przez cały czas patrząc mu, swobodnie w oczy. Felix znów się uśmiecha, a Jane po raz kolejny zdaje sobie sprawę, że liczy jego uśmiechy jak kamienie milowe na drodze, którą chłopiec mozolnie się oddala od swojego morza smutku.

— Fakt — przyświadcza Felix. Ileż razy dałby wszystko, żeby móc znów porozmawiać z mamą! — Byłoby mi głupio, gdybym kogokolwiek innego tak nazy-

wał. — Patrzy na nią i po namyśle dodaje: — Ty jesteś NP.

— To znaczy? — Jane nie wszystko jeszcze rozumie z żargonu, którym operuje Felix.

— Najlepszym przybliżeniem — odpowiada chłopiec.

Łzy kręcą się Jane pod powiekami, podchodzi więc i obejmuje go. Urósł, myśli, rośnie z miesiąca na miesiąc. Już sięga jej prawie do brody.

W nocy, leżąc w łóżku, wyobraża sobie ich czworo przy kolacji w kuchni. Gdyby ktoś zajrzał przez okno, zobaczyłby najnormalniejszą w świecie rodzinę. A przecież nie są taką rodziną, choć Jane ma nadzieję, że stanowią coraz lepsze przybliżenie. Wciąż jednak ich układ jest mało stabilny, najeżony niespodziankami. Nic dziwnego, skoro powstał w wyniku serii bolesnych zdarzeń, z którymi do dziś trudno się pogodzić. Z dnia na dzień się uczą, uczą się być rodziną, przywiązywać mniej ukrytych znaczeń do słów i czynów. Jane coraz rzadziej myśli o swojej matce. Dziś przygotowując obiad, próbowała sobie przypomnieć kształt jej ust, dłoni. Wymazały się z pamięci, złuszczyły jak farba ze starego portretu. Wizerunek Very coraz bardziej przypomina starą zniszczoną lalkę, która straciła już ręce i większość włosów, oczy wpadły w głąb plastikowej głowy. Jest nieważna, zapomniana.

Rok! Jane nie może uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się w ciągu roku, a wiele innych lat przeszło, nie pozostawiając prawie żadnych śladów. Wydaje się jej, że minęły eony od chwili, gdy stała w kuchni, rozmawiając z Nickiem o wzięciu do siebie matki. Zwisające z łóżka martwe ciało Very pochłonęły wieki. Cała epoka dzieli ich od tamtego wieczoru, gdy Margaret, jeszcze przed śmiercią Evie, przywiozła dzieci do sąsiedniego domu, a Jane zobaczyła przez okno, jak Nick porywa Felixa na ręce i potem niepostrzeżenie ociera łzy.

Teraz Nick śpi obok niej. Jane wyciąga rękę i dotyka jego dłoni. Nigdy dotąd nie był tak radosny, taki ożywiony. Cień niedomówień, który legł między nimi w zeszłym roku, zdążył się rozwiać, rozproszyła go energia, którą oboje wkładają w to wspólne przedsięwzięcie. Wieczorem w łóżku śmieją się oboje z powiedzonek Maddie, a ostatnio Nick zaczął napomykać o kupnie psa. Jane śmieje się w duchu. Nareszcie ich pies widmo przybierze realną postać. Znalazła niedaleko miot labradorów, planuje zabrać dzieci, żeby obejrzały szczenięta. Zrobi Felixowi niespodziankę. Rozpiera ją chęć działania, po raz pierwszy w życiu nie ma uczucia, że jej czyny maskują tylko wahanie i rezerwę. Perspektywa tej wycieczki sprawia jej dziką radość. Jane zdaje sobie sprawę, jak cenne są takie chwile — drobne codzienne błogosławieństwa.

Myśli o śmierci Evie i o tym, że niektórych spraw nie da się spokojnie zaakceptować. Ze swoją przeszłością zdążyła się pogodzić, myśl o matce nie spędza jej już snu z powiek, straciła wszelką wagę. To zaskakujące — i cudowne. Częściej już chyba myśli o Margaret, która wraz z mężem przyjechała odwiedzić dzieci tuż przed Bożym Narodzeniem. Przywiozła Felixowi grę komputerową, a dla Maddie malutki serwis z porcelany malowany w kropki.

— To ślicznie — powiedziała, gdy dziewczynka oznajmiła jej z dumą, że teraz jest już Maddie, a nie Pusią. — Twoja mama na zawsze pozostała Evie, a nie Evelyn.

Ciało Margaret jakby się trochę skurczyło, jej głos stracił pewność. Kiedy Maddie podała jej filiżankę, dłoń Margaret zadrżała i filiżanka zadzwoniła o spodek.

— Ostatnio jestem trochę rozkojarzona — przyznała, a sposób, w jaki to powiedziała, przywiódł Jane na myśl załamanie nerwowe, prozac i ego Margaret

kurczące się jak granatowy balonik. Przez całą wizytę James siedział tuż przy niej, gładząc ją lekko po ramieniu. Przypominał rolnika, który gawędzi z sąsiadem, poklepując i głaszcząc stojącą obok klacz.

Po ich wyjściu Felix oznajmił:

— I tak jej nie polubię, choćby co dzień przynosiła mi prezenty.

Jane zmilczała, aczkolwiek właściwie powinna była go upomnieć. Może ma powody, pomyślała.

Teraz myśli o Margaret i Verze, o trudnych charakterach i długich cieniach, jakie rzucają na życie innych ludzi. Niełatwo uwolnić się spod ich wpływu bez uszczerbku lub choćby zbyt daleko idącego kompromisu. Dobroć, a nawet tylko dobre zachowanie nie jest czymś jednopłaszczyznowym i jednoznacznym. Pociąga za sobą ustępstwa znane jedynie sercu.

Zapadając już w sen, Jane postanawia, że nauczy się widzieć w życiu ciche, wytrwałe dochodzenie swych praw przez dobro. Ofensywę dokonywaną drobnymi niepewnymi krokami, często zmuszaną do odwrotów, w istocie jednak niezłomną. Jane jest świadoma własnych porażek i własnych ustępstw, choć czuje, że były usprawiedliwione. W miarę upływu czasu błędą, przestają boleć i w końcu pozostawia się je za sobą.